

W obronie

Pokoju



PISMO, KTÓRE CZYTA CAŁY ŚW



Nr 6 (36) Czerwiec 1954 r. Cena zł 2

- Sprawa bezpieczeństwa zbiorowego
- Ks. Jean Boulter: Para pacem
- „Amerykańska wspólnota obronna“
- George Besson: Ołtarz Krakowski
- R. Lombardi: We własnym interesie
- Claude Roy: Picasso w Vallauris
- Bomba ostatecznej zagłady
- Tokusaburo Dan: Śmiercionośny pył
- Prof. Burhop: Obrona nie byłaby możliwa
- „Audycja rozpaczy“
- Siły atomowe w służbie ludzkości
- Anglia budzi się z odrętwienia
- Dr A. Salomon: Podagra
- Farrokh Gaffary: Filmy Wschodu
- S. Nievo: Astove, samotna wyspa
- A.-H. Gordon: Angielscy uczeni w ZSRR
- Mikołaj Wołkow: Balet radziecki
- Fr. de Geoffre: Nawet za cenę życia
- Lindsay Farr: Energia mórz
- Mohammed Dib: Pożar (fragment powieści)
- UST-8 łowi na Mittelbangu 10
- Zygmunt Koczorowski: Uzbecka SRR 10
- Antoni Dworzak (1841—1904) 10
- Stefan Litauer: Fakty i komentarze 10
- Filatelistyka 10
- Szachy 10

Wydawca: POLSKI KOMITET OBRONCÓW POKOJU

Redakcja: Warszawa, Foksal 16

Telefony: Redaktor Naczelny 65-181

Sekretarz Redakcji 65-184

Godziny przyjęć: 12 — 15

Administracja: W-wa, ul. Wiejska 12, tel. 653-30

Warunki prenumeraty: kwartalnie — 7,50 zł

półrocznie — 15,00 zł

rocznie — 30,00 zł

Zgłoszenia na prenumeratę przyjmują urzędy

pocztowe i listonosze wiejscy

Ekspedycja Centralna: Srebrna 12.

Drukarnia RSW „Prasa“, W-wa, al. Jerozolimskie 125

Wszelkie reprodukcje naszych tekstów i ilustracji są dopuszczalne tylko za podaniem źródła: „W Obronie Pokoju“

» W OBRONIE POKOJU «



Większość artykułów pochodzi z miesięcznika:

DEFENSE DE LA PAIX

33, rue Vivienne — Paris II — Tel. CEN 49-27, 49-28

pod redakcją PIERRE COTA

deputowanego do francuskiego parlamentu

oraz

CLAUDE MORGANA, literata i publicysty

KOMITET DORADCZY

Dr ATAL (Indie), *prof. Uniwersytetu*, JOSE BERGAMIN (Hiszpania) *pisarz katolicki*, IZABELA BLUME (Belgia) *deputowana socjalistyczna*, GEORG BRANTING (Szwecja) *deputowany socjalistyczny*, ILJA ERENBURG (ZSRR), *pisarz*, Gen. ERIBERTO JARA (Meksyk) *b. minister*, MAHDI JAWAHIRI (Irak) *poeta*, LEON KRUCKOWSKI (Polska) *przewodn. Zw. Literatów Polskich*, MAO DUN (Chiny) *przewodn. Zw. Literatów Chińskich*, CESA NABARAOUI (Egipt) *dziennikarka*, PIETRO NENNI (Włochy) *b. minister*, MARIA ROSA OLIVER (Argentyna) *literatka*, LUIGI RUSSO (Włochy) *krytyk*, GORDON SCHAFFER (W. Bryt.) *publicysta*, ARNOLD ZWEIG (Niemcy) *pisarz*.

SPRAWA BEZPIECZEŃSTWA ZBIOROWEGO

PIERRE COT

PRAGNIEMY dzisiaj zwrócić uwagę naszych Czytelników na problem bezpieczeństwa zbiorowego, leżący u podstaw budowania pokoju na świecie.

Chodzi tutaj o starą już ideę, którą często przypominano w okresie istnienia Ligi Narodów. W Berlinie min. Mołotow zwrócił na tę ideę uwagę swoich rozmówców, jak również całego świata. Uczynił to w taki sposób, że wielki francuski mąż stanu, Edouard Herriot mógł powiedzieć, że w słowach min. Mołotowa odnalazł myśli i koncepcje, których niegdyś sam bronił i które są mu bliskie.

Organizacja bezpieczeństwa zbiorowego wymaga przyjęcia dwóch przepisów prawa międzynarodowego i wprowadzenia w życie kilku bardzo prostych idei.

Przepisy prawa międzynarodowego są następujące: z jednej strony sygnatariusze układu o zbiorowym bezpieczeństwie winni uznać i zagwarantować istniejące granice. Z drugiej strony winni oni zobowiązać się, że nie będą się mieszać w wewnętrzne sprawy innych państw. Każdy naród ma prawo obrać sobie urząd jak mu się podobą, to znaczy ma również prawo obalania, w razie konieczności przy użyciu siły, istniejącego rządu i ustroju, wyzwolenia się spod wszelkiego obcego powiernictwa itp.

* * *

IDEE na których opiera się organizacja bezpieczeństwa zbiorowego, można by streścić w następujący sposób:

- a) Procedura — pozwalająca zapewnić w najlepszy sposób pokojowe rozwiązanie międzynarodowych konfliktów i rozbieżności. Zależnie od przypadku, można się uciekać do arbitrażu, rozjemstwa lub rokowań.

- b) Jeden lub więcej układów o wzajemnej pomocy. Sygnatariusze tych układów zobowiązują się do pomocy zbrojnej w wypadku, gdyby jeden z nich padł ofiarą „agresji z zewnątrz“ w myśl definicji prawa międzynarodowego. Ich akcja może rozwijać się — oczywiście — jedynie w granicach i w okolicznościach przewidzianych w Karcie Narodów Zjednoczonych.
- c) Skuteczność działania traktatu o pomocy wzajemnej można zresztą wzmocnić drogą gwarancji, przyznanych sygnatariuszom tych układów przez inne państwa. Tutaj również gwarancje muszą się zawierać w ramach określonych przez ONZ.
- d) Organizacja bezpieczeństwa zbiorowego winna doprowadzić do znacznego zmniejszenia zbrojeń każdego z państw, korzystających z uprawnień pomocy wzajemnej. Punkt ten nie wymaga komentarzy, jest bowiem rzeczą pewną, że bezpieczeństwo zbiorowe i rozbrojenie to sprawy ściśle ze sobą związane i wzajemnie od siebie uzależnione.

* * *

POWYŻSZE uwagi pozwalają zrozumieć, w jakim stopniu organizacja bezpieczeństwa zbiorowego, nawet ograniczona do grupy państw, różni się od paktu atlantyckiego. Z jednej strony układ o bezpieczeństwie zbiorowym przeciwstawia się organizowaniu rywalizujących ze sobą „bloków“, a nie ulega wątpliwości, że polityka atlantycka związana jest z polityką „bloków“.

Z drugiej strony układ o bezpieczeństwie zbiorowym obowiązować będzie jedynie w razie agresji z zewnątrz. Tymczasem pakt atlantycki przewiduje tłumienie ruchów wewnętrznych. Przeciwstawia on się temu, co Abraham Lincoln nazywał „rewolucyjnym prawem“ narodów.

Wreszcie układ o bezpieczeństwie zbiorowym, którego celem jest poszanowanie niepodległości każdego państwa, wyklucza wszelkie stacjonowanie wojsk obcych na terytorium jakiegokolwiek państwa. Doświadczenie wykazało, że ten rodzaj „opieki“ państwa silnego nad państwem słabszym stwarzał najpoważniejsze zagrożenie wolności państw słabszych.

* * *

NIE jest naszym zadaniem — na łamach tego miesięcznika — zastępować prawników, dyplomatów i polityków, którzy winni dołożyć starań dla opracowania konkretnych projektów organizacji bezpieczeństwa zbiorowego. Niech każdy robi, co do niego na-

leży. Ale możemy wskazać dla przykładu, jak układ o bezpieczeństwie zbiorowym mógłby zacząć obowiązywać w tej starej Europie, która tak często stawała się zarzewiem wojny.

Min. Mołotow zaproponował dwa plany bezpieczeństwa zbiorowego w Europie. Pierwszy, który przedstawił w Berlinie, polegał na zawarciu ogólnego układu między wszystkimi narodami europejskimi, włącznie z Niemiecką Republiką Federalną i Niemiecką Republiką Demokratyczną — w oczekiwaniu na zjednoczenie Niemiec.

Drugi, zaproponowany po konferencji w Berlinie, mówi o przystąpieniu Związku Radzieckiego do paktu atlantyckiego, co przyczyniłoby się do ulepszenia tego paktu, przekształcając go w narzędzie współpracy między Zachodem a Wschodem. Jakież plany zbiorowego bezpieczeństwa wysuwały państwa Zachodu w obliczu tych propozycji min. Mołotowa? Niestety, jeszcze żadnych. Otóż, jeżeli chce się coś osiągnąć trzeba szukać kompromisu, to znaczy rozwiązania, które nie dając absolutnego zadowolenia wszystkim, byłoby jednak przez wszystkich do przyjęcia.

O ile rozwiązanie w postaci przystąpienia Związku Radzieckiego do paktu atlantyckiego może wydawać się jeszcze zbyt odległe od koncepcji obecnej polityki amerykańskiej, by mogło w najbliższej przyszłości doprowadzić do porozumienia, to — przeciwnie — dyskusja nad przedstawioną przez min. Mołotowa propozycją układu o zbiorowym bezpieczeństwie między wszystkimi krajami europejskimi mogłaby otworzyć drzwi do kompromisu, którego sobie życzymy. Min. Mołotow oświadczył zresztą, że skłonny jest uwzględnić poprawki do swego pierwotnego projektu.

Inny środek można by znaleźć być może w utworzeniu paktu wzajemnej pomocy, zawartego przez wszystkie kraje, sąsiadujące z Niemcami. Same Niemcy po zjednoczeniu mogłyby przystąpić do tego paktu pod warunkiem, że ich granice i ich zbrojenia zostałyby wyraźnie określone i solidnie zagwarantowane.

W pakcie tym uczestniczyłyby wielkie mocarstwa zainteresowane utrzymaniem pokoju na kontynencie europejskim, w szczególności udzielając gwarancji dla granic Niemiec i ich sąsiadów. Wreszcie wprowadzonoby procedurę arbitrażu dla regulowania rozbieżności o charakterze prawnym i rozjemstwa w konfliktach o charakterze politycznym.

Tych kilka uwag pozwala zrozumieć, że możliwe jest zorganizowanie bezpieczeństwa zbiorowego w Europie. To co jest możliwe i potrzebne dla Europy, jest możliwe i potrzebne dla Azji, gdzie pakt bezpieczeństwa zbiorowego, w którym uczestniczyłyby Chiny,

Para pacem

Ks. JEAN BOULIER

WJAKI sposób może jakiś naród zapewnić swoje bezpieczeństwo, to znaczy uchronić swoje terytorium i swoją ludność przed agresją wroga? Pierwszą, najbardziej prostą i najbardziej prymitywną odpowiedzią na to pytanie jest użycie siły zbrojnej: poleganie na swoich wojskach i na ich wyższości nad ewentualnym przeciwnikiem.

Inne rozwiązanie polega na tym, aby z góry odebrać wszelkie szanse powodzenia agresji. W takim wypadku cena, jaką trzeba by zapłacić za inwazję, wyda się zbyt wysoka, nawet gdyby można wreszcie liczyć na zwycięstwo. Tak właśnie wygląda szwajcarska koncepcja szkolenia i ewentualnego użycia małej armii tego kraju. Inwazja Szwajcarii nie opłaciłaby się: trzeba by zbyt drogo za to zapłacić. Zobaczymy dalej, jak wygląda ta koncepcja w ujęciu amerykańskim.

Jeśli bierze się w rachubę koncepcję równowagi sił, wtedy sprawa

się komplikuje, wtedy wyłania się problem aliansów. Traktat o sojuszu ma na celu przeciwstawić przeważającej sile agresywnej — potęgę sojuszu, która przywraca równowagę, prawie uniemożliwia zaskoczenie, a zwłaszcza zwycięstwo agresora i gwarantuje w ten sposób wspólne bezpieczeństwo sojuszników.

Wojna 1914 r. wykazała dobitnie bezużyteczność i szkodliwość tego systemu. Równowaga między dwoma wrogimi blokami została skalculowana tak precyzyjnie, że wynikło stąd straszliwe przedłużenie masakr i spustoszeń. Alianci byli związani systemem sojuszków i gwarancji, których sztywność wykluczała niemal wszelką swobodę manewrowania w ostatnim momencie. Pod koniec lipca 1914 r. pochodnia wojny przechodziła z rąk do rąk, zapalając wreszcie ostateczny pożar. Żaden z uczestników nie mógł się wyrwać z fatalnego łańcucha zobo-

wizań, którym się skrępował, i wreszcie obydwaj bloki runęły razem w przepaść.

Naród angielski długo sądził, że posiada swobodę wyrażenia lub odmowy swej zgody na udział w krwawej awanturze. Ale od chwili zawarcia „Entente cordiale“, po przeprowadzeniu tajnych rozmów między sztabami generalnymi flota francuska została skoncentrowana na Morzu Śródziemnym, pozostawiając flocie angielskiej obronę wybrzeży francuskich od strony Kanału La Manche i Atlantyku. Anglia była więc związana tak, jak tylko można być związanym, a oczekiwane i przewidziane przez wszystkie sztaby generalne pogwałcenie neutralności Belgii było tylko pretekstem służącym do zdobycia poparcia angielskiej opinii publicznej dla interwencji, zadecydowanej od dawna dla zupełnie innych powodów i bez wiedzy narodu angielskiego.

Taki system sojuszków oparty na koncepcji równowagi sił jest zarazem powodem wyścigu zbrojeń. **Si vis pacem para bellum** — jeśli chcesz pokoju, to przygotuj wojnę. Tego rodzaju przygotowania są rujnujące dla narodów, natomiast są one zyskowne dla firm, które wykonują zamówienia. Ale tego rodzaju olbrzymie wysiłki muszą być podtrzymywane przy pomocy kampanii nienawiści i podżegania opinii publicznej — a rządy stają się wreszcie niewolnikami tego proceduru.

Wzniciwszy w zastraszonych i rozbestwionych masach nienawiść i strach wobec przyszłego nieprzyjaciela, nie można już spowodować przyjęcia przez opinię publiczną po-

kojowych i rozsądnych rozwiązań sporu, jaki może się niespodzianie wyłonić, gdyż tego rodzaju rozwiązania zakładają zdolność do kompromisu i wzajemnych ustępstw. Pewna część amerykańskiej opinii publicznej wzdryga się na samą myśl o ugodzie ze Związkiem Radzieckim, tak jak niegdyś we Francji nie wybaczone Caillaux układów w sprawie Konga, na mocy których uzyskał zgodę Niemiec na nasze definitywne zainstalowanie się w Maroku.

Jeśli się dobrze zastanowimy, to będziemy musieli stwierdzić, że polityka prowadzona przez Stany Zjednoczone od chwili kapitulacji hitlerowskich Niemiec doprowadziła nas do analogicznej sytuacji, w jakiej znalazły się stosunki międzynarodowe w przeddzień wybuchu pierwszej wojny światowej.

Gwarancje podjęte w ramach paktu północno-atlantycznego oznaczają, że wszyscy uczestnicy tego paktu, powiązani ze sobą, znajdują się bezpośrednio i bezwarunkowo w stanie wojny, w razie zaistnienia agresji bezpośredniej lub pośredniej, aktów zaburzeń bezpośrednich lub pośrednich, które by zaistniały w jakimkolwiek punkcie planety i które by były skierowane przeciwko któremukolwiek z partnerów.

Zastosowanie broni klasycznych warunkuje raczej pewną powolność w rozwoju operacji. Widzieliśmy to w 1939 r. w czasie inwazji na Polskę: w ciągu kilku godzin przerwy w działaniach wojennych można było jeszcze wszystko uratować. Ale broń atomowa uderza bezpośrednio i nieodwracalnie: w kilka sekund po

powzięciu decyzji ogłoszenia, że nastąpiła „agresja“, ruszy już machina ich strasznego zastosowania.

Podobnie jak w 1914 r., sporadyczne incydenty lotnicze podniecają nerwy do ostatecznych granic: incydenty na Wyspach Kurylskich, na Bałtyku, w Czechosłowacji, w Niemczech.

System sojuszków i równowagi sił, który miał za zadanie z góry odebrać ochotę do agresji, albo — jak twierdzą obecnie w Stanach Zjednoczonych — miał z góry „sterroryzować“ agresora, ten system po wojnie 1914 r. został ogólnie potępiony. Ten system bezpieczeństwa, oparty na układach o sojuszach, chciano zastąpić systemem ogólnego bezpieczeństwa zbiorowego i tak doszło do uniwersalnego paktu Ligi Narodów.

Aby pokrótce określić postęp dokonany przez Ligę Narodów, wystarczy przypomnieć, że w myśl postanowień zawartych we wstępie do wspomnianego paktu państwa uczestniczące przyjmowały „pewne zobowiązania nie uciekania się do wojny“.

Wyobraźmy sobie, że obecnie stawia się Stanom Zjednoczonym takie oto proste pytanie: czy moglibyście wziąć pod uwagę pewną liczbę wypadków, w których zrezygnowalibyście z uciekania się do wojny przeciw ZSRR? Na przykład, czy zgodzilibyście się oddać pod międzynarodową ocenę, lub do rozpatrzenia jakimś międzynarodowemu trybunałowi akty, na które się skarżycie jako na akty „agresji“?

Natrafilibyśmy na kategorię sprzeciw. Stany Zjednoczone nie zgadzają się absolutnie w jakikol-

wiek sposób zdefiniować tego, co one rozumieją pod pojęciem „agresja“. Czysto jednostronnym aktem Organizacja Narodów Zjednoczonych (a raczej jej amerykańska większość — Red. pol.) określiła mianem „agresorów“ Koreę Północną i Chiny, nie wysłuchując nawet opinii przedstawicieli tych państw.

Podobnie ma się rzecz w wypadku paktu atlantyckiego. Wszystko jest zawarte w niezwykle mętym określeniu „słuszną obrona“. Na mocy artykułu 51 Karty Narodów Zjednoczonych poszczególne państwa mogą w każdej chwili uciec się do tego rodzaju „obrony“ i wywołać trzecią wojnę światową, podczas gdy Rada Bezpieczeństwa dopiero później ma wskazać na środki zatrzymania kaskadizmu w jego niszczącym pochodzie.

W istocie rzeczy, system, którym Karta Narodów Zjednoczonych zastępuje pakt Ligi Narodów, nie stanowi bazy bezpieczeństwa zbiorowego, ale jest wyrazem trwałego sojuszu pięciu wielkich mocarstw w celu utrzymania pokoju. Praktycznie oznacza to, że jednomyślność i przeważająca potęga militarna Wielkiej Piątki w tym systemie gwarantuje pokój światowy.

Ta koncepcja, jako bardziej realistyczna, mogłaby zapewnić Narodom Zjednoczonym większą skuteczność, niż ją miała Liga Narodów. Jednakże zerwanie przyjaznych stosunków między pięcioma wielkimi mocarstwami i kontynuowanie zimnej wojny pozbawiło te gwarancje wszelkiej skuteczności i oto znaleźliśmy się znowu w obliczu takiej samej anarchii międzynarodowej, ją-

ka panowała na świecie w roku 1914. polityka równowagi sił między dwoma blokami, których terytorium pokrywa całą planetę, system grających automatycznie sojuszków, które może wprowadzić w ruch pierwszy lepszy incydent, napięcie opinii publicznej — wszystko to bardzo ogranicza margines, na którym rządy mogą prowadzić rokowania.

Już mówi się o olbrzymich znieszczeniach, jakie przyniosłaby ze sobą trzecia wojna światowa i w obliczu tego strasznego obrazu, który przeraża narody, tak jak w roku 1919, powraca się do koncepcji bezpieczeństwa zbiorowego, to znaczy do zapewnienia generalnej gwarancji dla niepodległości i wolności każdego z uczestników. Oto artykuł 10 paktu Ligi Narodów: „Członkowie Ligi zobowiązują się respektować i utrzymać wobec wszelkiej agresji zewnętrznej całość terytorialną i obecną niezależność polityczną wszystkich członków Ligi“.

Gwarancje te nie zdały egzaminu w praktyce. Każdy z uczestników uważał, że on sam miał określać zakres takiego zobowiązania i że on sam miał suwerennie decydować o środkach, przy pomocy których miał się z tego zobowiązania wywiązać. Historia Ligi Narodów stanowi pod tym względem łańcuch opłakanych zawodów. Ostatnim i najbardziej upokarzającym z tych zawodów była jej niezdolność wstrzymania wojny w Abisynii, w obliczu jawnej i bezwstydnej agresji faszystowskich Włoch.

Okazało się, że artykuł 10 był zbyt ogólny, że miał zbyt uniwersalny zasięg w przestrzeni, aby być czymś

więcej, niż wykładnikiem ogólnej zasady prawnej. Aby stworzyć zapórę przeciw wojnie, trzeba było bardziej skutecznych gwarancji.

W okresie powojennym wybijały się na czoło dwie koncepcje: koncepcja utrzymania **status quo** i koncepcja rozwojowa. Pierwsza była pochodzenia francuskiego. Francja pragnęła zachować hegemonię, jaką posiadała na kontynencie europejskim po swym zwycięstwie w 1918 r. Ale, zagrożona przez nagły zryw Niemiec, faworyzowany przez Anglię i Stany Zjednoczone, chciała ustabilizować korzystny dla niej i już zagrożony stan rzeczy. Niemcy, które za cenę przykrego bankructwa pozbyły się ciężaru olbrzymich długów wewnętrznych, Niemcy wspomagane przez kapitały amerykańskie, zdecydowane nie płacić reparacji i odzyskać utracone terytoria na Wschodzie — już przed nadejściem Hitlera zmierzały do polityki dynamicznej i awanturniczej.

Pod auspicjami Anglii — i Włoch! — które gwarantowały, ale nie otrzymywały gwarancji (a więc tylko one pozostawały w pełni suwerenne), Francja i Niemcy podpisały w Lokarno układ o wzajemnych gwarancjach. W układzie tym, zawartym na stopie równości, oba państwa uznawały istniejącą granicę między Francją a Niemcami za granicę ostateczną, a w pakcie o nieagresji zobowiązywały się do poszanowania warunków paktu Ligi Narodów w sprawie pokojowego regulowania sporów, jakie mogły między nimi wyniknąć. W 30 lat potem odnajdujemy istotę tego paktu w układzie z Bonn, który uznaje suwerenność

Republiki Federalnej i eliminuje wszelką dyskryminację między nią a Francją.

Jednakże w Lokarno Niemcy odmówiły podjęcia jakiegokolwiek zobowiązania w sprawie swej granicy wschodniej. Pragnęły one zachować sobie wolne ręce dla swej przyszłej ekspansji na Wschód, dla ekspansji na ziemie słowiańskie, które wkrótce potem Hitler nazwał swoją „przestrzenią życiową“.

Kancelarz Adenauer, nie uznając granicy na Odrze i Nysie, widzi na Pomorzu, Śląsku i w Prusach ziemie, które były niemieckimi i które powinny znów stać się niemieckimi. Adenauer mówi, że winno to być osiągnięte „środkami pokojowymi“, ale iluzji nie pozostawia żadnej.

Francja mogła przez pewien czas przeciwstawić apetytom hitlerowskich Niemiec wysiłki Barthou. Ten prawdziwy mąż stanu, który wreszcie miał paść zamordowany — czyż był to przypadek? — przez kroackich ustaszów Pawelicza, rozumiał, że pokój mógł zapewnić jedynie system bezpieczeństwa zbiorowego, to znaczy układ zawierający powszechne gwarancje, otwarty dla **wszystkich** państw Europy wschodniej łącznie z Niemcami. Tę jego koncepcję nazwano **Lokarnem Wschodu**, którego zadaniem miało być uzupełnienie **Lokarna Zachodu** na tych samych zasadach wzajemnych gwarancji.

Przeprowadzone przez Barthou rozmowy w stolicach państw wschodnich wykazały, w jak dużym stopniu rządy tych państw stały w rydwanie hitlerowskiego antykomunizmu. Czując zbliżającą się bu-

rzę, rządy te wołały ją skierować przeciw Związkowi Radzieckiemu. Podobnie jak Niemcy Adenauera, Niemcy hitlerowskie zdołały podzielić, rozbić siły, które — zdaniem Niemiec — rzekomo je „okrażały“ i zachować sobie wolne ręce do ataku na Wschód.

W dniu 9 października 1934 r. Barthou padł w Marsylii od kul morderców.

„Zastąpienie Barthou przez Lavalą — pisze Emil Giraud, który obserwował wtedy ze swego eksponowanego stanowiska w Genewie rozwój całej tej polityki — jakkolwiek wynikło ono nie z decyzji parlamentu czy kraju, ale było spowodowane tragicznym wydarzeniem, miało konsekwencje niezwyklej wagi: oznaczało ono całkowitą zmianę pewnego kierunku politycznego“.

Po podpisaniu francusko-radzieckiego paktu o wzajemnej pomocy w dniu 2 maja 1935 r. winny były nastąpić rozmowy przedstawicieli sztabów generalnych. Laval sprzeciwił się temu kategorycznie. Wzajemne bezpieczeństwo, które miał gwarantować pakt, istniało tylko na papierze. Zdawano sobie z tego sprawę w Monachium. Związek Radziecki został wykluczony z grona efektywnych gwarantów pokoju i określony jako cel przyszłych agresji.

Jeśli się myśli o obecnym odradzaniu militarystyki w Niemczech zachodnich, nie można czytać bez uczucia obawy tych oto słów, które ukazały się w języku francuskim w 1947 r., a zostały napisane o wiele wcześniej:

„Opierając się na magnatach przemysłu i banków, wciągając przy po-

mocy faszystowskiej demagogii mało uświadomione masy do swego rydwanu, prowadząc nacjonalistyczną agitację i z wściekłością głosząc odwet wojskowy, Hitler prowadził Niemcy do nowej wojny z zaciętością maniaka... Przygotowania te maskowano przy pomocy bezczelnych zapewnień niemieckich faszystów, którzy głosili swe umiowanie pokoju... Hitler uwodził najbardziej reakcyjne środowiska europejskiej opinii publicznej, głosząc „wyprawę krzyżową” przeciw bolszewizmowi. W obliczu tego niebezpieczeństwa dyplomacja radziecka niestrudzenie wzywała wszystkie kraje pragnące żyć w pokoju, aby się zjednoczyły w celu zapewnienia **bezpieczeństwa zbiorowego**“. (W. Potemkin, *Historia dyplomacji*, t. III, str. 611).

Otóż wtedy pewien brytyjski mąż stanu wskazywał w Izbie Gmin na konieczność powrotu do systemu bezpieczeństwa zbiorowego. Był nim Winston Churchill, który oświadczył:

„Twierdzę, że rząd powinien w najbardziej stanowczy sposób wyrazić nasze przystąpienie do paktu Ligi Narodów oraz nasze zdecydowanie, aby w drodze akcji międzynarodowej zapewnić poszanowanie prawa w Europie“. I dalej: „Cóż jest śmiesznego w idei zbiorowego bezpieczeństwa? Jest tylko jedna rzecz śmieszna, dotycząca zbiorowego bezpieczeństwa, a rzeczą tą jest fakt, że nie posiadamy tego bezpieczeństwa zbiorowego“. (W. Churchill, *Arms and the Covenant*, str. 449—450).

Ta historyczna reminiscencja pozwala nam lepiej zrozumieć całą do-

niosłość propozycji w sprawie systemu bezpieczeństwa zbiorowego, złożonych przez ministra Mołotowa w dniu 10 lutego 1954 r. w czasie obrad konferencji berlińskiej ministrów spraw zagranicznych czterech mocarstw. Dziś, podobnie jak przed 30 laty, chodzi o przeciwstawienie się remilitaryzacji Niemiec i o zbudowanie pokoju w Europie na podstawach niewzruszalnych.

Układ Barthou — Litwinow miał zapewnić bezpieczeństwo zbiorowe i pokój. Niestety, przyszedł Laval i otwarto bramę dla wojującego faszystwu. Dziś, w obliczu tych samych niebezpieczeństw, Związek Radziecki niezmordowanie podejmuje to samo rozwiązanie, podyktowane przez zdrowy rozsądek i przez doświadczenie. Czy raz jeszcze pozwolimy wymknąć się tej okazji?

„Strasliwej wojnie, mogącej swoim zniszczeniem unicestwić pomyślność świata, można zapobiec tylko poprzez zaangażowanie przeważających sił, cieszących się poparciem opinii światowej i skierowanych przeciw **każdemu agresorowi**, który chwyciłby za broń“. (W. Churchill, *Arms and the Covenant*, str. 362).

Winston Churchill napisał te prozoczne słowa w roku 1938. Zachowały one nadal swą aktualność w obliczu perspektywy trzeciej wojny światowej. Każą nam one wznieść przeciwko przedsięwzięciom **jakiegokolwiek** agresora, jakby się nie nazywał i jakim by się nie zaślaniał pretekstem — system bezpieczeństwa zbiorowego jako jedyną przeszkodę, o którą ostatecznie rozbije się dręcząca narody groźba.

Gdyby nie było ruchu w obronie pokoju...

CLAUDE MORGAN

JAK mówi francuskie przysłowie przy pomocy „gdyby“ można by wsadzić Paryż do butelki. Jest to przysłowie, które zniechęca do snucia marzeń. Złe przysłowie. Trzeba puszczać wodze fantazji, jak strzałę w przestrzeń, na kształt lotu ptaka. Nigdy nie mamy dosyć wyobraźni i nigdy nie jest dostatecznie żywa, abyśmy umieli wejść w położenie naszych bliźnich i uświadomić sobie cierpienia żyjących istot.

Miał rację Sartre, kiedy na Kongresie Narodów w Wiedniu oświadczył, że abstrakcja (to znaczy zapominanie o konkretnych realiach) prowadzi do konfliktu na skutek obojętności i strachu, jaki budzi i że — przeciwnie — zrozumienie konkretnych realiów prowadzi do pokoju. Ale jakkolwiek dziwne to się wydaje, trzeba mieć wiele wyobraźni, by zrozumieć konkretne realia — nie własne, rzecz sama przez się jasna — ale cudze. Oto dlaczego trzeba puszczać wodze fantazji.

Gdyby nie istniał ruch w obronie pokoju, to znaczy, gdyby przed pięcioma laty nie można było w Paryżu zwołać pierwszego Kongresu obrońców Pokoju, skąd wywodzi się ruch w obronie pokoju, gdzie byśmy się dzisiaj znajdowali?

Naturalnie, jeżeli wam powiem, że byłaby wojna, odparlibyście, że nie można tego na pewno twierdzić i mielibyście rację. Nie chcę nawet snuć rozważań na temat, co mogłoby się było wydarzyć, kiedy w najbardziej dramatycznym momencie wojny w Korei, mowa była o rzuceniu bomb atomowych na Chiny, gdyby światowa opinia publiczna, pobudzona kampanią na rzecz Apelu Sztokholmskiego, nie zmobilizowała się przeciw tej groźbie.

Chciałbym po prostu, abyście się zastanowili, do jakiego stopnia czuliśmy się bezbronni i bezradni, gdybyśmy byli pozbawieni — dla skoordynowania naszych wysiłków — tej wielkiej międzynarodowej organizacji, jaką jest Światowa Rada Pokoju, wyraziciel ruchu w obronie pokoju i wcielenie woli narodów.

Pomyślcie o olbrzymiej, przebytej przez nas drodze, o pięciu latach przeciwstawiania się złu, tego wolnego posuwania się krok za krokiem, tego zdobywania światowej opinii publicznej, którą wyrwaliśmy spod działania oszukańczych sloganów: „Nic nie da się zmienić... Wojna jest nieunikniona jak długo istnieją ludzie na ziemi...”

Pomyślcie, ale nie tylko pomyślcie, zdajcie sobie sprawę z tej nieustannie rosnącej siły opinii publicznej, która przeciwstawia się narastaniu grozy, która narzuciła rozejm w Korei. Dzisiaj cały świat, wybitne osobistości daleko stojące od ruchu w obronie pokoju występują z potępieniem broni atomowej.

Nie tylko już ruch w obronie pokoju, ale także Pandit Nehru, także brytyjscy labourzyści i papież potępiają bombę atomową.

Nie tylko już ruch w obronie pokoju, ale Bevan, generał de Gaulle, belgijski senator Henri Rolin, Jules Moch i były prezydent Republiki Francuskiej Vincent Auriol potępiają „europejską wspólnotę obronną“.

Narodziny ruchu w obronie pokoju stanowią wydarzenie w historii ludzkości. Człowiek zdobył coś zupełnie nowego — odtąd każdy ma możliwości zerwania ze swym osamotnieniem, przyłączenia się do braci ze wszystkich krajów, wszystkich ras, wszystkich poglądów i działać osobiście na rzecz utrzymania życia ludzkiego.

Niezależnie od tego, kim jesteśmy, winniśmy w tym dniu oddać hołd tym wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej nowej siły, bowiem siła ta służy sprawie pokoju. Jest ich legion. Są to nie tylko członkowie Światowej Rady Pokoju, którzy cierpliwie, a bezinteresownie kontynuują swoje wysiłki pod przewodnictwem najbardziej ludzkiego pośród ludzi Fryderyka Joliot-Curie, ale również miliony nieznanych bojowników, którzy zbierali podpisy,

budzili świadomość, a bez których nie odbyłaby się ani kampania na rzecz Apelu Sztokholmskiego, ani kampania przeciw „europejskiej wspólnocie obronnej“, ani kampania na rzecz zwycięstwa ducha rokowań.

Dzięki istnieniu ruchu w obronie pokoju mogła się odbyć konferencja w Berlinie, toczą się obrady w Genewie, wyszła z odrętwienia wymiana handlowa i wymiana kulturalna. Ale nie wyszliśmy jeszcze z mroków nocy. W chwili, gdy piszę te słowa umiera jeden z rybaków japońskich, rażony radioaktywnymi promieniami bomby wodorowej z Eniwetok. A każdy człowiek odczuwa tę śmierć jak wyrzut, że nie działał dostatecznie szybko, dostatecznie mocno. I każdy człowiek odczuwa tę śmierć jako ostrzeżenie, że powinien się śpieszyć, aby wszystkie narody naszej planety uniknęły losu nieszczęśliwych ofiar tego, co było jeszcze tylko zwykłym doświadczeniem.

Gdyby nie istniał ruch w obronie pokoju, pomyślcie jak słabe byłyby szanse powodzenia, to znaczy przeżycia. Ale ruch w obronie pokoju istnieje. Wychodzi ze swoich ram, ożywia, pociąga za sobą, a jego wpływ promieniuje coraz to szerzej.

Po raz pierwszy przedstawiciele pięciu wielkich mocarstw znajdują się w Genewie twarzą w twarz i dyskutują z zainteresowanymi państwami nad żywotnymi problemami pokoju w Azji. W tym tak szczególnie ważnym momencie, w tym momencie tak długo oczekiwanym, Światowa Rada Pokoju obradowała na nadzwyczajnej sesji w końcu maja w Berlinie.

„Amerykańska wspólnota obronna”

G. D. NIBAUT

PAMIĘTAMY, jak Foster Dulles zagroził w Berlinie, że porzuci konferencję, która go bynajmniej nie interesowała, by udać się do Caracas i zająć się sprawami nieskończenie poważniejszymi jego zdaniem — X Konferencją krajów południowoamerykańskich, rozpoczynającą się 1 marca w stolicy Wenezueli.

Sądząc po rezultatach tego spotkania, Foster Dulles niezupełnie mylił się ze swojego punktu widzenia, interesując się stanowiskiem południowych sąsiadów swojego kraju.

Wiadomo, że kraje Ameryki Łacińskiej stanowią olbrzymią rezerwę surowców, że Stany Zjednoczone, wyparłszy w ciągu dwóch wojen światowych większość konkurentów poza-kontynentalnych stały się panami rynku i że opanowywanie przez Stany Zjednoczone życia gospodarczego tych krajów wzbudza wzrastający ich opór.

IX Konferencja Panamerykańska odbyła się w Bogocie w 1948 r. Jej

obrazy zakłócone zostały zamieszkami na skutek zamordowania pewnego działacza liberalnego i stolica Kolumbii spłynęła krwią.

Zamieszki te pozwoliły generałowi Marshallowi, który obecny był na tej konferencji z ramienia Stanów Zjednoczonych, odpowiedzieć wymijająco na pewne żądania gospodarcze południowych sąsiadów USA, zaniepokojonych nieustannym wzrostem cen przemysłowych i mocno niezadowolonych z ustalenia cen surowców, których oni są dostawcami. Mówiono o komunizmie. Zdecydowano, że „lewicowi ekstermiści” uknułi spisek. Zbrodnia przydała się przede wszystkim zwolennikom poprzedniego stanu rzeczy.

Delegacje z krajów Ameryki Łacińskiej nie dały się na to nabrać; uprzejmie wezwane do uchwalenia rezolucji o komunizmie, która miała pozwolić Stanom Zjednoczonym na udzielenie im „pomocy policyjnej”, zastosowały się do życzenia potężnych

sasiadów, zaopatrując jednocześnie „Kartę Bogoty“ w serię sprostowań, głoszących poszanowanie dla zasady wewnętrznej suwerenności państw.

W owym czasie uważano nawet, że wybór Caracas jako siedziby następnej konferencji stanowi pośrednią odpowiedź na nacisk delegacji Stanów Zjednoczonych. Istotnie oceniano wówczas Wenezuelę jako ojczyznę awangardy. Rząd, po raz pierwszy w historii wybrany na zasadach demokratycznych, walczył z północno - amerykańskimi towarzystwami naftowymi, kontrolującymi gospodarkę Wenezueli.

Ale niebawem miejsce liberalnego rządu Wenezueli zajęła junta wojskowa, której stanowisko polityczne jest krańcowo przeciwnie od poprzedniego. I trzeba było całego nacisku Stanów Zjednoczonych, aby Caracas pozostało mimo wszystko siedzibą następnej konferencji.

* * *

Od chwili przejęcia władzy przez republikanów rozdziwki między obiema Amerykami jeszcze się poszerzyły. Zakończenie wojny w Korei i związany z tym spadek cen postawił rządy krajów Ameryki Łacińskiej w obliczu problemów dla nich nie do rozstrzygnięcia.

Toteż pojawiły się tu i ówdzie takie rozwiązania, jak nacjonalizacja ropy w Brazylii, nacjonalizacja cyny i reforma rolna w Boliwii, reforma rolna i polityka niepodległości narodowej w Guatemali, układy handlowe z krajami demokracji ludowej

i Związkiem Radzieckim, zawarte przez Argentynę, Brazylię, Ekwador itp.

Stany Zjednoczone dysponują jedyną bronią przeciw temu ruchowi, mianowicie hasłem „umocnienia jedności kontynentu“. Odwołują się do dawnego, jeszcze dzisiaj dosyć żywego w świadomości kół kierowniczych krajów Ameryki Łacińskiej — marzenia o stworzeniu szerokiej federacji państw, gdzie wspólnie eksploatowanoby zasoby dla najlepszego wykorzystania przez wszystkich.

Jednakże, ponieważ narody Ameryki Łacińskiej są niesłuchanie różnicowane, ponieważ ich gospodarka znajduje się w najrozmaitszych stadiach rozwoju, jest rzeczą oczywistą, że to szlachetne marzenie będzie mogło być urzeczywistnione jedynie wtedy, gdy szeroko rozwiną się siły narodowe, gdy prawdziwa równość wyrazi się w konkretnych faktach.

Podobnie jak w zachodniej Europie, gdzie polityka Stanów Zjednoczonych zmierza do sfederowania wszystkich krajów w jednej „europejskiej wspólnocie obronnej“ — w Ameryce Łacińskiej pakt z Rio (amerykański odpowiednik paktu atlantyckiego) miał na celu zbudowanie podstaw przyszłej „amerykańskiej wspólnoty obronnej“, w której Stany Zjednoczone zajmowałyby również dominujące stanowisko.

Trudności, napotykanne w Europie zachodniej przy tworzeniu zrębów „europejskiej wspólnoty obronnej“ i przyjęcie przez Pentagon strategii peryferyjnej, powodują, że amerykańska administracja republikańska usiłuje ugryźć podwójny kęs w Ame-

rycę Łacińskiej i że coraz mniej bierze pod uwagę zastrzeżenia, ujawniające się wobec tych planów na tym obszarze.

I oto Stany Zjednoczone spotkały się z niepowodzeniem przy montowaniu dwustronnych układów, przewidzianych dla umocnienia ogólnego paktu z Rio. Podpisało je pięć krajów na dwadzieścia, a tylko trzy je ratyfikowały. Foster Dulles pragnął przywrócić w Caracas rumieńce życia kruchym układom z przeszłości, wymachując znowu straszakiem komunizmu. Uzyskanie od uczestników konferencji uchwalenia rezolucji antykomunistycznej było — z braku ściślejszego zobowiązania — otworzeniem drogi do kontroli politycznej kontynentu przez Stany Zjednoczone. Oznaczało to również wymiganie się od poruszenia niezmiernie ważnych problemów gospodarczych.

CZARNA OWCA

Od października 1944 r. mała republika Ameryki Środkowej, Guatemala zwycięsko broni swojej niepodległości. Silny rząd, wybrany na zasadach demokratycznych, podjął zadanie wyzwolenia kraju z jego odwiecznych ran — ciemnoty, latyfundiów i obcego wyzysku.

Ale ten rząd szerokiej jedności narodowej stanowi dla interesów „**United Fruit**” trustu, który dotąd o wszystkim decydował w tym kraju, prawdziwe niebezpieczeństwo. Czyż nie zażądał on od wszechmocnej spółki uregulowania zaległości podatkowych? Czyż nie przeprowadził reformy rolnej?

John Foster Dulles — fakt niepozabawiony pikanterii — jest jednym z głównych akcjonariuszy spółki bananowej. Przykład Guatemali, która przeprowadziła — drogą sprawiedliwego odszkodowania obliczonego według zysków, zeznanych przez „**United Fruit**” — ziemię, pozostawione przez spółkę odlogiem, może znaleźć naśladowców.

Rząd Costariki, wyraźnie antykomunistyczny, bowiem obecny prezydent jest jednym z głównych zwycięzców kontrewolucji z 1948 r., która obaliła rząd lewicowy, jest od listopada 1953 r. narażony na całą serię gwałtownych ataków ze strony republikańskiej prasy Stanów Zjednoczonych. On bowiem również domaga się, by „**United Fruit**” zapłaciła zaległe podatki. Rząd Costariki odmówił uczestniczenia w konferencji w Caracas.

Rząd Guatemali na skutek swojej zdecydowanej narodowej postawy narażony był wielokrotnie na ataki. Ponad trzydzieści zamachów stanu uknutych pod wpływem zagranicy chybiło celu w okresie ostatnich ośmiu lat.

W ciągu roku ubiegłego ton prasy północno - amerykańskiej stał się jeszcze ostrzejszy; nazywa ona rząd Guatemali „komunistycznym”, gdy tymczasem w rzeczywistości nie zasiada w rządzie ani jeden komunist. Członkowie Izby Reprezentantów Martin, Mac Cormick, Mansfield otwarcie mówili o zbrojnej interwencji. Spruille Braden był podsekretarz stanu, a również członkiem rady administracyjnej „**United Fruit**” posunął się jeszcze dalej i oświadczył na konferencji, że „inter-

wencji zbrojnej przeciw Guatemali nie należałoby uważać za prawdziwą interwencję, ponieważ w każdym razie Guatemala stanowi przyczółek radziecki i niebezpieczeństwo dla Stanów Zjednoczonych". Senator Whyler podchwycił argument o „przyczółku radzieckim“.

W ten sposób stworzony został klimat dla operacji, opracowanej przez waszyngtońską służbę wojny psychologicznej.

W chwili, gdy otwierała się konferencja w Caracas z porządkiem dziennym, wymierzonym przeciw „konszachtom komunistycznym“, nadeszła wiadomość, że Alberto Lleras Camargo, stały sekretarz Organizacji Państw Amerykańskich, podał się do dymisji. Lleras Camargo, znany skądinąd ze swoich sympatii dla Stanów Zjednoczonych, ujawnił swoje uczucia w raporcie, rozdanym pomiędzy uczestników konferencji:

„Czy znajdzie się — pisał — arbi-
ter, który zdolny byłby powiedzieć,
kiedy interwencja jest słuszna i o-
piera się na niewątpliwych zasadach
moralnych, a kiedy służy ona —
wprost przeciwnie — celom imperia-
listów?“.

Kolejno delegaci Meksyku, Argen-
tyny, Urugwaju, Chile wnosili jedną
poprawkę po drugiej. Opór nie był
dostatecznie wielki, by uniemożliwić
głosowanie nad rezolucją, która zo-
stała uchwalona 17 głosami przeciw
1 (Guatemala) i 2 wstrzymującymi się
(Meksyk i Argentyna). Ale rezolucję
wyraźnie osłabiono. Delegatom kra-

jów Ameryki Łacińskiej powiodło
się wprowadzić do niej artykuł, po-
twierdzający świętą zasadę we-
wnętrzej suwerenności.

Po uchwaleniu rezolucji uczestni-
cy konferencji prowadzili obrady
przy niemal całkowicie obojętnej po-
stawie wielkiej prasy. Wtedy to de-
legacje południowo - amerykańskie
przeszły do kontrofensywy. Uchwalo-
no wiele rezolucji, które swoim du-
chem miały stanowić przeciwwagę
rezolucji Dullesa. Jedna z takich re-
zolucji zawiera uroczyste potępienie
kolonializmu; uchwalono ją 19 gło-
sami przeciw jednemu (Stanów Zje-
dnoczonych).

Oficjalnie oceniana jako zwycię-
stwo przez dyplomację Stanów Zje-
dnoczonych konferencja w Caracas
oznacza istotnie w inny jednak spo-
sób — datę w historii spotkań pana-
merykańskich. Po raz pierwszy od-
kąd sekretarz stanu Blaine postano-
wił skoordynować pod kierowni-
ctwem Stanów Zjednoczonych poli-
tykę ich południowych sąsiadów, re-
zolucja, zawzięcie broniona przez
sekretarza stanu USA, była otwar-
cie zwalczana. Po raz pierwszy od
1889 r. kraje Ameryki Łacińskiej od-
ważyły się głosować przeciw Stanom
Zjednoczonym.

Umyślna nieobecność Costariki, od-
ważny sprzeciw Guatemali, pow-
strzymanie się od głosowania Me-
ksyku i Argentyny, oto nowe zjawis-
ko. Oklaski, które powitały ministra
Toriella i delegację guatemalską,
świadczą o dążeniu krajów Ameryki
Łacińskiej do prowadzenia polityki
niezależności.

Ołtarz Krakowski

NIEWIELU jest na świecie miłośników sztuki, którzy by nie potrafili odnaleźć, lub opisać w paru słowach Ravenny i Mauzoleum Galii Placydii, Kaplicy Sykstyńskiej i wykonanego przez Grünewalda ołtarza w Insenheimie.. lub jeszcze skalistych obrazów Lascaux. A ilu jest takich, którzy by znali chociażby z reprodukcji Ołtarz w Kościele Mariackim w Krakowie i imię jego twórcy — Wita Stwosza?

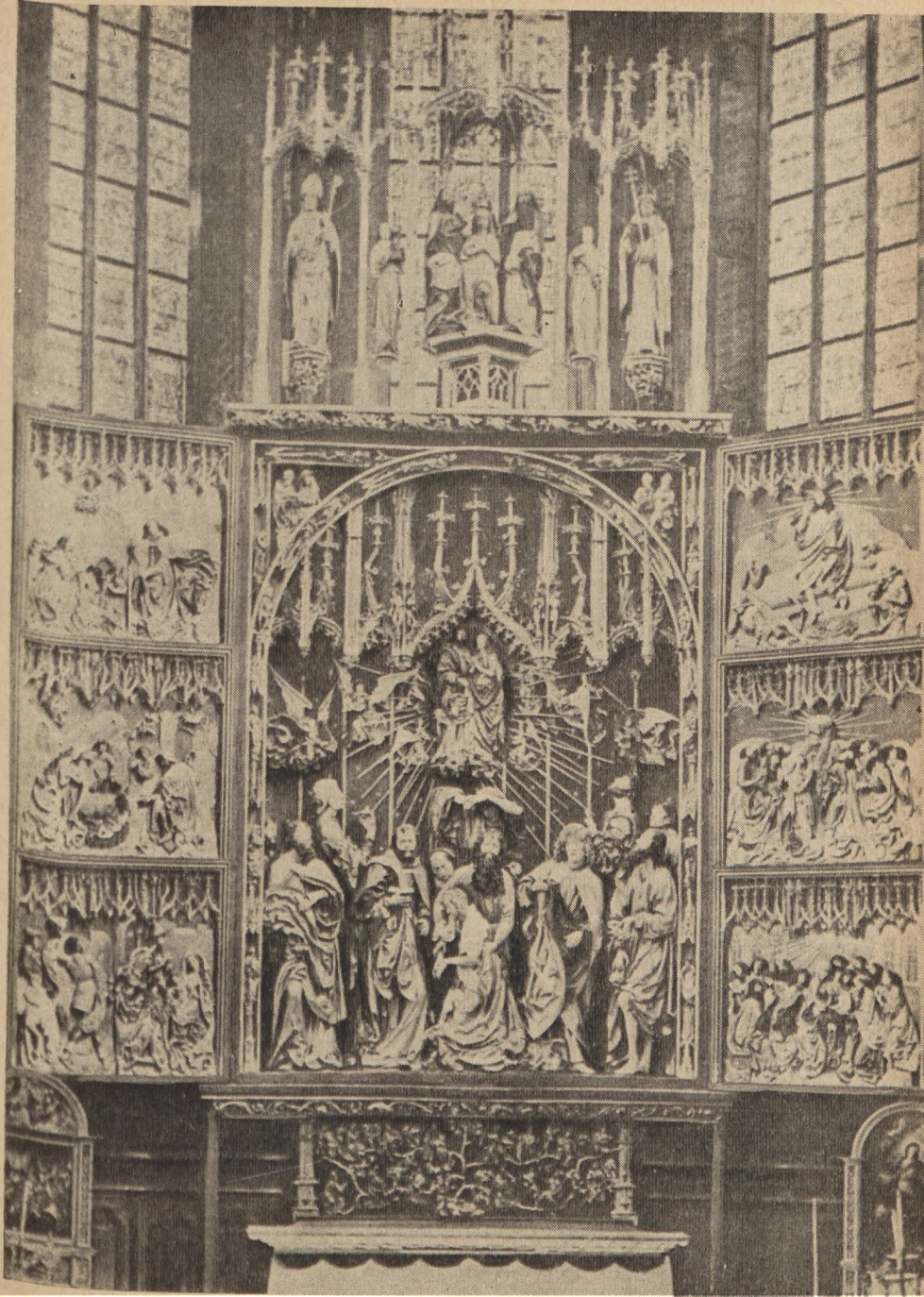
O ile szereg polskich monografii dowodzi, jak dalece arcydzieło to ma charakter typowo krakowski i reprezentuje polską kulturę, o ile niemiecka ilość prac niemieckich domaga się praw do Wita Stwosza ze względu na jego pochodzenie (gdy tymczasem nic nie wskazuje, by miał się urodzić w Norymberdze) — rzadko się zdarza, aby historycy sztuki innych krajów przyznawali słynnemu ołtarzowi należne mu miejsce i aby znali tę zadziwiającą przez oryginalność życia i uniwersalność zainteresowań postać Wita Stwosza — rzeźbiarza, malarza,

grafika, architekta, budowniczego mostów.

Elie Faure widzi w Stwoszu jedynie rzeźbiarza w drzewie, który swoją złożoną naturą uczuciową i ze skrupulatną dokładnością wyrażał przeciętną duszę Niemiec w ich ociężałej dobroduszości.

To wszystko i jakże niewiele. A nawet nieścisłe. Taki brak przenikliwości, jakiego nie mogą okupić inne, trafniejsze zwykłe oceny tego krytyka, nie przyniosłyby wielkiego zaszczytu francuskiej nauce, gdyby nie nagrodziła go poważna, poświęcona sztuce gotyckiej w Polsce praca pióra Charlesa Sterlinga („L'Art des origines a nos jours”), a przede wszystkim unoczełkarty Pierre Francastela — jako przedmowa do małego niestety znanego studium Tadeusza Szydlowskiego o dziele i geniuszu Stwosza („Publications de l'Institut Français de Varsovie”, 1935 r.).

Jakkolwiek może się to wydawać dziwne, objawienie piękna Ołtarza Krakowskiego zawdzięczamy nie tyl-



ko erudycji specjalistów. W znacznej mierze jest ono zasługą uczestników delegacji ze wszystkich krajów, którzy zwiedzali Polskę i którzy powrócili pod wrażeniem przyjaźni narodu polskiego dla Francji, wstrząśnięci śmiałością zamierzeń tego męczeńskiego narodu w dziele odbudowy kraju, nawiedzani wspomnieniem potężnej relikwii, przytulającej naręcza kwieciami w ciepłej atmosferze polichromii, z przywróconą jej świeżością i złoceniami.

Tak więc znajomość tej monumentalnej całości, jedynej w swoim rozmiarze i rodzaju wielkiej tradycji rzeźbiarskiej średniowiecza, zawdzięczamy ustnemu przekazowi artystów, pisarzy, robotników — pielgrzymów do nowej Polski.

Reszty dokona wydana niedawno po raz drugi obficie ilustrowana praca Dobrowolskiego i Dutkiewicza. Wreszcie bliski nam się stanie ten tak wyjątkowy przykład harmonii architektury, rzeźby, malarstwa — tego wszystkiego, co tworzy tajemnicze życie form. Pozwoli nam to odczuć w pełni miłość i uwielbienie Polaków dla tego wielkiego pomnika ich kultury i historii sztuki, tego „najpiękniejszego, mozolnie wypracowanego kwiatu“.

Polska ze swoim położeniem państwa buforowego, miotana zmiennymi kolejami losu u zbiegu dróg ze Środkowego Wschodu ku skandynawskiej północy, z Rosji ku Zachodowi, była — począwszy od X wieku — jednocześnie ofiarą i spadkobierczynią swoich sąsiadów, ich ambicji, ich ideologii, ich kultury. Kolejno narzucali jej swoją wiarę wło-

scy benedyktyni, czescy husyci, bizantyjscy misjonarze.

Szeroko otwarte żyzne polskie równiny przyciągają w XIII wieku ludność z Niemiec, już wówczas szukających przestrzeni życiowej. Podlegając wpływowi kultury łacińskiej, germańskiej, bizantyjskiej, — Polska ostatecznie wykształciła jednak własną osobowość o przewadze żywiołu słowiańskiego, zachowując zarazem ślady zwolna przyswajanej kultury zachodniej, a w szczególności jej osiągnięcia w dziedzinie plastyki.

Po architekturze w drzewie, narodowej architekturze kościołów, synagog, twierdz warownych, siedzib książęcych i mieszczańskich, następuje okres budownictwa z cegieł i granitu, który upodoba sobie połączenia wpływów romańskich i bizantyjskich, a potem — od XIII i XIV wieku — romańskich i gotyckich, w następstwie czego pojawia się gotycki styl krakowski, południowa forma gotyku bałtyckiego.

O ile w XV wieku Polska miała często oryginalnych malarzy rodzimych, twórców tryptyków i dekoratorów rosyjskich, sprowadzonych do kraju przez króla Władysława Jagiełłę około 1400 r., to jednak liczyła niewielu rzeźbiarzy.

Kościół i budowlę świeckie aż do XV wieku dostarczają skromnych tylko wzorów rzeźby z wyjątkiem grobowców na Wawelu i ozdób na zwornikach i ołtarzach.

Dlatego kiedy krakowska rada miejska postanowiła zbudować w Kościele Mariackim poliptyk, przedstawiający wielką rzeźbioną scenę, który by przewyższył swymi propor-



*Apostoł Jan
(szczegół z „Zaśnięcia
Matki Boskiej“)*

cjami, bogactwem i jakością najsłynniejsze ołtarze południowych Niemiec, — wezwała artystę, żyjącego poza granicami Polski.

* * *

Wit Stwosz przybywa do Krakowa w wieku lat trzydziestu. Pod koniec maja 1477 r. przystępuje do pracy. Dwanaście lat poświęca swojemu dziełu, którego głównym tematem jest Wniebowzięcie Matki Boskiej, wraz z różnymi epizodycznymi scenami z męczeństwa Chrystusa.

Istnieje poważna bibliografia prac, wyrażających sprzeczne poglądy na formowanie się sztuki Stwosza. Jak

na styl Stwosza wpłynęła — oczywiście pośrednio — sztuka flamandzka Rogera Van der Weyden, Hugona van der Goesa, Dirka Bouts? W jakiej mierze jego patetyczny impresjonizm był wynikiem wpływów raczej flamandzkich, aniżeli germańskich? Czy w okresie swojego pobytu w Passau spotkał Holendra Mikołaja z Lejdy i przejął się jego naturalizmem?

Jakie wspólne cechy łączą Ołtarz Krakowski z ołtarzem mistrza ze Sterzoving? Albo jakie więzy istnieją między realizmem Stwosza i Michała Pachera, Kaspara Isenmanna a wpływami łacińskimi Multschera, który do sztuki XV wieku wprowadził plebejską jedność? Czy Stwosz studiował w Strassburgu? Co zawdzięcza on Sluterowi, Schongauerowi i innym?

Rozstrzygnięciem tych problemów zajmują się znawcy sztuki, zbierający się na kongresach, naradach i spotkaniach. Ucząc się z większą, niż ktokolwiek inny, pilnością umiejętności plastycznych, Stwosz wrażliwy był na wszystkie prądy swojej epoki.

Dlaczegoż miałby nie wiedzieć o osiągnięciach Włochów Cosima Tura i Montegni, przekazanych mu przez Tyrolczyka Michała Pachera, również malarza i rzeźbiarza? I dlaczegoż nie uznać wszystkiego, co zawdzięcza — poprzez Strassburg — artystom burgundzkim, francusko-flamandzkim, wybitnemu grafikowi, znanemu jedynie z monogramu E. S., jak również naturalizmowi starszego od niego Multschera w formie protestu przeciw pretenjonalności międzynarodowego gotyku?



Głowa jednej z Marii
(szczegół z „Oplakiwa-
nia“)

Nie ma w sztuce spontanicznie nowego pokolenia. Sztuka to szczep na szczepie, a wszelka nowość jest przetrawioną tradycją.

Jeżeli można mówić o cudach w sztuce, to jednym z nich jest objawienie się Stwoszewi jego osobowości z chwilą przybycia do Polski. Zjawisko nie mniej zadziwiające, niż pojawienie się geniusza Van Gogha przy jego pierwszym zetknięciu się z Francją w Arles.

Wszystko zdawało się sprzyjać rozwojowi twórczej energii Stwosza, wybuchowi jego temperamentu czystego liryka w atmosferze wolności; zamożnego miasta, gdzie rozwijają się potężne cechy, mecenat prywatny zna się na sztuce, administracja miejska chętnie pozostawia geniuszowi całą twórczą inicjatywę, miasta, gdzie kwitnie zapał religijny, sprzyjający powstaniu tego, co może się stać budującym świadectwem wiary.

W jego pracowniach, gdzie drzewa topolowe i wybrane przezeń kolory będą wyobrażać ludzkie postacie,

Stwosz identyfikuje się z kulturą i z uczuciowością swojej nowej, lub swojej odnalezionej ojczyzny. Stanie się niebawem najbardziej polskim wśród krakowian, ponieważ najczulej twórczość jego odbijać będzie wpływy sztuki ludowej.

Jakkolwiek monumentalną całość Ołtarza Krakowskiego charakteryzuje piętnastowieczna arabeska, jakkolwiek tematy urodzenia i Wniebowstąpienia Matki Boskiej oraz śmierci i Zmartwychwstania Chrystusa traktowane są według stuletnych konwencji, to jednak wszędzie przeważa w niej wyraźnie realistyczna indywidualność Wita Stwosza.

W mieszaninie patetycznej szlachetności i najbardziej oryginalnego, właściwego jego dziełu ekspresjonizmu, znajdujemy w ołtarzu takie części, gdzie realizm Stwosza, anatom i psychologa, występuje jeszcze wyraźniej.

Wtedy to wizjoner staje się świadkiem, braterskim świadkiem wydarzeń swojego czasu. Na figurach obrzeżeń i predelli widz może nie-

omylnie rozpoznać dziesiątki portretów bliskich mu ludzi, najbardziej bezbłędnie, najbardziej do złudzenia prawdziwych (w szczególności odnosi się to do mężczyzn) — w postaciach apostołów, Trzech Króli, strażników Grobu, doktorów, lichwiarzy, żołnierzy, chłopów, kupców, przodków Chrystusa, jak również maluczkich, anonimowych szaraków mogli krakowianie odnaleźć bądź samych siebie, bądź też swoich współczesnych.

Wydaje mi się, że zbyt mało podkreślano dotąd znaczenie Stwosza jako malarza. Nawet jeżeli miał współpracowników w tej części swojej pracy, jak zresztą miał ich w rzeźbie, jeżeli był tylko przewodnikiem, duchowym ojcem — niemniej ołtarz pozostaje dziełem niesłyszalnie interesującym z malarskiego punktu widzenia dzięki subtelności w rozdzielaniu złoci i kolorów, dzięki taktowi, z jakim wybrano delikatną emalię dla odtworzenia skóry twarzy, rąk i nóg.

Wszystko zresztą w całej polichromii pomyślano i wykonano tak, jakby stanowić miało funkcję koloru. Jak zauważył Tadeusz Szydlowski: „Stwosz rzeźbił obrazy do malowania... Rzeźba grała dla niego rolę rysunku”.

Nie napisano też dotąd niczego, co by w dostatecznym stopniu przekonało i złożyło hołd jedności plastyki i życia w Ołtarzu Krakowskim, a co stanowi jeden z warunków rzeźby monumentalnej, jeżeli nie ma się ona stać tylko ilustracją anegdoty i wyzutym z wielkości realizmem.

Wielu polskich autorów opisywało jako bardzo bliski patetyczny świat



Ręce żołdaka
(szczegół ze „Zmartwychwstania“)

Stwosza, specyficznie etniczne właściwości tego zadziwiającego arcydzieła i składało hołd mistrzowi, który zapłodnił polską produkcję artystyczną pod koniec XV wieku, przynosząc jej wiosnę oryginalności, młodości i wielkości. To co humanista Wit Stwosz odkrył we wzruszeniach wiejskiego życia i rdzennie rodzimym wdzięku dzieł plastycznych, powstałych pod ludowymi wpływami okresu średniowiecza, to przywracał — wysublimowane genjuszem — Polsce epoki Odrodzenia.

Dzięki swoim współpracownikom i synowi Stanisławowi, który był całkowicie Polakiem z serca i umysłu w swoich rzeźbach, nacechowa-



Popiersie figurki z ramy

nych tak wyrazistym realizmem — tradycja pracowni, z której wyszedł Ołtarz Krakowski i inne wybitne dzieła, mogła pozostawać przez długie lata żywa i wierna duchowi swojego twórcy.

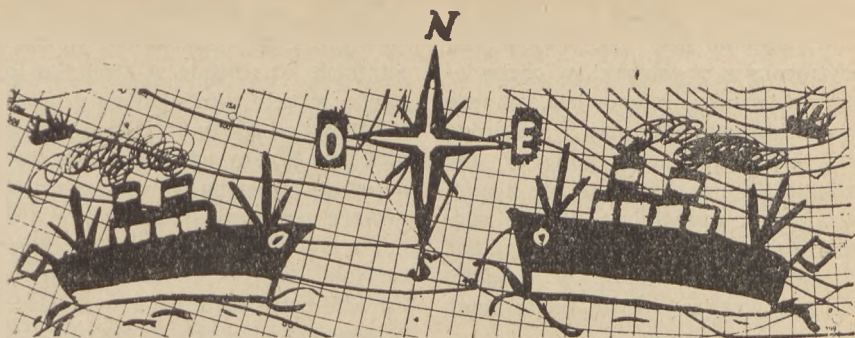
Francuzi, którzy pamiętają ostatnią wojnę, winni wiedzieć, że Ołtarz Krakowski przez 450 lat pozostawał w Kościele Mariackim, dla którego został wykonany.

W obliczu napaści hitlerowskiej na Polskę w 1939 r. ołtarz rozebrano i wywieziono. Niemcy znaleźli go

jednak i umieścili najpierw w podziemiach Banku Rzeszy w Berlinie, a następnie w schronie pod zamkiem w Norymberdze. 30 kwietnia 1946 r. ołtarz powrócił do Polski, gdzie odnowiony został z większą umiejętnością i starannością, aniżeli w ciągu XIX i XX wieku, dzięki czemu odnalazł wreszcie swój pierwotny wygląd. Zakończone w 1950 r. prace konserwatorskie kosztowały 12 milionów złotych.



*Kobieta w sukni domowej
(fragment z „Narodzenia Marii”)*



We własnym interesie

RICARDO LOMBARDI

(poseł z ramienia Partii Socjalistycznej)

NIEZWYKŁE zainteresowanie, jakie wywołują obecnie u nas, we Włoszech, problemy handlu zagranicznego, wynika stąd, że teraz już nie tylko fachowcy, ale również szerokie masy ludowe zdają sobie sprawę z istnienia tego „wąskiego gardła“, jakie stanowi dla całości gospodarki narodowej nasz bilans handlu zagranicznego.

W kraju, który około 1/5 swych potrzeb cywilnych pokrywa w drodze importu (w pierwszym rzędzie niezbędnych dla przemysłu surowców), w kraju, który jest zainteresowany w kontynuowaniu swego rozwoju przemysłowego — wszelkie zwiększenie aktywności przemysłowej, pociągające za sobą zwiększenie im-

portu surowców, ujawnia w całej rozciągłości wzajemną współzależność między handlem zagranicznym i produkcją wewnętrzną, a w konsekwencji zwraca uwagę na warunki, jakie stawia zdrowa polityka handlu zagranicznego — zdrowej polityce gospodarczej wewnątrz kraju.

Wyjawszy Anglię, której gospodarka szczególnie charakteryzuje się wielką zależnością od zagranicy w dziedzinie importu niezbędnych surowców, a nie tylko produktów żywnościowych, żaden inny kraj nie jest tak bardzo jak Włochy zainteresowany w przywróceniu jednolitego rynku światowego, a więc i w zakończeniu zimnej wojny. Tylko w ten sposób Włochy mogłyby skierować

swój system wymiany handlowej, który obecnie jest jak najbardziej wytracony z równowagi, w odpowiednim kierunku: mianowicie, przede wszystkim w kierunku obszarów, których produkcja i potrzeby nie konkurują z naszymi, ale się z nimi wzajemnie uzupełniają. W ten sposób moglibyśmy zarazem uniknąć przeszkód, jakie tkwią w wąskim zasięgu wymiany ściśle bilateralnej.

Handel zagraniczny naszego kraju jest deficytowy (a deficyt ten jest z roku na rok większy!) nie tylko w stosunku do całości rynków zagranicznych, ale, co więcej, poważnie została zachwiana jego równowaga w stosunku do wielkich światowych stref monetarnych.

Deficyt naszego handlu zagranicznego, określany pod koniec listopada 1953 r. sumą 522 miliardów lirów (wartość eksportu — 831 miliardów wobec 1.353 miliardów importu, a więc pogorszenie o 6,3% w porównaniu z odpowiednim okresem roku poprzedniego), nie byłby tak bardzo niepokojący, gdyby nie towarzyszyło mu stosunkowo większe pogorszenie naszej wymiany z krajami wchodzącymi w skład Europejskiej Unii Płatniczej, a więc ze strefą, która nie tylko absorbuje olbrzymią większość naszego eksportu i jest głównym dostawcą w naszym imporcie, ale, co więcej, jest związana z systemem reglamentacji monetarnych.

I tak, w ciągu pierwszych miesięcy ub. r. ze strefy tej pochodziło około 65% naszego importu (z tego nieco ponad 2/5 importowaliśmy ze strefy szterlingowej) i tyleż szło do tej strefy naszego eksportu (połowa

do strefy szterlingowej)); większość naszej wymiany kierowano w ciągu ostatnich lat właśnie w kierunku tej strefy w celu zmniejszenia naszej zależności od strefy dolarowej, a również i po to, aby udowodnić, że można osiągnąć pewną wewnętrzną równowagę wymiany handlowej w jednej z tych licznych Europ, które się seryjnie fabrykuje: mianowicie w Europie czternastu, czyli w systemie krajów wchodzących do Europejskiej Unii Płatniczej („Europa“ ta różni się zarazem od „Europy atlantyckiej“ która nie obejmuje na przykład Szwajcarii czy Szwecji, i od „małej Europy“, lub „Europy sześciu“ — tej „Europy“ określonej „wspólnotą węgla i stali“, czy układem o „europejskiej wspólnocie obronnej“).

A tymczasem deficyt Włoch w stosunku do Europejskiej Unii Płatniczej (E. U. P.) stale rośnie, osiągając pod koniec ubiegłego roku tempo **milionu dolarów** dziennie, co już w marcu stwarzało niebezpieczeństwo, że deficyt globalny osiągnie fatalną cyfrę 205 milionów dolarów, cyfrę, poczynawszy od której Włochy będą musiały wyrównywać **cały** swój przyszły deficyt w dolarach lub w zlocie.

Wtedy, a nawet wcześniej trzeba będzie szukać innych rynków; ale jedyna perspektywa, jaką nam się ofiarowuje — to skierować tę część towarów, dla której już nie można znaleźć rynków zbytu w krajach należących do E. U. P. i do strefy szterlingowej — na rynki strefy dolarowej (zaczyna się otwarcie sugerować tego rodzaju operację, i to

akurat w momencie, kiedy perspektywy kryzysu i recesji w Stanach Zjednoczonych każą oczekiwać zaostrożenia metod obrony wewnętrznego rynku amerykańskiego przed napływem towarów europejskich, już to w formie podwyżki cel, już to przy użyciu innych środków).

Jest więc rzeczą jasną, że nasza polityka handlu zagranicznego musi porzucić tę wymuszoną alternatywę, narzuconą z powodów czysto politycznych, alternatywę wyboru między strefą dolarową a strefą E. U. P. (która obejmuje strefę szterlingową, podobnie jak strefa dolarowa obejmuje... Arabię). Równocześnie należy poszukiwać innych perspektyw, i to poza strefami gospodarczymi i monetarnymi, które — jakby nie były sprytnie pomyślane, jakich by nie miały wymyślnych systemów reglamentacji monetarnej — mimo wszystko bezsprzecznie mało nadają się do uzupełnienia rynku włoskiego i ze względu na ich strukturę nie są w stanie stworzyć warunków dla kompensacji wymiany towarowej i dla osiągnięcia pożądanej równowagi w tej wymianie.

Fakt ten potwierdza w całej rozciągłości bezsprzeczną słuszność wniosku wynikającego z obliczeń, które wykazują co następuje: nasz import z krajów, wobec których Włochy mają aktywny bilans handlowy, wynosi zaledwie 346 milionów dolarów, natomiast import z krajów, wobec których Włochy mają bilans pasywny, wynosi około 1.966 milionów dolarów (a więc pięć i pół raza więcej). Innymi słowy, importujemy za mało z krajów, które po-

trzebują naszych towarów i za dużo z tych krajów, które naszych towarów nie potrzebują!

Naturalny bieg rzeczy stawia nas więc wobec następującej konieczności: aby wyjść z impasu, trzeba skierować się ku innym rynkom, które bardziej uzupełniają naszą gospodarkę. Zrozumienie tej konieczności leży u podstaw rosnących dążeń do otwarcia olbrzymiego rynku, jaki stanowią kraje socjalistyczne, kraje demokracji ludowej i Chiny. Dążenia te rosną w całej Europie, a nawet w Stanach Zjednoczonych (świadczy o tym m. in. sprawozdanie Stassena). Są one dobitnym wyrazem tej zasadniczej **europejskiej** potrzeby stworzenia na nowo rynku światowego, co jest niezbędnym warunkiem, jeśli się chce zapobiec degradacji ekonomicznej i ujarzmieniu politycznemu.

Nie trzeba zapewne po raz tysiączny powtarzać cyfr — śmiesznie niskich cyfr — odnośnie handlu Wschód - Zachód. Na dowód tego „zamknięcia rynków“ wystarczy przypomnieć, że jeśli w roku 1938 Europa **wschodnia** otrzymywała 61% całego swego importu z Europy **zachodniej** i kierowała do tej ostatniej 72% swego eksportu — to w roku 1951 odnośne cyfry spadły do 15% i 19%. A jak ma się rzecz z punktu widzenia Europy zachodniej? Otóż obecnie zaledwie 2,7% eksportu Europy zachodniej idzie do krajów Europy wschodniej, podczas gdy import z krajów Europy wschodniej stanowi zaledwie 2,9% całości importu Europy zachodniej. Tymczasem w roku 1938 odnośne cyfry wynosiły 7,3% i 8,1%.

Przypomnijmy wreszcie, że w czasie obrad Konferencji Gospodarczej w Moskwie w kwietniu 1952 r. stwierdzono możliwość **łatwego** zwiększenia wymiany do rozmiarów umożliwiających wyrównanie deficytu płatniczego Europy zachodniej w stosunku do strefy dolara. Nie chcąc szerzyć iluzji, że wszystko od razu pójdzie łatwo, podkreślmy jeszcze, że zaprowadzenie tej równowagi nie oznacza jeszcze wyrównania bilansu **każdego** kraju, ale Europy zachodniej jako całości. Tym niemniej w ten właśnie sposób zostałaby otwarta droga dla zapewnienia w przyszłości takiej równowagi dla każdego kraju z osobna.

Ta konieczność ponownego otwarcia rynku wschodniego — europejskiego i azjatyckiego — stała się obecnie tak paląca, że nie można jej już negować. Oto pozycja, jaką już dawniej wysuwał Ruch Pokoju, a która dziś stała się szerokim frontem wzmózonej walki. Przypominamy to przede wszystkim dlatego, że nadszedł moment, by uczynić krok naprzód, a teren już zdobyty uważać za pozycję... odwodów.

Za pozycję czołową należałoby uważać nie tylko nawiązanie stosunków gospodarczych, ale również podjęcie normalnych, pokojowych stosunków politycznych, zakończenie zimnej wojny. I nie należy tego uważać za konieczność polityczną, która wiąże się z koniecznością ekonomiczną, ale takie właśnie podejście do sprawy należy uznać za niezbędny warunek, aby podjęcie normalnej wymiany handlowej przyniosło wszystkie korzyści **ekonomiczne**, jakie może ono przynieść. Odnosi się

to w głównej mierze, i w stopniu większym niż do innych krajów — do Włoch.

Zawarte dotąd z krajami Europy wschodniej i Chinami układy handlowe noszą na sobie w istocie piętno niepewności; ich rozszerzeniu przeszkadzała i nadal przeszkadza niezwykle ostrożność granicząca z lękiem; możliwe, że w obecnych warunkach politycznych nie mogło być inaczej. Czas trwania tych układów jest w zasadzie ograniczony do okresu jednego roku, jakkolwiek ograniczenie to nie zawsze było podyktowane jedynie chęcią eksperymentowania.

A jaki jest wynik tego stanu rzeczy? Oto stosunki handlowe, tam gdzie są one nawiązywane, mają w zasadzie za przedmiot operacje o cyklu stosunkowo krótkim; ich charakter jest tego rodzaju, że dla ich wykonania używa się tylko już istniejącego aparatu produkcyjnego; ani we Włoszech, ani we Francji, ani w Anglii — a więc w krajach, które zawarły układy na okres jednego roku — nikt nie mógłby dziś myśleć o zmianie obecnej struktury aparatu produkcyjnego w związku z perspektywą stałej i rosnącej wymiany handlowej z nowymi partnerami. W konsekwencji, handel z krajami Europy wschodniej i z Chinami jest uważany obecnie przez przemysłowców zachodnich jako środek uzyskania rynków zbytu dla ich składów i zapasów; z drugiej strony — jeśli chodzi o kraje Wschodu niepewny, prowizoryczny charakter wymiany handlowej z Zachodem nie powoduje modyfikacji w strukturze planów produkcji i konsumpcji, co wynikłoby

dopiero z konieczności przeznaczenia z góry na eksport określonych ilości towarów, gdyby nawiązanie stosunków handlowych nabrało charakteru stałości, umożliwiając długoterminowe planowanie (właśnie to podwójne wzajemne uwarunkowanie jest w dużej mierze przyczyną stwierdzonej powolności w rozliczeniach clearingowych).

Już obecnie handel z krajami o gospodarce planowej przynosi krajom o gospodarce zwanej „wolną” — poza tradycyjnymi korzyściami — olbrzymią korzyść dodatkową: stałość i pewność wymiany. Pozwala to „wolnemu” przemysłowcowi dostosować swój aparat produkcyjny do perspektyw racjonalnego wykorzystania, opracować dokładny i dobrze rozłożony w czasie plan produkcji. W ten sposób eliminuje się tę prawdziwą chorobę, polegającą na tworzeniu aparatu produkcyjnego dla zaspokojenia potrzeb chwili, po czym aparat ten pozostaje niewykorzystany, co pociąga za sobą cały szereg znanych trudności, konieczności zmian, ponownego dostosowania do innych z kolei potrzeb, bezrobocie itd.

Nie trzeba chyba podkreślać szczególnego zainteresowania naszego kraju, aby eksportować więcej, jeśli nie wyłącznie, produktów przemysłu ciężkiego, których cykl produkcyjny jest długi, a więc wiąże się z koniecznością posiadania perspektyw pew-

nego i stałego eksportu. Zwróćmy wreszcie uwagę na pocieszający fakt, że interesy Włoch i interesy krajów Wschodu (zwłaszcza Chin) pokrywają się. Wszystkie te fakty wskazują dobitnie, że interes wszystkich, a zwłaszcza interes Włoch wymaga zorganizowania wymiany handlowej z krajami Europy wschodniej i Azji na trwałych podstawach, co dałoby naszym fabrykantom perspektywę (a potem i realne zamówienia) na okres **przynajmniej** trwania każdego planu pięcioletniego. Tylko w ten sposób można osiągnąć maksimum korzyści z nawiązania wymiany handlowej z krajami, które — trzeba sobie z tego zdawać sprawę — na pewno rozwijają złudzenia tych, co chcieliby tylko znaleźć rynek zbytu dla swojej tandety i swoich przestarzałych składów.

Dla osiągnięcia takich rezultatów nie starczą układy zawierane na okres kilku miesięcy lub jednego roku. Konieczne stają się również zawarcie układów politycznych. Należy położyć kres zimnej wojnie, lub przynajmniej ją złagodzić. Trzeba uznać Chińską Republikę Ludową i nawiązać z nią stosunki dyplomatyczne. Wszystko to — pamiętać należy — stanowi konieczność **ekonomiczną**, wynikającą z samej struktury rynków, na które w naszym własnym interesie winniśmy skierować nasz handel.

Taki jest krok naprzód, który winniśmy uczynić — i to jak najszybciej.



Picasso

W VALLAURIS

CLAUDE ROY

ROBOTNICY ukończyli niedawno montaż i instalację dzieła Picassa „Wojna i Pokój“ w dawnej kaplicy w Vallauris. Tego ranka zaprowadził mnie tam sam autor. Nie widział dotąd swojej pracy na nowym miejscu. Przed przeniesieniem tafli do pracowni „przymierzono“ je pod sklepieniem kaplicy.

Dwie wielkie kompozycje mają nieścić się u góry tak, aby ściśle „zamykały się“ ponad głowami zwiedzających. Ale ani w pracowni Picassa, ani w Rzymie, ani w Mediolanie nie mogliśmy oglądać ich inaczej, jak w położeniu płaskim. A oto teraz powróciły do kościoła. Zestawione kawałek przy kawałku, oddzielone od kamienia grubą warstwą izolatora, dwa wielkie obrazy wypełniły całe sklepienie długiej kaplicy.

Jak zwykle w takim wypadku, Picasso jest jednocześnie niecierpliwy i zatroskany. Ręka jego w czasie

pracy posuwa się z pewnością, stanowczością i odwagą. Po zakończeniu dzieła, kiedy już je wypuścił ze swych rąk, Picasso staje się niespokojny, zawsze niepewny. Niepokój rodzi się w nim samym, niepewność pochodzi z obawy o to, czy praca jego znajdzie zrozumienie. Zadaje sobie pytanie, czy wykonał to, co zamierzał? Czy będzie zrozumiany?

Zamyka za nami drzwi wejściowe do kaplicy.

— Na ścianie — powiedział — uzupełnię oba obrazy inną kompozycją. „Wojnę i Pokój“ rozjaśnić będzie jasny fryz, biegnący nad posadzką.

W ten sposób widz będzie niejako „osaczony“ przez obraz, nie będzie mógł wymknąć się potworom i ziemskim boginiom, stworzonym przez malarza. Nie będzie miał możliwości ucieczki ani przed tym obrazem, ani wokół niego, ani nad nim. Już teraz, w półcieniu kaplicy, gdzie błędą promienie bladego słońca, można sobie wyobrazić, jak całość wyglądać będzie po wykończeniu.

Picasso wygrał. Wszystko zostało odpowiednio obliczone, by mądrymi posunięciami, jak najzręczniejszymi umieścić obrazy, wszystko zostało zrobione z przemyśleniem końcowego efektu. Ani w wielkich i wspaniałych salach włoskich pałaców, ani nawet w hangarze, gdzie Picasso pracował, nie można było całkowicie wyczuć tego, co twórca chciał i umiał wyrazić.

Tym gorzej, jeżeli ktoś źle mnie zrozumie, albo zrozumie mnie na opak. Wydaje mi się jednak, że „Wojna i Pokój“ stanowi jedyną i

wyłączną dekorację teatralną, pojętą tak dla „inscenizacji“ tej kaplicy — jako funkcja formy i ścian, architektury i oświetlenia.

Czy można wydawać sąd o dekoracji, oświetlonej promieniami słońca, rozłożonej na nieokreślonym terenie, wyabstrahowanym od sceny, dla której została pomyślana, która ma ją odbijać, pozbawiona gry światła i innych środków, które ją uwytkują?

„Wojnę i Pokój“ widziałem dziesięć, albo dwanaście razy w Vallauris, we Włoszech. Ale widziałem ją wtedy połowicznie. Dzisiaj stoimy już nie przed „obrazem“, ale przed jedynym obrazem, jakby pod udekorowanym namiotem, jakby w tunelu snów. Czerniawe i posępne sylwetki, wywijające siekierami i maczugami, wywijają nimi teraz nie ponad naszym spojrzeniem, ale wprost na nas. Miecz-szytylet potwora wojny zwisa pionowo **над** naszą czaszką jak miecz Damoklesa.

Diamantowe słońce z „Pokoju“ nie jest zwyczajnie umieszczone u góry kompozycji, nad teoretyczną linią horyzontu, ale wznosi się nad nami, błyszcząc na suficie — niebie. Skąpe oświetlenie, niemożliwość wycofania się, półkulisty kształt długiej krypty, gwałtowny wyraz rysów, ostre kontrasty barw, tężowe niebiesko-białe tony, dominujące w „Pokoju“, ciemne tony, dominujące w „Wojnie“, sadzowate potoki światła po lewej stronie, natomiast — delikatna światłość, zalewająca po prawej stronie „Pokój“ — wszystko to powoduje, że ten, kto tutaj wchodzi, staje naprawdę w „osłupieniu“, za-



Fragment z „Wojny“

nurzony w skoncentrowanej atmosferze kontrastów dobra i zła.

Mówiłem tutaj o teatrze, o dekoracji, o inscenizacji. Jeszcze bliżej badając wrażenie, jakie wywiera „Świątynia Pokoju“ w Vallauris, myśli się o tym, czym byłoby Musee Grevin, stworzone przez genialnego człowieka — o tym, czym mogłaby być jedna z sal tych jarmarcznych baraków, którym przydaje się nazwę „**Pałaców Złudzeń**“ albo „**Galerii Okropności**“ i gdzie naiwność sztuczek nie przeszkadza nam jednak dać się czasem ogarnąć uczuciu podziwu, odrętwienia lub uniesienia.

Miedzy tą cudowną kryptą a ordynarnymi zabawami na jarmarkach jest akurat taka sama odległość, jak między freskami Gozzoliego w kaplicy Medyceuszów we Florencji a kolorową „superprodukcją“ historyczną, wykonaną w technice ciniemaskopu w Hollywood, jak odległość dzieląca geniusz od pomysłowości.

Ale prostoduszny układ sali z tekury i ordynarnie pomalowanych płócien oraz cudownie obmyślony układ malarski, stworzony przez Picassa dla określonej całości architektonicznej, dla określonego miejsca, dla dokładnie przemyślanego oświetlenia — mają to ze sobą wspólne, że celem ich jest stworzenie **magicznego złudzenia**. Przed „Wojną i Pokojem“, widz, który przybędzie z dziennego światła i nagle zanurzy się w zaludniony półcień, schwytywany zostanie w pułapkę, zastawioną przez Picassa i będzie miał przez chwilę ochotę wycofać

się. Zostanie odepchnięty przez „stronę Wojny“ na „stronę Pokoju“ — dozna wstrząsu.

Teraz, powróciwszy do domu artysty, nadal zachwycam się bajecznym sposobem malowania Picassa. Zaledwie przed paroma miesiącami zakończył to swoje dzieło, w którym przejawiało się tak mało troski o sprawienie przyjemności lub nieprzyjemności widzowi, dzieło, równie obojętne na „**rozkoszowanie się**“ nim, jak pociąg pancerny na krajobraz, dzieło, którego jedynym celem jest skutecznie oddziaływać, które bije — a nie uwodzi, które odbiera oddech — nie starając się nadawać mu określonego rytmu, które określa gwałtownym wzruszeniem — a nie wolą ukazania „pięknego ideału“; to arcydzieło uproszczone i subtelne, barbarzyńskie i uczone.

Kiedy spotykam Picassa, muszę zawsze myśleć o zdaniu, które nieustannie powtarza się w baśniach „Z tysiąca i jednej nocy“: „**Ale zdarzyła się inna przygoda, nieskończone bardziej zadziwiająca...**“ — po czym opowiadanie toczy się dalej, porywa ...i Picasso — Szecherezada na nowo nas oczarowuje.

Postawił na piecu naczynie z przygotowanym przez gospodynię posiłkiem, spojrzał przez okno na góry, zazielenione już wczesną wiosną i powiedział:

— Za trzy tygodnie pełno tu będzie mimozy, góry pokryją się jaszczyną.

Potem wyciągnął z kartonu plikę rysunków robionych tuszem, pędzelkiem, kolorowymi ołówkami. To praca ostatnich miesięcy — obok



Picasso ofiarował miasteczku Vallauris „Człowieka z barankiem“.

plócien nagromadzonych pod ścianami i ceramiki. Bliżko trzysta rysunków, pomieszanych z litografiami na te same tematy. Kiedy je przeglądać w porządku chronologicznym, wydaje się, że powstaje zadziwiające opowiadanie, wielki poemat narracyjny, pełen serdeczności i humoru, ostrości i wdzięku, poezji i ironii. Znowu ukazuje się Picasso, który rzucił okrutny, gwałtowny, szorstki okrzyk „Wojny“.

Wywracają się wszystkie wygodne, szkolne klasyfikacje, Picasso przeszedł wszystkie „epoki“. Picasso rozmyśla i marzy z pędzlem i ołówkiem w ręku — snuje rozważania o

sztuce, o pracy malarza, o komediach życia, o miłości, o czasie, o śmierci, o ciele i duchu.

— Każdego wieczora niecierpliwie myślałem o powrocie do pracy — powiedział. **Chciałem wiedzieć, co się wydarzy.**

A oto co „się zdarza“ w tych rysunkach, które przypominałyby Hokusai i Goyę, gdyby nie kazały myśleć o jednym tylko Picasso; akty kobiece o nadzwyczajnej różnorodności charakteru, nieskończenie rozmaitym wyrazie, typy promienne i bezczelne, czarujące i podstępne — malowane w duchu, który przypomni specjalistom okresy klasyczne albo neogreckie z dawniejszej twórczości Picassa.

Ale rysy w jeszcze większym stopniu uzyskały swobodę. Olbrzymie wrażenie wywiera oszczędność rysunku i jego siła sugestywna.

„Szalenie rysunku“ — wyrażenie to użyte dla scharakteryzowania Hokusai, tylekroć już było powtarzane, że niechętnie już je dziś stosujemy. Picasso — szaleńcem rysunku? Nic podobnego! Widzimy go oto u szczytów najwyższej wiedzy rysunkowej. Rysunek jego będący rodzajem stenografii dialogu toczącego się między światem realnym a myślą — czego wyrazem są szkice do „Wojny i Pokoju“ — oraz cykl wykonanych później „caprichos“, wykazują całą żywotność tej wiedzy. Ten człowiek jest tak nieustający w pracy, tak kipiący energią i pełen nieprzewidzianych pomysłów twórczych, że zaledwie została wydana jego książka „Wojna i Pokój“, zale-

dwie zamknięto w szufladach szkice i projekty, z których wyłoniło się piękno kaplicy Vallauris — już artysta pracuje nad nowym dziełem. Ognia łańcucha twórczego zajął się ze sobą. Jedno dzieło się kończy — drugie zaczyna. Myślę z niecierpliwością o nowej książce. Inny Picasso już mnie pociąga. Imny? Ależ nie! Zawsze ten sam, zawsze jednakowo „porywający“.

Przeglądam razem z nim plikę rysunków. W każdym z nich przeważnie główny motyw stanowi akt kobiecy, dziesiątki aktów kobiecych; potraktowanych w sposób, który możemy nazwać (krótko mówiąc) „klasycznym“. Żywe, wspaniałe, uduchowione i syntetyczne pociągnięcie pędzla nadaje tym modelom światło, ciepło, wyraz słodczy lub drapieżności, złośliwości lub spokoju, tworzy grę barw mleczno-białych lub koloru miedzi. Dokoła tych aktów kobiecych Picasso rozciąga zdumiewającą maskaradę postaci „groteskowych“: starców, małp, jakichś karykaturalnych i na pół monstrualnych stworów. Jeden z najbardziej zdumiewających **sekwensów** — to „wariacje i fugi“ na temat malarza i modela. Żaden dotąd z pomysłów Picassa nie okazał się równie trafny. Podoba mi się bardzo sposób, w jaki muzycy określają słowo **inwencja**: „Jest to kompozycja, w której kompozytor, dzięki swemu geniuszowi twórczemu i za pomocą naśladownictwa i transponowania polifonicznego, rozwija jakiś krótki i charakterystyczny motyw, doprowadzając go do logicznej konkluzji“. Poznane przez nas prace Picassa, a

zwłaszcza „Wojna i Pokój“ są najlepszymi przykładami tego „twórczego geniuszu“. Mówią nam to samo fantazje pędzla na temat „malarz i model“.

— Widzisz — mówił Picasso — malarz powrócił wreszcie do wnętrza obrazu. Lecz zanim to się stało pogardzał rysunkiem usiłującym „utrwalić“ modele na płótnie; odrzucał ten model i lekcewał, zapomniał o nim i odwracał się od niego; pokrywał płótno „abstrakcyjnymi“ malowidłami, wobec których animusz Picassa błędnie do tego stopnia, iż kompozycje jego wyglądają jak śmieszna galeria obrazów „ama-

Co rano korespondencja ze wszystkich krajów świata. Mają czego zazdrościć filateliści...





Picasso i Claude Roy pod kołami rydwanu wojennego

torskich". (Tu Picasso wskazał drobny punkcik w kącie „obrazu“ i dodał z ironią: „Oni nie zdają sobie nawet sprawy, iż punkcik ten jest zasadniczą częścią obrazu!“). Doszło wreszcie do tego, że stary, otyły i wyniszczony malarz maluje swój własny portret zamiast portretu pięknej, ponnej i przebiegłej dziewczyny. I oto na śmiesznym i absurdalnym płótnie parady z koroną królewską na czole. Wszyscy dzisiejsi poeci w pewnym okresie swej twórczości odczuwali chęć napisania poematu na temat, który był trzykrotnie podejmowy przez Eluarda pod tytu-

łem „**Krytyka Poezji**“. Picasso przedstawił nam teraz właśnie swoją „**Krytykę Malarstwa**“ (czystego malarstwa). Sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt rysunków z serii „malarz i model“ — to jednocześnie pamflet i poemat, koszmarny i satyra, pochwalna pieśń ku czci rzeczywistości i coś w rodzaju autokrytycyzmu; to długa i genialna wypowiedź na temat indywidualizmu rozumianego jako negacja Sztuk Pięknych i na temat malarstwa pojmowanego jako sztuka wypowiadania się, lub jako sztuka zgoła nic nie mówiąca.

— Wyobraź sobie — mówił Picasso — malarza, który budzi się rano, wypija kawę, staje przed swoim płótnem i tak sobie powiada: „Czyż uda mi się nakreślić w przestrzeni linię „doskonałą“? A tymczasem jakże często konstatujemy z przykrością, że nie potrafimy narysować linii **właściwej!**

— Czy wiesz — odezwałem się — że cykl twych rysunków odczytuje się tak, jakby to była jednocześnie książka, opowiadanie lub rozprawa literacka?

— Czuję się szczęśliwy, gdy moje utwory przemawiają same za siebie. Obecnie, zdaje mi się, iż osiągnąłem okres twórczości, w którym udało mi się przejść ze stadium rzemiosła do stadium rysunku artystycznego. Rozumiesz, kiedy rysuje się nogę i rękę, zrozumiałe jest jeśli pod rysunkiem przedstawiającym nogę nie ma napisu — „noga“, pod rysunkiem zaś ręki — napisu „rę-

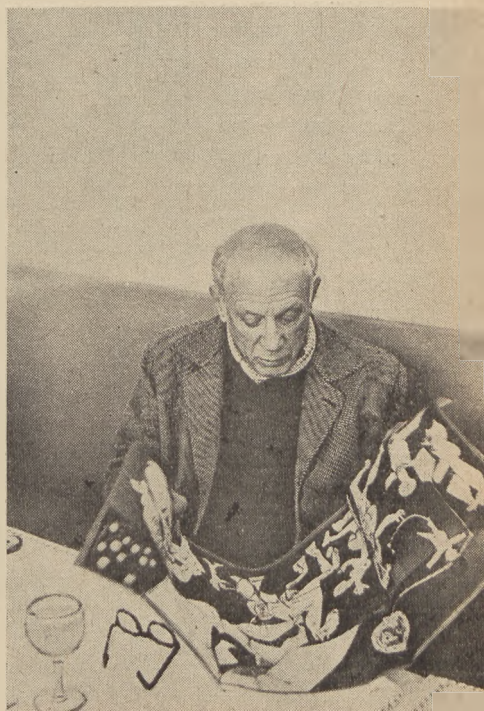
ka"... Malujemy i rysujemy ludzi (tylko to jest naprawdę ciekawe), aby nauczyć się patrzeć na nich, aby móc spojrzeć na siebie samego. Kiedy pracowałem nad „Wojną i Pokojem“, a potem nad serią tych rysunków, codziennie brałem do rąk moje szkice, mówiąc sobie: „Czegóż to ja się jeszcze nauczę, o czym dotąd nie wiedziałem?“ Z chwilą kiedy ja już nie mam nic do powiedzenia, lecz przemawiają za mnie moje rysunki, kiedy wymykają się spod mojej władzy i drwią sobie ze mnie — wtedy wiem, że cel swój osiągnąłem.

Słuchając Pisassa, myślę o tym co napisał Hokusai w swej przedmowie do **Riakugwa (Album lekcji rysunków)**: „Widzę, że moje postacie ludzkie, zwierzęta, owady i ryby wyglądają tak, jakby chciały uciec z kartek papieru. Czyż to nie jest czymś nadzwyczajnym? Pewien wydawca, który o tym wiedział, poprosił mnie o rysunki w taki sposób, że nie mogłem mu odmówić. Na szczęście rytownik Ko-Idzumi, bardzo biegły w sztuce drzeworytnictwa, podjął się swym ostrym nożem przeciąć żyły i nerwy istot, narysowanych przeze mnie. W ten sposób pozbawił je możliwości ucieczki“. Teraz rozumiem dlaczego Picasso tak lubi pracować z Fernandem Mourlot i z szefem pracowni Henrykiem Deschamps; dlaczego śledzi z bliska i z taką pieczołowitością reprodukcje i odbijanie swoich dzieł; dlaczego jest przy tym

tak drobiazgowo wymagający. Otóż to wszystko dlatego, iż jest w ciągłej obawie o to, by podczas reprodukcji postaci jego nie zostały „pozabawione możliwości ucieczki“. (Oczywiście, że w danym wypadku nie może być o to obawy).

Podczas śniadania rozmawialiśmy o wszystkim co żywo interesuje Picassa; a więc o wojnie i pokoju, o „Wojnie i Pokoju“, o poezji i literaturze, o projektach artysty. „Chciałbym pojechać do Chin — powiedział — ale tyle mam jeszcze podróży do odbycia z ołówkiem lub pędzlem w ręku... Moje podróże odbędę w swojej pracowni... Wprawdzie nigdzie

Na całym świecie czasopisma zamieszczyły reprodukcje „Wojny i Pokoju“.



się nie ruszam, lecz nie znaczy to, by tak było zawsze. **W gruncie rzeczy nie lubię tkwić stale na jednym miejscu...**“ Po śniadaniu powróciliśmy do pokoju, w którym Picasso zwykł pracować. Oglądaliśmy raz jeszcze odbitki plansz tej książki. Przebiegliśmy powtórnie drogę, która prowadzi od pierwszych szkiców do stumetrowego płótna „Wojny i Pokoju“. Fernard Mourlot traci nadzieję, że będzie mógł kiedykolwiek zamknąć to dzieło w godny sposób w formie książki; wszystko bowiem traci swój sens z chwilą, gdy tak kolosalne dzieło „zmniejsza się“ do rozmiarów miniatury.

— Jeśli pokój zapanuje na świecie — powiedział Picasso — **wojna**, którą malowałem przejdzie do przeszłości... Będzie się mówiło o wojnie tylko w czasie przeszłym, o wszystkim pozostającym będzie się mówić w czasie teraźniejszym i przyszłym. Jedyna krew, która popłynie — to krew z pięknego rysunku, z pięknego obrazu. Jeśli ktoś zbyt się do niego przybliży i lekko go zadraśnie — wytryśnie zeń kropla krwi, na znak, że dzieło jest żywe.



Picasso długim spojrzeniem obrzucił kolorowe plansze książki. Po czym powiedział:

— Jeśli do prawdziwych obrazów przybliżymy lustro, to powinno się ono pokryć parą, jak gdyby pochodzącą z żywego oddechu — obrazy te bowiem oddychają.

Zabrał się z powrotem do pracy. Przymocował pineską płótno na desce rysunkowej; poszukiwał w szufladzie ołówków litograficznych; zapalił papierosa.

— A więc — powiedział — do pracy.

Wierzę, że stworzymy talki upragnione i wymarzony, świat, w którym słowo „praca“ nie będzie miało podwójnego znaczenia. Znaczenia nadawanego mu przez człowieka, idącego bez radości do fabryki, warsztatu, kopalni lub na rolę — i przez młodego, 72-letniego Picassa, który jaśniejąc tego popołudnia całym swym pięknym blaskiem człowieczym powtarzał słowa „do pracy“, tak jakby mówił „do słońca“.

BOMBA

**OSTATECZNEJ
ZAGŁADY**

TYLEKROĆ żonglowano cyframi, że nie potrafią już one pobudzić naszej wyobraźni. Od dawna pojęcia „największy“ i „najmniejszy“ nie przyprawiają nas o zawrót głowy. Setki tysięcy ofiar „małej bomby“ w Hiroszynie, dziesięć milionów zmarłych, gdyby rzucono jedną bombę wodorową... Ludzie odczytują te cyfry, jakby się odnosiły do czegoś nierealnego.

Ale wystarczył jeden wypadek natury „technicznej“, by wszystko się zmieniło. Załoga japońskiej floty rybackiej, której statki znajdowały się daleko poza strefą uznaną za niebezpieczną uległa działaniu pyłu radioaktywnego bomby wodorowej, wypróbowanej na Bikini. Wzbudziło to powszechne przerażenie. Prosty fakt, że w okresie pokoju rybacy, wykonujący codzienne zajęcie, padli ofiarą śmierci atomowej — uczyniło tragedię naszych czasów bliską i zrozumiałą.

Po raz pierwszy człowiek uświadamia sobie zdobytą teraz możliwość unicestwienia tysięcy swoich bliźnich i całej planety. Wystarczyłaby na to bardzo niewielka liczba bomb wodorowych, wzmocnionych kobaltem. I zdaje on sobie zarazem sprawę z możliwości, jakie daje produkcja energii atomowej dla przekształcenia warunków życia całej ludzkości. Jedno i drugie nie może się zdarzyć jednocześnie. Albo jedno albo drugie. Mamy zatem do wyboru. Wystarczy, abyśmy małym „kiwnięciem palca“ skłonili się raczej na stronę życia, aniżeli na stronę zagłady. Czy zdążymy „kiwnąć palcem“ przeznaczenia?

Na następnych stronach zebraliśmy serię uderzających świadectw i faktów. Pierwszym z serii jest opowiadanie wybitnego japońskiego dziennikarza o dramacie, jaki wydarzył się na Oceanie Spokojnym.



Śmiercionośny pył

RANKIEM 14 marca mały stutony nowy stateczek Fukurio Maru 5 zawinął do portu Yaizu u stóp góry Fudzi. Dwudziestu trzech japońskich rybaków oświadczyło, że po dwóch miesiącach podróży po Pacyfiku czują się chorzy. Była właśnie piąta godzina. Przed chwilą wzeszło słońce. Rybacy zostawili ryby na sprzedaż i podczas gdy paru wróciło do domu, inni poszli na poszukiwanie lekarza. Tego samego dnia dzienniki japońskie, radio i agencje prasowe rzuciły w świat wiadomość, która musiała wzbudzić wielkie poruszenie. Załoga została zarażona rozproszonym pyłem radioaktywnym w dniu 1 marca w czasie amerykańskich doświadczeń atomowych.

Załoga Fukurio Maru 5 łowiła tuńczyki. W dniu 1 marca około godziny 3:30 nad ranem statek znajdował się na środkowym Pacyfiku w odległoś-

ci 76 mil (mila morska równa się 1852 m) od wysepki Bikini przy archipelagu wysp Marshalla. Znajdował się on, jak zanotował kapitan, dokładnie na $110^{\circ} 53$ szerokości geograficznej północnej i $66^{\circ} 35$ długości geograficznej wschodniej, zatem o 19 mil za strefą niebezpieczną. O godzinie 4:12 oślepiło marynarzy piorunujące światło, tak silne, że nie można go było wytrzymać, w kolorze rozpalonej czerwieni, rysujące się na horyzoncie w kierunku zachód-południe-zachód. Niebawem blask przybrał kolor żółtawy, a przed zniknięciem stał się znowu czerwony. Potem wstał dzień.

Minęło siedem do ośmiu minut, po czym dała się słyszeć gwałtowna detonacja, a potem słabszy nieco huk. Na pokładzie statku zaczęto żywo dyskutować.

— Cóż to się dzieje?

— Może to wschód słońca.

— Nie pleć-no głupstw. Słońce nie wschodzi na zachodzie.

— Na pewno jakieś wydarzenie planetarne.

— Nie, to ćwiczenia z bombami.

— Możliwe. Może jakieś doświadczenie atomowe?

— Coś takiego !

Było już zupełnie jasno. Zaobserwowana na zachód-południe-zachód chmura rozszerzyła się i pokrywała niebo. W trzy godziny potem biały popiół zaczął opadać bezgłośnie na pokład statku, który pokrył się cienką mleczną warstwą.

W dwa trzy dni potem dwudziestu trzech członków załogi poczuło bóle głowy. Chwyciły ich wymioty. Czuli oparzenia na obnażonych częściach ciała — szyi, rękach, uszach. Oczywiście nie wiedzieli, że padli ofiarą promieniowania i mimo że połów dopiero się zaczynał, postanowili wrócić.

Tymczasem stan zdrowia marynarzy pogorszył się. Niektórzy nawet zaczęli tracić włosy. Lekarz, który ich zbadał, uznał te oznaki tym bardziej za podejrzane, że dotknięci byli nimi wszyscy członkowie załogi Fukurio Maru. Zaalarmowane ministerstwo zdrowia wydelegowało grupę badawczą, złożoną z profesorów medycyny uniwersytetu w Tokio.

Uczeni stwierdzili, że promieniowanie statku wynosi 110 milirentgenów na godzinę (maksymalna granica bezpieczeństwa wynosi 6,25 milirentgenów na godzinę). Załoga, a nawet ryby zachowały potężną radioaktywność. Natychmiast ustalono

związek pomiędzy tą „chorobą“ a wybuchem atomowym, który Amerykanie spowodowali 1 marca na Biki. Jasne było, że marynarze nie zostali bezpośrednio **dotknięci** wybuchem, to znaczy ani uderzeniem powietrza, ani działaniem promieni ultra - fioletowych, czy innych promieni termicznych, ani działaniem promieni radioaktywnych, ale **pośrednio**, to znaczy na skutek drobniuteńkich odprysków rdzeni atomowych, przeniesionych przez biały popiół już po wybuchu.

Niebawem zauważono wyraźne zmniejszenie się ilości białych ciałek krwi do 3.000 na milimetr sześcienny (normalnie jest ich 6 do 7 tysięcy na milimetr sześcienny). Popiół zebrany i zanalizowany przez uniwersytety japońskie w Osaka i Tokio, ujawnił obecność węglanu wapna, przypominającego ten sam składnik koralu. Znalezione nadto ślady baru 140, lanthanum 140, strontium 89 i 90, które przenikając do organizmu ludzkiego, wywołują „chorobę atomową“.

Tak więc stan rybaków poważnie niepokoi ich lekarzy. Zdaniem jednego z nich, dra Cuzuki istnieje obawa, że większości chorych nie da się wyleczyć.

* * *

Ale rybacy nie byli jedynymi ofiarami. Wielu mieszkańców Tokio, Osaki i innych miast zapadło na chorobę atomową, zjadłszy tuńczyka i inne ryby radioaktywne. Czterdziestu profesorów uniwersytetu Waseda w Tokio zjadło radioaktywne tuńczyki i zapadło na biegunkę. Stąd

prawdziwe przerażenie wśród ludności, tym bardziej że chodzi o wybitnych, bardzo znanych i szanowanych profesorów.

Cole, przewodniczący kongresowej komisji USA dla spraw energii atomowej, zadaje sobie pytanie, czemu japońscy rybacy wtargnęli do niebezpiecznych rejonów i nazywa ich szpiegami! Cole jest ignorantem — nie wie bowiem, że naród japoński czerpie potrzebne dla życia białko nie z mięsa, ale głównie z ryby. Dlatego japońscy rybacy wypływają na wody Pacyfiku.

Na rynku rybnym w Tokio wykopano rowy głębokości trzech metrów i zakopano tam miliardy ryb radioaktywnych. Wielu kupców zostało zrujnowanych. Dla rozproszenia obaw ludności handlarze ryb puścili na ulice Tokio wóz, naładowany rybami i opatrzony napisem: „Te ryby nie są niebezpieczne“.

Ale spodziewany efekt nie nastąpił. Wprost przeciwnie — strach przerodził się w panikę.

Przerażenie narodu japońskiego powstało z dylematu — czy jeść rybę narażając się na śmierć, czy jej nie jeść? Problem nie do rozwiązania. Ryba stanowi podstawę odżywiania ludności, gdyż mięso jest zbyt drogie.

Drugi powód przerażenia wynika ze znanego całej ludności faktu — wszyscy, którzy byli w kontakcie z popiołami, handlarz ryb, fryzjer — stają się radioaktywni.

* * *

Jaką postawę zajęli Amerykanie wobec tego nieszczęścia, jakie dotknęło naród japoński? Przede

wszystkim trzeba zauważyć, że osobistości oficjalne w Stanach Zjednoczonych — ogólnie biorąc — zdają się tym nie przejmować. Przeciwnie, wyrażają zadowolenie z rezultatów doświadczenia, które „przekroczyło wszystkie przewidywania amerykańskich uczonych“. Wydają się nawet dumni ze straszliwej skuteczności ich wynalazku, potwierdzonej skądinąd nieszczęściem, jakie spadło na japońskich marynarzy.

Amerykanie wysłali lekarstwa. Kiedy otwarto paczki, znaleziono w nich tylko liście pewnego gatunku ka ktusa, uważanego przez Indian amerykańskich za balsam na oparzenia. Tymczasem nie chodzi tutaj o zwykłe oparzenia. Składniki radioaktywne przeniknęły do ciał ofiar wypadku.

Chcąc leczyć ofiary, japońscy lekarze zapytali Amerykanów, jakie składniki radioaktywne wchodzi w skład popiołów z Bikini. Odpowiedź przyszła dopiero po długim czasie i odmowna. Nie można rozgłaszać informacji, uznanych za tajemnicę.

Byłoby niezupełnie ściśle mówić, że władze amerykańskie pozostały całkowicie obojętne. Zaproponowały, że same będą leczyć chorych w Instytucie A.B.C.C. (Atomic Bomb Casualty Commission) w Hiroszynie. Tymczasem wiadomo w Japonii, że Instytut A.B.C.C. nie ma urządzeń klinicznych. Jest to amerykańskie laboratorium, gdzie prowadzi się badania nad skutkami bomb atomowych, które rzucono na Nagasaki i Hiroszimę. Chorych przyjmuje się tam nie po to, by ich leczyć, ale jak o króliki doświadczalne. Lekarze

japońscy uprzejmie odrzucili tę propozycję.

Kiedy władze amerykańskie zaproponowały „wspólne badania“ nad ofiarami Fukurio Maru 5, raz jeszcze spotkały się z odmową. Uczeni japońscy mają niemiłe wspomnienia z dawniejszych „wspólnych badań“. Po kapitulacji Japonii stworzono mieszaną komisję, złożoną z uczonych amerykańskich i japońskich dla zbadania skutków rzuconych w dniu 6 sierpnia 1945 r. bomb atomowych.

W czasie przeprowadzonych prac, amerykańscy członkowie komisji usiłowali **przede wszystkim** ukryć okropności bombardowania i umniejszyć je, gdy tymczasem Japończycy nalegali na ich ujawnienie.

To ich stanowisko nie podobało się Amerykanom, którzy wyprosili z komisji najbardziej niezależnego ze wszystkich dr Cuzuki pod pretekstem, że w czasie wojny współpracował z rządem japońskim. Innych zmuszono do złożenia podpisów pod niejasnym i nieścisłym komunikatem amerykańskim. Oto dlaczego japońscy uczeni odrzucili wszelkie mieszanie się amerykańskich rzeczoznawców do leczenia chorych. Jest to również wyrazem protestu całego narodu japońskiego przeciw amerykańskiemu doświadczeniu z bombą wodorową.

Postawa japońskich uczonych w szybkim czasie znalazła usprawiedliwienie w oświadczeniu Rastley'a, wybitnego członka amerykańskiego senatu. Jego zdaniem, „informacje dotyczące japońskich rybaków są przesadzone. Oparzenia przedstawiają

się o wiele mniej poważnie, aniżeli sobie wyobrażano i chorzy niebawem zaczną przychodzić do siebie“.

W jaki sposób ten wybitny członek senatu mógł dojść do takiego wniosku, nie badając chorych, nie opuszczając nawet swojego biura w Waszyngtonie?

Obecnie amerykański rząd postanowił rozszerzyć strefę zakazaną na obszar sześciokrotnie większy dla przyszłego doświadczenia z jeszcze potężniejszą bombą wodorową. Należy się obawiać, by śmiertcionośny pył nie spowodował jeszcze straszniejszych zniszczeń.

Przedtem mówiono o groźbie bomb atomowych w czasie wojny. Teraz, wraz z pojawieniem się bomb wodorowych, codziennie grożą nam okropności — nawet bez wojny.

* * *

Panika pierwszych dni przerodziła się w Japonii w powszechne oburzenie, które ogarnęło wszystkie warstwy ludności. Wszyscy obywatele — bez względu na zawód i przekonania — domagają się bezwarunkowego zakazu użycia bomb atomowych, a na razie — zakazu przeprowadzania doświadczeń z tymi bronią masowej zagłady.

Generalna Konfederacja Japońskich Związków Zawodowych (SONYO) skierowała wezwanie do organizacji związkowych, naukowych i pokojowych całego świata i postanowiła organizować wielkie publiczne dyskusje, na których wypowiedziałaby się japońscy uczeni atomowi.

Trzeba również wymienić czyn żony profesora z Osaki, pani Nisziwaki, która udawszy się do portu Yai-zu, napisała stamtąd dwa listy — jeden do min. Dullesa, drugi do pani Roosevelt.

„Widziałam własnymi oczami — pisze do amerykańskiego sekretarza stanu — jak przerażone były matki tych dzieci, które zjadły ryby radio-aktywne. Widziałam rybaków, porażonych popiołami i mogłam stwierdzić, jak bardzo cierpią... Powinniście zrezygnować z wszelkich doświadczeń z bronią atomową, która niszczy bezpośrednio, lub pośrednio życie ludzkie, bowiem próby te gwałcą podstawowe zasady moralne“.

Pani Nisziwaki jest członkiem Japońskiego Stowarzyszenia Chrześcijańskiego dla Obrony Pokoju. Oba jej listy ogłoszone zostały 24 marca w „Shakai Times“.

Na kilka dni przedtem, w dniu 22 marca przewodniczący prawicowej partii socjalistycznej Kawakami wezwał do stworzenia Karty dla pokojowego wykorzystania energii atomowej, której „użycie dla celów szkodliwych jest przyczyną nieszczęść ludzkości i naraża ją na zagładę“.

Inicjatywę ogłoszenia takiej Karty powzięła Japońska Akademia Nauk w ogłoszonym publicznie orędziu z dnia 11 marca, potwierdzając jednocześnie rezolucję uczonych japońskich w sprawie „prowadzenia badań atomowych jedynie dla celów

pokojowych, nie zaś w celach wojny“.

Ogólne zaniepokojenie znalazło wyraz w parlamencie. Doszło do porozumienia między partiami politycznymi, które przedstawiły wspólną rezolucję Izbie Posłów. Naturalnie, niełatwo było to osiągnąć z powodu sprzeciwu partii rządowej. A oto tekst, który ostatecznie przyjęto:

„Izba Posłów żąda od ONZ, aby natychmiast podjęła skuteczne środki, mające na celu przyspieszenie międzynarodowej kontroli i pokojowe wykorzystanie energii atomowej, wprowadzenie zakazu użycia broni atomowej i zapobieżenie wypadkom, które mogłyby się wydarzyć w wyniku doświadczeń z bombą atomową“.

Nie brak w tym tekście paru słabych stron. Nie odważono się użyć terminu „bomba wodorowa“. Wyrażenie „przyspieszyć“ jest bardzo niejasne. W każdym jednak razie fakt że został on jednogłośnie przyjęty (1 kwietnia) przyczynił się do wzmocnienia protestu całego narodu. W całym kraju rady miejskie i okręgowe uchwalają podobne rezolucje.

Japończycy, którzy trzykrotnie padli ofiarą doświadczeń atomowych (Hiroszima, Nagasaki, Bikini) uważają za swój święty obowiązek wobec ludzkości stanąć na czele światowego ruchu protestu i domagać się natychmiastowego zawarcia układu międzynarodowego, zakazującego w sposób formalny wszystkich broni masowej zagłady.



PROF. ERIC H.S. BURHOP

Fizyk atomowy,
Wykładowca w University
College w Londynie,
Przewodniczący
Komitetu Nauk Atomowych
przy Stowarzyszeniu
Pracowników Naukowych

Obrona nie byłaby możliwa

BOMBA wodorowa opiera się na zupełnie odmiennej zasadzie aniżeli dawniejszy typ bomby atomowej lub rozszczepialnej. Zjawiska „termojądrowe” występujące w bombie wodorowej przypominają zjawiska zachodzące w słońcu i w gwiazdach, będące źródłem siły kalorycznej.

Bomba składa się w gruncie rzeczy z dwóch rzadkich odmian wodoru. W temperaturach zwykłych oba te elementy są całkowicie bierne. Jeśli jednak ogrzeje się je do temperatury kilkudziesięciu milionów stopni stustopniowych, następuje gwałtowna eksplozja, której towarzyszy wyzwolenie niezwyklej ilości energii.

Tę bardzo wysoką temperaturę początkową wytwarza w bombie wo-

dorowej wybuch bomby opartej na zwyczajnym rozbićiu atomowym. Słowem, bomba atomowa służy jako detonator do bomby wodorowej. Przy jednakowej wadze bomba wodorowa wytwarza dziesięciokrotnie więcej energii aniżeli bomba atomowa.

Jednak w odróżnieniu od bomby opartej na zasadzie rozbićia jądrowego, nie istnieją granice jeśli chodzi o rozmiary bomby wodorowej. Oświadczono, że bomba wodorowa, która miała być użyta w obecnej serii doświadczeń posiadała siłę wybuchu 2 500 razy większą aniżeli bomba rzucona na Hiroszimę i odpowiadała bombie zawierającej 50 milionów ton T. N. T. (trinitrotoluen). (Bomba z Hiroszimy zabiła 247 000 osób).

Wybuch tego rodzaju bomby unicestwiłby miasto z tym, że promień

całkowitego zniszczenia wyniosłby 20 kilometrów, a promień bardzo ciężkich spustoszeń stosownie do siły wybuchu rozciągałby się aż do około 40 kilometrów. Niezwykle gorąco, wydzielane przez wybuch bomby mogłoby w sprzyjających warunkach spowodować śmiertelne oparzenia i wzniecać wielkie pożary w promieniu 50 kilometrów. W ten sposób strefy przedmieść wielkich miast, które nie uległyby bezpośredniemu zniszczeniu przez spalanie, zostałyby prawdopodobnie zupełnie spustoszone pod wpływem tych ogromnych pożarów.

Mogłyby jednak wynikać skutki jeszcze o wiele bardziej straszliwe na obszarze bardziej rozległym. Wielka część miasta zostałaby obrócona w pył i ten silnie radioaktywny pył wirowałby w powietrzu, aby osiąść na sąsiadujących terenach w promieniu wielu setek kilometrów, powodując skutki podobne do tych, jakich doznali japońscy rybacy, lecz w skali nieporównanie większej.

Skutki radioaktywności byłyby bardzo ciężkie i pociągnęłyby za sobą śmierć wielkiej liczby ludzi po cierpieniach i długich chorobach. Samo zakażenie nie trwałoby wprawdzie długo i zbombardowana strefa byłaby wkrótce znowu możliwą do zamieszkania. Jednakowoż to radioaktywne działanie może być dowolnie zwiększone i utrzymane przez dość długi okres czasu, jeśli otoczy się bombę wodorową szeroką otoczką z metalicznego kobaltu.

W takim wypadku radioaktywność, zamiast zniknąć po kilku dniach, przetrwać może kilka lat. Wszędzie gdziekolwiek zrzucony zostałby ra-

dioaktywny kobalt, życie pod jakąkolwiek postacią stałoby się absolutnie niemożliwe. Wszelka istota ludzka, która nie chciałaby lub też nie mogłaby opuścić niebezpiecznej strefy, człowiek czy zwierzę, ptak czy owad, roślina czy drzewo — wszystko uległoby zniszczeniu.

Bomba takich rozmiarów i tego typu, otoczona kobaltem, wytworzyłaby warunki absolutnego zniszczenia w promieniu około 350 kilometrów od centrum wybuchu.

Wybuch bomby

Gdyby bomba wodorowa wyżej opisanego typu rzucona została na Londyn, cała ludność, czyli niemal 5 do 6 milionów ludzi zamieszkujących w odległości do 20 kilometrów od miejsca wybuchu, postradałaby życie. Ci którzy uniknęliby początkowego spalania zostaliby pogrzebani pod zwalami gruzów i odłamków. Jest niemal pewne, że ogromne pożary spustoszyły całą zniszczoną strefę i uniemożliwiłyby jakąkolwiek akcję pomocy, mimo iż przewidziano by niezbędne ekipy ratownicze. W każdym zaś razie wysoki stopień radioaktywności naraziłby na pewną śmierć ekipy ratownicze, które na pewien czas musiałyby się udać do strefy zniszczonej.

W każdym razie na peryferiach tej strefy wynoszącej około 490 kilometrów kwadratowych miliony ludzi przeżyłyby moment wybuchu. Jednakowoż liczni spośród nich ulegliby ciężkim poparzeniom na skutek bezpośredniego wystawienia na gorąco pierwszych płomieni. Inni doznaliby

oparzeń trzeciego stopnia, wpadłszy w pułapkę ogromnych pożarów w strefie zniszczonej, w promieniu około 80 kilometrów od miejsca zrzucenia bomby. Inni jeszcze zostaliby ranieni przez walące się domy i przez tłukące się szkło. Wszyscy zaś prawdopodobnie ucierpieliby pod wpływem działania silnej radioaktywności pyłu, który rozpraszałby się od centrum spalania.

Wielu zginęłoby, próbując się ratować. Małe dzieci, starcy, ulomni i niewidomi mieliby małe szanse przeżycia, gdyby się znaleźli w promieniu 80 kilometrów. Wielu niewątpliwie uratowałoby się, przebiegłszy „dostateczny“ dystans. Jeśli jednak rozważymy to co powiedziano na temat odległości, na jaką rozciągać się może pył radioaktywny, ów „dostateczny“ dystans wynosiłby co najmniej 170 kilometrów od miejsca eksplozji.

Gdyby zaś bomba wodorowa była wzmocniona przez powłokę z kobaltu i gdyby w tym samym momencie zrzucone zostały dwie lub trzy inne bomby na inne części Anglii, żaden skrawek tych wysp nie znajdowałby się w „dostatecznej“ odległości. Nasz wielki kraj przestałby żyć.

A potem...

Przyjmijmy jednak, że nie użyto kobaltu i że jedna tylko bomba zrzucona została na rejon Londynu.

Trzeba byłoby poddać leczeniu kilka milionów rannych. Wielu z nich doznałoby złamań, zmiążdżenia członków, głębokich ran. Inni doznaliby poparzeń trzeciego stopnia i trzeba by zastosować transfuzję krwi i plazmy, aby uniknąć wstrząsów, za-

aplikować im antybiotyki dla zapobieżenia infekcjom oraz szczepienia podskórne. Wszyscy padliby w mniejszym lub większym stopniu ofiarą działania radioaktywnego, mimo iż wielu początkowo nie zdawałoby sobie z tego sprawy. Skutki działania radioaktywnego są zdradzieckie i często nie ma bezpośrednich znamion, nawet jeśli dawki były zgubne.

Po pewnym czasie jednak zaczyna się wymioty, biegunka i wypadanie włosów. Po upływie dwóch do trzech tygodni od czasu wystawienia na działanie radioaktywności, ujawniają się choroby cięższe, infekcje gardła, wewnętrzne krwotoki, przykre owrzodzenia, ciężkie anemie i niedożywienie. Pomiędzy dziesiątym a dziewięćdziesiątym dniem od chwili eksplozji nastąpić może nagła śmierć.

Jeśli ofiara przeżyje choroby spowodowane przez działanie radioaktywności w okresie trzech miesięcy, wtedy ma prawdopodobnie szansę wyleczenia się. Wielu jednak chorych będzie później cierpiało na raka skóry, a jeśli wdychali pył radioaktywny, będą cierpieć na raka różnych organów wewnętrznych. Kobiety brzemienne wydadzą na świat dzieci martwo urodzone, a zarówno mężczyźni jak i kobiety utracą czasowo zdolności rozrodcze. Ponadto ów pył radioaktywny spowodować może nieobliczalne skutki w odniesieniu do pokoleń przyszłych dzieci. Rozmiarów tych skutków określić nie można, lecz wszyscy genetycy są zgodni w tym, że one istnieją. Możliwe, że skutki te rozciągają się na 40 do 50 pokoleń, aby w końcu osiągnąć szczyt nasilenia, w każdym jednak razie

liczba dzieci - potworków i innych anormalności nie do przewidzenia wzrastałaby.

Bezsilność obrony biernej

Nie można przedsięwziąć żadnego naprawdę skutecznego środka dla ochrony tej części ludności, która zamieszkuje na obszarze 325 kilometrów kwadratowych, otaczającym miejsce zrzucenia bomby. Gdyby jacyś mieszkańcy schronili się w schronach, które nie uległy zniszczeniu, narażaliby się na to, że zostaną zasypiani przez zwały gruzów z okolicznych domów. Gdyby im się udało wydostać ze schronów, nie uszliby w żadnym wypadku krwawego całopalenia, które rozpasaloby się po eksplozji. Gdyby jakimś cudem udało im się uniknąć tego niebezpieczeństwa, byłiby jeszcze narażeni na otrzymanie śmiertelnej dawki działania radioaktywnego.

Jeśli chodzi o część ludności znajdującą się na skraju strefy eksplozji, to system dobrze skonstruowanych schronów mógłby umożliwić dużej liczbie ludzi uniknięcie skutków pożarów i działania radioaktywnego.

Po zaatakowaniu bombą wodorową na przykład Londynu, byłoby wiele milionów rannych, którym potrzebne byłoby leczenie. Przede wszystkim ofiary poparzeń i schorzeń spowodowanych przez działanie radioaktywne. Przeciętnie każdemu rannemu trzeba byłoby zastosować transfuzję krwi od czterech do dziesięciu krwiodawców. Dla leczenia tych poparzeń i skutków działania

radioaktywnego cała reszta ludności Anglii musiałaby oddać swoją krew.

A gdy pomyślimy o setkach tysięcy niezbędnych lekarzy i pielęgniarek, o milionach łóżek szpitalnych, nie mówiąc już o konieczności zaopatrzenia, opieki itd., oczywiście staje się, że w zestawieniu ze skutkami jednej tylko bomby wodorowej problem obrony biernej nie mieści się w żadnym wypadku w jakimkolwiek bądź systemie organizacji. Jedynie nikły odsetek milionów rannych ludzi mógłby przeżyć.

Moglibyśmy pomyśleć o systemie rozproszenia naszych głównych ośrodków przemysłu. Większość mogłaby być umieszczona pod ziemią. Moglibyśmy ewakuować miasta. Rozwiązania takie są obecnie dyskutowane w Stanach Zjednoczonych. Lecz w zestawieniu z tak rozległymi zniszczeniami, jakie powoduje bomba wodorowa, problem rozproszenia jest nieskończenie bardziej trudny w małym, silnie uprzemysłowionym kraju i gęsto zaludnionym, aniżeli w krajach o rozległych przestrzeniach jak na przykład Stany Zjednoczone, Kanada czy Związek Radziecki.

W każdym razie geograficzne przemieszczenie naszego przemysłu byłoby przedsięwzięciem gigantycznym, trudnym i na długą metę. A przecież niebezpieczeństwo bomby wodorowej zagraża nam już dziś. Nie możemy pozwolić na stratę czasu i pieniędzy dla rozpoczęcia realizacji wielkiego programu rozproszenia.

Niektórzy specjaliści pokładają ufność w rozwoju naszego systemu obrony powietrznej. Prawda, że osiągnięto wielkie postępy dzięki odkry-

ciu takich mechanizmów jak nowe karabiny, przeciwlotnicze działa radarowe itd., co sprawia, że atak staje się bardzo kosztowny. Jednakowoż żadne z tych urządzeń nie jest w stanie osiągnąć nawet w dalekim przybliżeniu skuteczności 100-procentowej, a w stosunku do dalekonośnych rakiet skuteczność ich równa się niemal zeru. Wystarczy aby jedna z takich bomb wodorowych przeszła przez zaporę obrony powietrznej, aby nastąpiły wszystkie opisane wyżej spustoszenia. I nawet gdyby bombowiec niosący bombę wodorową został zestrzelony przed osiągnięciem celu, skutki zawsze byłyby bardzo ciężkie.

Zatem w dziedzinie obrony biernej i przeciwlotniczej bardzo niewiele można uczynić przeciwko tego rodzaju broni.

Zakazać użycia tych bomb!

Niektórzy z generałów - „bombofilów“ mogliby dążyć do tego, aby spróbować eksplozji bomby wodorowej otoczonej powłoką z kobaltu. Skutki takiej próby byłyby bardzo ciężkie, gdyż znana jest wielka trwałość radioaktywnego działania kobaltu. A gdyby popełniono inne błędy w obliczeniach, podobne do tych, jakie popełniono w czasie eksplozji z 1 marca, groziłyby one o wiele bardziej nieszczęsnymi skutkami.

Zaprzestanie tych prób stanowi jedynie pierwszy krok. Trzeba położyć kres magazynowaniu tych rodzajów broni. Użycie ich w czasie wojny musi być zakazane. Na pokoleniu naszym ciąży święty obowiązek wobec

potomności uczynienia wszystkiego, aby środki te przedsięwzięto niezwłocznie.

Niektórzy, jak Churchill, wysunęli argument, że produkcja tych rodzajów broni stanowi czynnik pokojowy, gdyż stanowią one tak strasliwą groźbę zastosowania represalii, że wywierają bardzo skuteczny wpływ odstraszający przeciwko agresji.

Argument ten jest tragicznie błędny. Z chwilą gdy dwa wrogie państwa są uzbrojone w zapasy tych rodzajów broni, strona, która w wypadku konfliktu będzie mogła pierwsza wymierzyć cios, uzyska tak ogromną przewagę, że jeden z dwu przeciwników może z łatwością dążyć do tego, aby przyspieszyć wypadki w celu pozbycia się obawy ataku wroga.

Możemy się znaleźć w otchłani wojny toczonej przy pomocy ataków broni wodorowej lub nawet bomb wodorowo - kobaltowych. Wystarczyłoby kilka tysięcy tych bomb wodorowo - kobaltowych, aby wytworzyć poziom zakażenia radioaktywnego tak wysoki, że zniszczeniu uległby cały rodzaj ludzki, a nawet wszelkie życie.

Groźbę taką kryje w sobie nie tylko bomba wodorowa. Również bomba atomowa powoduje taki stopień zniszczenia, że gdyby broń ta była użyta w najbliższej wojnie, Anglia znalazłaby się w pozycji nie do obronienia i nie do utrzymania. O ile jednak do całkowitego zniszczenia Wysp Brytyjskich wystarczyłyby trzy do czterech bomb wodorowych, to aby wywołać podobny efekt trzeba byłoby około 100 bomb atomowych.

A przecież w obecnej chwili broń atomowa produkowana są w takiej ilości, że armia amerykańska dostarcza ich do swoich oddziałów jak broni mniej lub więcej konwencjonalnych dla celów taktycznych. Anglia, z racji swoich rozmiarów i wysokiego stopnia koncentracji swego przemysłu, znajduje się w sytuacji tak niekorzystnej w wypadku wojny atomowej, że najbardziej elementarny rozsądek skłonić powinien jej kierowników, aby jako pierwsi zażądali zakazu wszelkich rodzajów tej broni. Tymczasem przeciwnie, jak to wyraził zupełnie jasno Sir John Slessor w kilku ostatnich przemówieniach radiowych, lotnictwo angielskie w swoich planach bombardowań strategicznych przewiduje w znacznej części użycie broni atomowej.

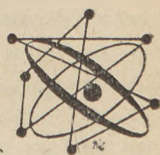
Strategia „New Look”

Dulles oświadczył ostatnio, że amerykańska polityka obronna przy-

jęła ostatnio nową strategię nazywaną „new look”, według której w wypadku zamieszek, jakie mogłyby wybuchnąć w jakiegokolwiek części świata, Stany Zjednoczone odpowiadały wszczęciem akcji w miejscach przez siebie wybranych i przy użyciu broni przez siebie wybranych. Zostało to zinterpretowane w ten sposób, że gdyby odżyły walki w Korei, lub gdyby gdzieś wybuchła wojna lokalna, Stany Zjednoczone uważałyby się za upoważnione do zrzucenia bomb atomowych na Chiny lub Związek Radziecki.

Skoro zaś uwzględni się, że amerykańskie bazy wojskowe istnieją w Anglii, to nowa polityka Dullesa wydaje się mieścić w sobie i to, że każda mała wojna lokalna może być przez Stany Zjednoczone przekształcona w wojnę atomową, do której wciągnięta byłaby również Anglia.

„Audycja rozpaczy”



KOMENTUJĄC decyzję rządu amerykańskiego rozpoczęcia produkcji bomby wodorowej, czterech amerykańskich uczonych — Hans Bethe, Harrison Brown, Frederick Seitz i Leo Szilard ogłosili 26 lutego 1951 r. przez radio amerykańskie uroczyste ostrzeżenie. Ich audycja stała się sławna pod nazwą, jaką ją obdarzyli jej potwarcy, oceniając ją jako niewczesną — pod nazwą „audycji rozpaczy”.

Bethe. — Sądzę, że nadeszła pora podyskutowania na temat bomby

wodorowej. Jeżeli nie uczynimy tego już teraz, ryzykujemy tę możliwość,

że koncepcje naszego rządu, a przede wszystkim Departamentu Wojny „okrzepną“, jak to miało miejsce z bombą atomową, na której oparto większość naszych planów strategicznych.

Brown. — Ogólna dyskusja na temat bomby wodorowej koncentruje się na fakcie, że jest to niezwykle potężna broń zniszczenia.

Bethe. — Chcę powiedzieć kilka słów o czasie, jakiego niewątpliwie wymagać będzie konstrukcja takiej broni. Nie została ona jeszcze wyprodukowana. Nie wiadomo nawet, jak będzie się ona przedstawiać. Dodajcie do tego wszystkie wahania, jakie napotyka się zawsze w ciągu badania. Nigdy nie wiadomo, jakie będą rezultaty, a w tym szczególnym wypadku nie możemy przewidzieć, czy bomba wodorowa zostanie wyprodukowana, czy też nie.

Z drugiej strony nasi rzeczoznawcy uważają fabrykację bomby wodorowej za możliwą. Ale nawet uwzględniając powyższe, moim zdaniem musimy liczyć, że produkcja bomby potrwa dobrych kilka lat.

Brown. — A wielkość bomby wodorowej? Učení podają, że siła jej wybuchu będzie od dwóch do tysiąca razy większa od siły wybuchu zwykłej bomby atomowej. Czy istnieje naprawdę granica siły wybuchu bomby wodorowej, zakładając oczywiście w pierwszym rzędzie, że bomba ta będzie funkcjonować?

Bethe. — Wielkość bomby zależęć będzie jedynie od ilości ciężkiego wodoru, który będzie można transportować samolotem lub w innej

maszynie, służącej do wyrzucenia bomby. Możemy, jak mi się zdaje, przypuszczać z pewnością, iż użyta w wojnie bomba będzie co najmniej sto razy potężniejsza, aniżeli obecna bomba atomowa. Wymieniano cyfrę tysiąca razy, co traktuję jako podstawę dyskusji.

Co oznaczałaby bomba tysiąc razy silniejsza od obecnej bomby atomowej? Znaczyłoby to, że promień zniszczenia drogą podmuchu zwiększyłby się dziesięciokrotnie, że powierzchnia „zmieciona“ byłaby sto razy większa, aniżeli przy użyciu bomby atomowej.

Gdyby spowodowano wybuch bomby wodorowej w jakimkolwiek punkcie, nastąpiłoby całkowite zniszczenie w promieniu 16 km. Oznaczałoby to, że miasto wielkości Nowego Jorku, lub wszelkie inne miasto pośród największych miast na świecie mogłoby ulec zniszczeniu w wyniku działania jednej bomby wodorowej.

Brown. — Kiedy pan mówi o Nowym Jorku, ma Pan na myśli cały obszar wielkiego miasta?

Bethe. — Z całą pewnością.

Brown. — Mniej więcej około 750 km kwadratowych prawdopodobnie?

Bethe. — Tak. Ale moim zdaniem to byłoby nie wszystko.

Seitz. — Istnieje dodatkowy czynnik, o którym chciałbym powiedzieć, a który odnosi się do oparzeń na skutek błysku. Ustalono, że około 30 proc. zgonów w Hiroszimie pochodziło od porażenia błyskiem. Otóż wszystko wskazuje, że skutek błysku

byłby co najmniej 30 razy większy w wypadku bomby wodorowej. Oznacza to, że działanie błysku rozciągnęłoby się na więcej, aniżeli 30 km w ten sposób, że nawet na tej odległości ludzie doznaliby poważnych oparzeń.

Brown. — Dotąd dyskutowaliśmy na temat bomby wodorowej z punktu widzenia zniszczenia na skutek błysku i z punktu widzenia rzucenia jej w określony cel. Napotykamy co jakiś czas na łamach prasy oświadczenia, związane z innym źródłem zniszczenia — radioaktywnością. Czy rozproszenie przydałoby się naprawdę na coś, jeżeliby chodziło o schronienie się nie przed podmuchem, ale przed radioaktywnością?

Szilard. — W tym wypadku nie zdałoby się to absolutnie na nic.

Bethe. — Ma pan niewątpliwie rację, kładąc nacisk na radioaktywność. W bombie wodorowej produkowane są w wielkiej ilości neutrony. Neutrony rozprzestrzeniają się w atmosferze, gdzie tworzą radioaktywny węgiel 14, znany dobrze wszystkim uczonym. Ten izotop węgla utrzymuje się 5 tysięcy lat. A zatem, kiedy spowoduje się wybuch pewnej ilości bomb wodorowych, powietrze zostanie zatrute tym węglem 14 na pięć tysięcy lat. Jest zupełnie prawdopodobne, że ilość bomb wodorowych będzie tak wielka, iż wszelkie życie na ziemi stanie się niemożliwe.

Szilard. — Tak, to prawda, Bethe. Ale nie o tym myślałem; na to trzeba by wielkiej ilości bomb.

Myślałem natomiast o tym: radioaktywność wywołana być może nie tylko węglem. Większość składników przyrody stanie się radioaktywna, kiedy wchłoną one neutrony. Wystarczy wybrać odpowiedni składnik i przygotować go w ten sposób, aby wchłaniał wszystkie neutrony. Byłoby to wtedy bardzo niebezpieczne. Zrobiłem obliczenia. Przypuśćmy, żeśmy sfabrykowali składnik radioaktywny, żyjący przez pięć lat i że po prostu rzuciliśmy go w powietrze.

Przez następne lata będzie on się stopniowo rozprzestrzeniał i pokryje pyłem całą ziemię. Zadałem sobie pytanie: ile neutronów, albo jaką ilość ciężkiego wodoru należy wyrzucić w powietrze, aby tą metodą zabić całą ludność kuli ziemskiej? Uzyskałem rezultat: 50 ton neutronów stanowi dostateczną ilość dla zabicia wszystkich ludzi na świecie, co równa się około pięciuset tonom ciężkiego wodoru.

Brown. — Chce pan powiedzieć, Szilard, że cała ludność ziemi mogłaby zginąć od wybuchu pięciuset ton ciężkiego wodoru, co pozwoliłoby następnie na wchłonięcie tych neutronów przez inny składnik i stworzyłoby tą drogą substancję radioaktywną?

Szilard. — Jeżeli chodzi o składnik radioaktywny o długim okresie trwania, rozprzestrzeniający się stopniowo w ciągu kilku lat, tak, by utworzyć warstwę pyłu na powierzchni ziemi, wtedy, tak cała ludzkość przestałaby istnieć.

Szilard. — Uczni przyznaliby z łatwością, że ważną rzeczą jest polepszenie naszych możliwości przetargowych. Ale wielu znanych mi uczonych niepokoi to, że nie wiemy, w jakim celu prowadzimy przetargi.

Brown. — Przed kilkoma dniami, Bethe, spostrzegłem w jednej z gazet oświadczenie, podpisane przez Pana i przez jedenastu innych uczonych, głoszące, że rząd Stanów Zjednoczonych winien zobowiązać się, iż pierwsi nie zrobimy użytku z bomb wodorowych. Czy mógłby Pan powiedzieć nam w paru słowach, jakie rozważania pchnęły was do złożenia takiego oświadczenia?

Bethe. — Chętnie o tym powiem. Mieliśmy przeświadczenie, że głównym, a być może jedynym powodem, dla którego wyprodukujemy bombę wodorową, jest utrzymanie naszej pozycji dla prowadzenia rokowań, abyśmy któregoś dnia nie stanęli wobec oświadczenia ZSRR, że jest on w posiadaniu bomby wodorowej i może nas zgładzić.

Jeżeli jest to jedyny powód, pomysłeliśmy wówczas, to nigdy nie użyjemy tej bomby w wojnie ofensywnej. W tych warunkach możemy wiele zdziałać oświadczając otwarcie, że pierwsi tej bomby nie rzucimy.

Szilard. — Czytałem to oświadczenie i prawdę mówiąc bardziej się wzruszyłem uczuciem, jakie je ożywia aniżeli jego logiką. Sądzę, że motywem tego oświadczenia był w

istocie pewien rodzaj niepokoju, jaki obserwuję u wielu uczonych.

W 1939 r., kiedy staraliśmy się przekonać rząd, aby wziął w swoje ręce rozwój problemów atomowych, amerykańska opinia publiczna jednogłośnie wyrażała przekonanie, że zbrodnią jest bombardowanie miast i zabijanie kobiet i dzieci. W czasie wojny prawie niepostrzeżenie zaczęliśmy używać bomb napalmowych przeciw Japonii, zabijając miliony kobiet i dzieci. Wreszcie użyliśmy bomby atomowej.

Sądzę, że wśród uczonych istnieje ogólnie uczucie niepokoju. Łatwo przychodzi im zgodzić się, że nie możemy mieć zaufania do ZSRR, ale zadają sobie również pytanie: w jakiej mierze możemy mieć zaufanie do samych siebie?

Bethe. — Zupełnie słusznie. Jednym z powodów, dla których złożyliśmy oświadczenie, była chęć przeszkodzenia wojnie z użyciem bomby wodorowej tylko po to, abyśmy byli pierwsi.

Brown. — Zgadza się, że gdyby wyprodukowano bombę wodorową, zniszczenia, spowodowane przez nią na całym świecie, byłyby bez precedensu. Przede wszystkim uległyby zniszczeniu od podmuchu całe miasta jak Nowy Jork, Chicago i Londyn. Ale, co znacznie ważniejsze, wywołana tym radioaktywność mogłaby doprowadzić do całkowitego, lub niemal całkowitego zniszczenia życia na ziemi.

Siły atomowe w służbie ludzkości



PREZYDENT Eisenhower zwrócił uwagę w swoim przemówieniu wygłoszonym w końcu 1953 r. w Zgromadzeniu Ogólnym Organizacji Narodów Zjednoczonych na pokojowe perspektywy, które otworzyły się w związku z ostatnimi odkryciami w dziedzinie energii atomowej. Zaproponował on utworzenie międzynarodowego zasobu materiałów rozszczepialnych, to znaczy paliwa jądrowego, do którego narody produkujące tego rodzaju surowce wnosilyby swój wkład stosownie do swoich możliwości. Ten zasób oddany byłby pod kontrolę władzy międzynarodowej i służyłby do pokojowej produkcji energii atomowej, oraz do wszelkiego rodzaju pokojowego wykorzystania energii atomowej. Byłby on również oddany do dyspozycji pewnych części świata, których rozwój gospodarczy i przemysłowy jest słaby.

Propozycja prezydenta Eisenhowera nie wydaje się prowadzić zbyt daleko na drodze do międzynarodowego układu o kontroli energii atomowej. Cel ich jest bardzo ograniczony i dotyczy jedynie użycia bardzo niewielkiej części światowej produkcji materiałów rozszczepialnych. W konsekwencji pociągnęły-

by one za sobą jedynie nieznaczną redukcję poziomu produkcji bomb atomowych czy wodorowych i sprawiłyby wysunięcie na czoło tych samych problemów proceduralnych oraz trudnych do rozwiązania problemów praktycznego zastosowania, które już utrudniły wysiłki, zmierzające do zawarcia układu w sprawie przepisów o kontroli o wiele bardziej ogólnych. Kto na przykład decydowałby o rozmieszczeniu składów i które państwa jako pierwsze miałyby korzystać z dobrodziejstw pokojowego wykorzystania energii atomowej?

Tym niemniej propozycje te zawierają pewne momenty pozytywne. Pozwalają one przewidzieć współpracę i wspólne badania uczonych licznych krajów, w ich liczbie Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego, w tym konstruktywnym przedsięwzięciu. Ten prosty fakt prowadziłby, można żywić nadzieję, do wzmocnienia współpracy technicznej pomiędzy uczonymi wszystkich krajów. Idźmy jeszcze dalej. W czasie debaty nad bombą wodorową w Izbie Gmin w dniu 5 kwietnia 1954 r. Winston Churchill wyraził pogląd, że z chwilą zapoczątkowania nieoficjalnych rozmów wokół planu Ei-

senhowera mogłyby być poruszone problemy jeszcze o wiele bardziej ogólne, związane z zagadnieniem kontroli energii atomowej.

Z drugiej strony, wybór momentu w którym propozycje te zostały uczynione, wiąże się bez wątpienia z obawami Amerykanów wobec postępów poczynionych przez Związek Radziecki w dziedzinie pokojowego zastosowania energii atomowej. Zwrócono na przykład uwagę na to, że przewodniczący komisji do spraw energii atomowej w Stanach Zjednoczonych Thomas E. Murray oświadczył w dniu 22 października 1953 r.: „To ostatnie osiągnięcie Związku Radzieckiego (mianowicie wyprodukowanie broni termo-jądrowej) w stopniu mniej poważnym zagraża dziś wolnemu światu, gdyby na przykład ogłoszono, iż Związkowi Radzieckiemu udało się uruchomić generator pędzony energią atomową, który praktycznie byłby zdolny do utrzymywania w ruchu fabryk. Jest ono również mniej niebezpieczne, niż gdyby na przykład Związek Radziecki zaofiarował obcym mocarstwom całą technologię, niezbędną do zainstalowania generatorów atomowych w zamian za uran, dodając do tej oferty propozycję kilku bardzo korzystnych układów politycznych i ekonomicznych. Jeśli niezwłocznie nie przypuścimy generalnego i prowadzonego na całym froncie ataku w związku z naszym programem energii atomowej, narażamy się na to, że zostaniemy pozbawieni zagranicznej rudy uranowej“.

Otuchy dodaje fakt, że rząd radziecki zgodził się przedyskutować

nieoficjalnie propozycje Eisenhowera mimo ich oczywistych słabych stron i mimo tego, że są one niewystarczające, stwierdzając zarazem, że jego zdaniem prawdziwe rozwiązanie polegać może jedynie na zakazie broni masowego zniszczenia, po którym nastąpi ścisła kontrola i inspekcja międzynarodowa. Te nieoficjalne rozmowy toczą się w obecnej chwili.

Przestudiowanie najnowszych postępów w dziedzinie pokojowego zastosowania energii atomowej jest nad wyraz interesujące. Zostały one wyłożone przez autora niniejszego artykułu w poprzednim studium. Zastosowanie takie kryje w sobie możliwości porywające, jednakowoż czas ich zastosowania zostaje opóźniony znacznie przez fakt przewagi militarnych aspektów zastosowania energii atomowej. Sytuacja ta nie uległa zmianie w najmniejszym stopniu ani w Stanach Zjednoczonych, ani w Wielkiej Brytanii.

Paliwo atomowe

W każdym razie pod jednym względem osiągnięty został w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy doniosły postęp techniczny. Mianowicie udowodniono, że proces znany pod nazwą „reprodukcji“ paliwa atomowego, wychodzącej z materiałów nie rozszczepialnych, jest technicznie możliwy. („W Obronie Pokoju“, lipiec 1952).

Zasadę tego procesu opisałem w poprzednim moim artykule. Obecnie zrealizowane zostało jego praktyczne zastosowanie. Okazało się, że wszelki uran, będący produktem

równocześnie uranu 235 i uranu 238, może obecnie służyć bezpośrednio lub pośrednio jako paliwo atomowe, gdy tymczasem przedtem można było użyć jedynie bardzo małego ułamka (1 na 140). Ponadto odkryte zostało inne bardzo bogate źródło paliwa atomowego w złożach toru, znajdującego się w różnych częściach świata. Jednym z wyników zrealizowania procesu „reprodukcji” jest to, iż tor przekształcić można w reaktorze atomowym w nowego rodzaju paliwo atomowe.

Te nowe odkrycia sprawiają, iż źródła surowców, które mogłyby być eksploatowane w celu uzyskania paliwa atomowego, znacznie się rozszerzyły. Wydaje się prawdopodobne, że nie byłoby wielkich trudności w zaspokojeniu na przeciąg tysięcy lat zapotrzebowania na uran i tor potrzebne światu jako źródła energii. Nie należy nie doceniać doniosłości tego faktu w epoce, kiedy wyrażane są liczne obawy jeśli chodzi o zaspokojenie na długą metę zapotrzebowania na paliwa bardziej konwencjonalne.

Ponadto, rozpowszechnienie metody „reprodukcji” przynosi wielką różnicę w koszcie produkcji paliwa atomowego. W 1952 r. określono w Wielkiej Brytanii szacunkowo koszt paliwa dla produkcji energii elektrycznej na 43 pensy za kilowat/godzinę. Dr W. H. Zinn, dyrektor Narodowego Laboratorium Argonne w Chicago oszacował ostatnio (Bulletin of the Atomic Scientists, vol. IX, 1953, str. 171), że koszt paliwa atomowego otrzymanego w generatorze, w którym spalany byłby sam uran 235, wyniósłby około 0,3 pensa za

kilowat/godzinę. W reaktorze „reproduktorze” koszty mogłyby być nawet jeszcze obniżone i cena za kilowat/godzinę wyniosłaby 0,01 pensa, czyli kwotę, która niemal że się nie liczy.

To zniżenie ceny częściowo pochłaniają początkowe koszty instalacji, lecz jeśli nawet uwzględni się te zwiększone nakłady kosztów początkowych, sukces reprodukcji jasno wykazuje, że obfite zaopatrzenie w tanią siłę energetyczną mogłoby być zapewnione, gdyby się używało paliw atomowych.

Spoleczna i ekonomiczna doniosłość tego odkrycia jest bardzo wielka.

Generator atomowy dla 100.000 ludzi

Ostatnio dyskutowano kilka zupełnie nowych pomysłów dotyczących silnie radioaktywnych produktów rozbicia, które wytwarzane są w reaktorach atomowych. Na przykład w atomowej stacji energetycznej, która produkuje energię elektryczną równą 100.000 kilowatów w ciągu roku, radioaktywność produktów rozbicia odpowiadałaby pod względem intensywności radioaktywności wyprodukowanej przez 10 tys. kilogramów radu. Wystarczyłoby to do pasteryzacji bez zastosowania energii cieplnej około 1.720 litrów mleka na godzinę, do sterylizacji trzech ton mięsa konserwowego na godzinę, do uodpornienia dziennie 2.000 ton ziarna przeciwko szkodnikom.

Generator atomowy takich rozmiarów mógłby zaspokoić zapotrze-

bowanie nowoczesnego miasta liczącego około 100.000 mieszkańców. Wydaje się, że byłoby możliwe użycie produktów ubocznych do sterylizacji produktów żywnościowych dla miasta tych rozmiarów.

Istnieją ponadto inne liczne możliwości zastosowania tych potężnych źródeł radioaktywności w dziedzinie chemii i metalurgii. Na przykład praktycznie wszystkie wytwory z kauczuku lub z masy plastycznej stają się twardsze i bardziej odporne na ciepło, jeśli je się podda promieniowaniu. W ten sposób, mogą być również produkowane masy plastyczne, dzięki procesowi polimeryzacji. Radioaktywność wytwarzana przez produkty rozbitcia w generatorze atomowym o mocy 100.000 kilowatów pozwalałaby produkować dziennie pół tony polietyleny plastycznego z gazu etylenowego.

Przykłady te stanowią jedynie kilka spośród licznych możliwości zastosowania energii atomowej.

Odnowiona świadomość niebezpieczeństwa

Jeśli perspektywy istniejące na tej drodze są tak niezmierzone, jest rzeczą tragiczną myśleć, że jedynie znikoma część wysiłków poświęcana w świecie zachodnim energii atomowej skierowana jest ku pokojowemu użyciu tej energii. Przeważna ich część nastawiona jest na produkcję broni masowej zagłady.

Straszliwe konsekwencje tej produkcji oraz nowych odkryć jądowych

dokonano występują jasno dla wszystkich od chwili, gdy ujawniono zostały skutki próby z bombą wodorową w dniu 1 marca na Wyspach Marshalla. Rozwój energii atomowej stawia ludzkość, jak nigdy dotąd w przeszłości, wobec okrutnego dylematu: z jednej strony nie kończąca się inanna dobrodziejstw, które spłynęłyby z pokojowego zastosowania wielkich odkryć naukowych, z drugiej strony przeraźliwy los, który czyha na nią, jeśli te same odkrycia zostaną zastosowane do rozpętania wojny w skali światowej.

Ludzkość pokłada swoją nadzieję w zespolonej akcji narodów świata przeciwko tym potwornym rodzajom broni, na rzecz pokojowego wykorzystania energii atomowej dla dobra wszystkich.

Ludzie z całego świata ujawnili już swoje uczucia w tej sprawie, gdy sześćset milionów osób złożyło swoje podpisy pod Apelem Sztokholmskim rzuconym przez Światową Radę Pokoju. Apel ten wzywał do wprowadzenia zakazu broni masowej zagłady i skutecznego systemu inspekcji i kontroli. Niezliczeni ludzie podnoszą dziś głos protestu wobec odkrycia potęgi bomby wodorowej. Trzeba, aby ich wspólna wola odniosła zwycięstwo. Wielcy mężowie stanu całego świata powinni z odnowioną świadomością bliskości niebezpieczeństwa wspólnie przedyskutować sprawę wyeliminowania tych straszliwych rodzajów broni oraz wprzęgnięcia wiedzy atomowej do służby prawdziwym interesom ludzi.

Prof. ERIC H. S. BURHOP

Anglia budzi się z odrętwienia

GORDON SCHAFFER



RADIOAKTYWNE popioły wyrzucone przez amerykańską bombę wodorową dokonały więcej niż porażenia japońskich rybaków; obudziły z letargu naród angielski. Wszyscy doznali wstrząsu na pierwszą wiadomość o oparzeniach, spowodowanych wybuchem bomby i potwierdzenie tego faktu przez Waszyngton.

Potem nadeszły zdjęcia przedstawiające wybuch bomby zamieszczono je na pierwszych kolumnach gazet, transmitowano przez stacje telewizyjne i nagle w umysłach wielkiej liczby ludzi zabłyśło światło — ukazała się logiczna więź, łącząca wszystkie te wydarzenia.

Czy to właśnie, mówili sobie, ma na myśli pan Foster Dulles, kiedy mówi o „natychmiastowych represjach”? A kiedy już nabrano przeświadczenia, że minister spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych

groził wojną atomową, wystarczyło zrobić krok, by zrozumieć, że w tym wypadku Wielka Brytania byłaby może najbardziej narażona ze wszystkich sojuszników Stanów Zjednoczonych.

Wśród posłów labourzystowskich żądających w osobnym wniosku wszczęcia nowych rokowań pomiędzy wielkimi mocarstwami w sprawie zakazu bomby atomowej, znaleźli się ludzie, którzy kiedyś gwałtownie atakowali Apel Sztokholmski.

Co najmniej dwóch z nich opowiadało się za użyciem bomby atomowej w okresie, kiedy broń tę posiadały jedynie Stany Zjednoczone. Z chwilą gdy dowiedziano się o wybuchu bomby wodorowej, posłowie labourzystowscy pośpiesznie zażądali zwołania ich grupy parlamentarnej, aby przedyskutować sytuację w obliczu nowego niebezpieczeństwa. Na zebraniu tym domagali się z całą stanowczością, aby ich przywódcy podjęli odpowiednie kroki.

Rząd brytyjski musiał zgodzić się na debatę w Izbie Gmin; podczas poprzedzającego ją week-endu gabinet zrozumiał, że naraziłby się na upadek, gdyby usiłował sprzeciwiać się wnioskowi Partii Pracy. Wniosek ten głosił, że Wielka Brytania winna natychmiast wystąpić wobec szefów rządów Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych, aby „na nowo rozpatrzyli problem redukcji zbrojeń, wstąpili na drogę pozytywnej polityki i znaleźli potrzebne środki dla usunięcia niepokoju, który w obecnej chwili gnębi wszystkie narody“.

— Sądzimy — oświadczył Attlee przy składaniu wniosku — że **cywilizacji grozi obecnie poważne niebezpieczeństwo.**

Kiedy Winston Churchill wysunął argument, że rząd Partii Pracy odpowiedzialny jest za zwolnienie Stanów Zjednoczonych ze złożonej w czasie wojny obietnicy, że nie użyją bomby atomowej bez zgody Wielkiej Brytanii — członkowie Izby Gmin wpadli w gniew.

Jednakowoż argument Winstona Churchilla był nie do odparcia. O ile wierzyć pamiętnikom senatora Vandenberg (dotąd nikt nie kwestionował ich prawdziwości), Stany Zjednoczone miały uwolnić się od tego zobowiązania, przyznając w zamian Wielkiej Brytanii pomoc z tytułu tzw. „planu Marshalla“.

Właśnie Attlee wyraził zgodę na stacjonowanie w Wielkiej Brytanii (jak pisał w swoich wspomnieniach James Forrestal, sekretarz obrony USA) bombowców B 29, które w ten sposób przyniosły ze sobą bom-

bę atomową na odległość, umożliwiając bezpośrednie bombardowanie Moskwy. Istotnie — doskonale argumenty na debatę w parlamencie, ale na ogół deputowani w Izbie Gmin, zarówno konserwatyści, jak labourzyści przejęci byli problemem straszliwych skutków wojny atomowej i nie mieli ochoty wysłuchiwać sporów między partiami, z których każda w gruncie rzeczy ponosi jednakową odpowiedzialność.

Po zamknięciu debaty jedno tylko było jasne: rząd brytyjski podziela zaniepokojenie narodu, który go wybrał, ale boi się jeszcze Stanów Zjednoczonych. Wtedy właśnie naród przeszedł do działania.

*

Przed wojną był taki okres, kiedy Neville Chamberlain „łagodził“ Hitlera, a prezydent Roosevelt polecił swojemu ambasadorowi w Londynie, aby „starał się przytknąć gorące żelazo do pleców premiera“. Dzisiaj naród angielski przytyka żelazo do pleców swojego rządu.

Akcja ta przybiera setki najróżnorodniejszych form. Grupa deputowanych labourzystowskich, na której czele stoją Fenner, Brockway i Anthony Greenwood wystąpiła z wezwaniem do postawienia poza prawem bomby atomowej i wodorowej. Liczą oni na zebranie co najmniej dziesięciu milionów podpisów (nie tak dawno temu wykluczano starych członków Partii Pracy za poparcie Apelu Sztokholmskiego).

Rada Miejska Coventry, w miesiącu, gdzie dotąd jeszcze nie usunęto większości zniszczeń, spowodowanych przez hitlerowskie bomby,

wstrzymała wykonanie budżetu obrony cywilnej, aby zwrócić uwagę na fakt, że jedyną prawdziwie skuteczną ochronę przynieść może miastu układ, zakazujący użycia bomby atomowej, i gwarantujący pokój.

Czterech księży z Nottingham z własnej inicjatywy wystąpiło na placu targowym z żądaniem podjęcia kroków przeciw użyciu bomby atomowej i wodorowej. Brytyjski Komitet Pokoju zorganizował w ciągu trzech dni meeting w Hyde Parku. Cztery tysiące uczestników tego spotkania — z wyjątkiem trzech sprzeciwiających się — uchwaliło rezolucję, domagającą się zakazu bomby atomowej i wodorowej, informującą Dullesa, że naród angielski nie da się skłonić do wojny w Indochinach i potępiającą remilitaryzację Niemiec zachodnich.

Aneurin Bevan i C. D. H. Cole, dwaj przywódcy labourzystowscy, cieszący się prawdopodobnie poparciem większości szeregowych członków Partii Pracy, popierają petycję

przeciw remilitaryzacji Niemiec zachodnich. Przed rokiem zostaliby usunięci z Labour Party za występowanie przeciw oficjalnej polityce. Dzisiaj już się tak nie stanie.

Na Kongresie Szkockich Związków Zawodowych przywódcy związkowi prowadzili nierówną walkę przeciw rezolucji, domagającej się zniesienia wszelkiego embarga na handel z krajami socjalizmu. Zostali jednak pokonani.

„Economist“, jeden z najwierniejszych popleczników Stanów Zjednoczonych napisał, że „**najpoważniejszą ofiarą (szumu wokół bomby wodorowej) padła polityka natychmiastowych represji, wszczęta przez min. Dullesa**“.

Znaczna większość narodu angielskiego popiera obecnie proste żądania ruchu w obronie pokoju. Zadaniem potężnych sił, które przystępują dzisiaj do działania, jest natchnąć rząd brytyjski odwagą przemawiania w imieniu niepodległej Wielkiej Brytanii.



Podagra

Dr A. SALOMON



CZYŻ artykuł o podagrze pisany w 1954 roku nie będzie artykułem „historycznym“ - o chorobie minionych wieków?

Niestety nie, bowiem dziś jeszcze często spotykamy chorych na podagrę.

Podagra jest to nazwa grecka, która znaczy potrzask. Chorobę tę starożytni nazywali tak dlatego, że chwytła ona chorego za nogi tak jak potrzask zwierzę.

Na cztery wieki przed naszą erą Hipokrates sformułował już następujące trzy wnioski:

„Eunuchowie nigdy nie chorują na podagrę i nie łysieją. Kobiety nie zapadają na tę chorobę przed okresem przekwitania. Chłopcy nigdy nie mają podagry przed okresem dojrzewania“, co świadczy o ścisłym związku tej choroby z działaniem gruczołów płciowych.

Podagra poprzez całe wieki przysparzała wiele cierpienia ludziom. Ofiarami jej byli między innymi Molière i Ludwik XVIII, a w naszych czasach wielu sławnych ludzi cierpi na tę chorobę. Na przykład E. Herriot.

Historia podagry nie jest jeszcze zamknięta i liczne badania naukowe w ciągu wieków nie doprowadziły — trzeba to przyznać — do całkowitego poznania tej choroby, która pod wieloma względami jest nadal tak samo tajemnicza jak za czasów Hipokratesa.

Co się zmieniło, to jedynie obraz kliniczny podagry: zwłaszcza wydaje się, że straciła ona swą ostrość.

Trzeba dodać, że nasi przodkowie nazywali podagrą także wszelkie formy reumatyzmu i dopiero mniej więcej sto lat temu, dzięki pracom Sydenhama, nauczono się rozróżniać

podagrę od reumatyzmu w dosłownym tego słowa znaczeniu.

• Co to jest podagra?

Jak już powiedzieliśmy, nasza wiedza o tej chorobie jest ograniczona. Jedynie możemy dziś z całą pewnością stwierdzić, że podagra jest w znacznym stopniu dziedziczna. Niektórzy uważają nawet, że człowiek rodzi się z podagrą, tak jak rodzi się z ciemnymi lub jasnymi włosami.

Wywiady u rodziny chorego na podagrę wykazują często, że w znacznej większości przypadków ojciec lub dziadek, dziadek stryjeczny lub pradziadek cierpieli na tę chorobę. Często jednak dziedziczność nie jest wcale tak bardzo wyraźna. Stwierdzamy jedynie, że wśród przodków pacjenta byli reumatycy, cierpiący na nadmierną otyłość, astmatycy, chorzy na nadciśnienie, kamice nerkową, albo cierpiący na schorzenia pęcherzyka żółciowego. Czasem podagra pojawia się w rodzinach dotychczas nie dotkniętych żadnymi schorzeniami reumatycznymi.

Drugim pewnikiem jest, że podagra wiąże się z występowaniem kwasu moczowego.

W znacznej ilości przypadków kwas moczowy występuje we krwi chorego istotnie w bardzo wysokim procencie. Nie jest to jednak zasadą. Zdarza się nawet dość często, że u chorych na podagrę ilość kwasu moczowego we krwi jest prawidłowa. U tych ostatnich można zresztą często wykazać, że zwiększenie kwasu moczowego jest związane z białkami krwi.

Z drugiej strony tophi (guzy w okolicach stawowych lub innych),

które często występują u chorego na podagrę i które często powodują zniekształcenie stawów, tworzą się wyłącznie z soli kwasu moczowego. Lekarstwa, które powodują zwiększone wydalanie kwasu moczowego, dieta, która zmniejsza jego ilość, wpływają na zmniejszenie ilości ataków.

Ale kwas moczowy, jego przemiana, wydzielanie się przez nerki, jego nadmierne wytwarzanie się w organizmie chorego nie tłumaczą samej choroby, chociaż odgrywają w niej pewną rolę.

Zdarza się bowiem, że zarówno mężczyźni jak i kobiety mają ogromnie wysoki procent kwasu moczowego, a jednocześnie nie cierpią na podagrę i z drugiej strony — jak już powiedzieliśmy — nie wszyscy chorzy na podagrę mają bardzo wysoki procent kwasu moczowego.

Innym niewątpliwym czynnikiem w mechanizmie tej choroby, na który, jak już wiemy, zwrócił uwagę Hipokrates — są męskie gruczoły płciowe.

Badania statystyczne wykazują, że mężczyźni znacznie częściej chorują na podagrę niż kobiety, u których choroba ta jeśli się pojawia, to zawsze po okresie przekwitania.

Czyżby podagra jako „przywilej męski“ miała związek z nadmiernym wydzielaniem męskich gruczołów płciowych, jeżeli właśnie eunuhowie nigdy na nią nie zapadają?





Pomiary ilości tych wydzielin, które pojawiają się w moczu, wykazały, że przeciwnie u chorych na podagrę bardzo często występują 17 ketosteoroidy w szczególnie małych ilościach (17 ketosteoroidy są to ciała chemiczne świadczące o aktywności męskich gruczołów płciowych).

Fakt paradoksalny, tym więcej, że na ogół chorzy na podagrę nie są znani ze swej niechęci do płci pięknej.

Niektórzy biologowie sądzą, że u źródeł tego faktu a nawet u źródeł samej choroby leży wydzielanie anormalnych hormonów przez męskie gruczoły płciowe. Te anormalne hormony nie przemieniają się w 17 ketosteoroidy, ale mogą mieć wartość biologicznie normalną.

Z drugiej strony wiemy teraz, że hormony grają wybitną rolę w powstawaniu, przyswajaniu, w wydzielaniu i przeobrażaniu się rozmaitych pokarmów. W szczególności hormony męskie kierują w wysokim stopniu niektórymi mechanizmami przemiany białkowej, której jedną z postaci jest kwas moczowy wydalany przez nerki.

Od tego to twierdzenia, że przyczyną podagry (dowód kwas moczowy) są wyłącznie zaburzenia wydzielania hormonów męskich jest tylko jeden krok. Zrobiono go zresztą. Jest to obecnie jedna z hipotez, ciekawa wprawdzie, ale jeszcze nie sprawdzona.

Teraz, kiedy już poznaliśmy ukryty mechanizm choroby, a raczej to,

co wiedzą o niej specjaliści, trzeba zająć się zewnętrznymi objawami tej choroby.

Ostre klasyczne ataki podagry koncentrują się w wielkich palcach u nóg. Pojawiają się nagle w nocy około godziny 2 lub 3. Poprzedzają je niewyraźne zaburzenia, jak podenerwowanie, pragnienie, uczucie puchnięcia, znacznie rzadsze oddawanie moczu. Straszne uczucie miazdzenia, oparzenia, naprężenia budzą chorego. Zaatakowany staw jest niezwykle bolesny, najlżejsze musnięcie, dotknięcie prześcieradła wystarczy, by chory krzyczał. Wielki palec u nogi jest spuchnięty, czerwony, nieruchomy. Skóra na nim jest naciągnięta, wydaje się niezwykle cienka, błyszcząca. Opuchlizna postępuje wzdłuż wewnętrznego brzegu stopy, czasem na grzbiecie stopy. Zaatakowane żyły nogi nabrzmiewają.

Następnej nocy, chorego, który odczuwał bolesność dużego palca w ciągu całego dnia, na nowo chwytają ostre bóle. Jęczy wtedy jak potępieniec aż wreszcie zasypia, tym razem mocniej niż poprzedniego ranka. Powtarza się to trzy, cztery lub więcej razy aż wreszcie ból całkowicie znika. Pokrzepiający sen, przerywany wzmożonym oddawaniem moczu, powoduje względnie dobre samopoczucie. W kilka dni potem pozostaje tylko złe wspomnienie cierpienia.

Ataki mogą trwać różnie — na ogół od 3 do 8 dni. Pojawiają się raz na rok, raz na 6 miesięcy lub częściej. Co je wywołuje?

Zmęczenie i przepracowanie, przejedzenie, przemijająca infekcja, a także przemoczenie nóg, ciasne obuwanie, uraz wielkiego palca.

Na początku atak podagry trzyma się jednego wielkiego palca u nogi, ale po pewnym czasie przenosi się na drugi symetryczny, nie oszczędzając potem palców u rąk, łokci, kolan. Czasami od razu zaatakowane są palce u rąk lub kolana. Niezależnie od tego, jakiej części ogarnia atak, zawsze występuje gwałtownie wraz z zaczerwienieniem chorego stawu i wyraźnymi objawami zapalenia.

Stopniowo z biegiem czasu ataki słabną. Początkowo wyraźne, gwałtowne, po kilku dniach jednak nie pozostawiają żadnego bólu. Po jakimś czasie stają się mniej ostre, ale za to powstaje stała bolesność i obrzęk dużego palca. Potem następuje zniekształcenie, twardy obrzęk, dalej zniekształcenie samej kości i obrzęki podskórne, w których znajdują się sole kwasu moczowego. Są to tophi - guzy. Tophi powstają równie dobrze na kościach kończyn zniekształcając je i żłobiąc, co daje charakterystyczny obraz rentgenologiczny, jak też daleko od stawu zaatakowanego. Ich ulubioną siedzibą są na przykład małżowiny uszne lub okolice łokci.

Podagra nie ogranicza się jedynie do typowych ostrych ataków, o których mówiliśmy.

Ataki te, jak już widzieliśmy, stopniowo słabną. Choroba staje się chroniczna, ogarnia coraz więcej stawów, stopy, dłonie, łokcie, zniekształcając je mniej lub bardziej przez guzy kostne lub podskórne. Bóle trwają stale i od czasu do czasu zaostrzają się.

Bywają przypadki tak ciężkie, że chory staje się kaleką.

Czasem też podagra może dać objawy ze strony organów wewnętrznych. Starożytni uczeni kładli nacisk na to, aby nie przerywać zbyt wcześnie ostrych ataków, na przykład w dużym palcu u nogi, ponieważ według nich, można w ten sposób spowodować „podniesienie się“ podagry, która może zaatakować nerki, serce lub wątrobę, a także wywołać kolkę nerkową lub wątrobianą, ciężkie zapalenie nerek z niebezpieczną mocznicą, niewydolność serca, lub zapalenie żył.

Faktem jest, że chorzy na podagrę mają często nadciśnienie, anginę pectoris, kamice pęcherzową lub nerkową.

Czy chodzi tu o to, że u nadmier nie otyłych występuje połączenie różnych chorób, czy też o jedną i tę samą chorobę?

Oczywiście atak podagry, który jest wstrząsem występującym z głębokimi zaburzeniami połączonymi z systemem naczyniowo - ruchowym i systemem nerwowym, który według zdania pewnych naukowców może nawet jest ich konsekwencją, może wywołać wyżej opisane zaburzenia. A także leczenie, które samo przez się jest bardzo wyczerpujące, może również zmęczyć na przykład serce.

Musimy jednak przyznać, że nie znamy przyczyn powstawania podagry, chociaż wiemy, że choroba ta musi sprzyjać lub tłumaczyć, poza



uszkodzeniami stawów, inne zaburzenia ogólne w organizmie.

Istnieją wreszcie u mężczyzn formy reumatyzmu przewlekłego charakterystyczne, powolne, bez ostrych ataków, które lekarze wiążą czasem z podagryą przebyłą w przeszłości. Zwłaszcza jeżeli stwierdza się u chorego znaczny nadmiar kwasu moczowego.

Do takich należą niektóre postaci ischiaszu, zapalenie stawu kolanowego na przykład, niezwykle wyraźne i robiące wrażenie początków infekcyjnego zapalenia stawów.

Obecność wybujałych dziobów lub zgrubień kostnych, umiejscowionych w kręgach lub też kostnych zagłębień odpowiadających guzom podagrycznym (tophi), a przede wszystkim reakcja na leczenie pozwalają rozwiązać problem czy mamy do czynienia z podagryą czy po prostu z reumatyzmem.

Jak leczyć podagry?

Lekarstwem przerywającym skutecznie ataki jest wyciąg rośliny — zimowita jesiennego. Nie ma potrzeby opisywać tu niezliczonych leków i sposobów przyjmowania ich.

Zwykła aspiryna nie jest lekarstwem do pogardzenia, ale skutkuje tylko w bardzo dużych ilościach.

Inny skuteczny środek niedawno wynaleziony ACTH. Przerywa on natychmiast ataki, ale stosowany nie w czasie trwania ataku może go wywołać.

Jeżeli przerwiemy leczenie ACTH (hormon przysadki mózgowej, który powoduje wydzielanie przez nadnercza kortizonu) ataki bardzo często powracają. Jest to błędne koło, z którego trudno jest wyjść.

Bardzo często doskonale skutkuje hydrocortizon stosowany dostawowo.

Jeśli chodzi o leczenie zewnętrzne, to ma ono na celu jedynie zaoszczędzenie choremu bolesnych wstrząsów, które może spowodować urażenie chorych stawów, a także oderwanie jego uwagi od cierpienia.

Atofan, piperazina są lekarsztwami skutecznymi, ale nie w czasie ataków.

Ostatnio wprowadza się nowy środek, którego właściwością jest utrudnianie kanalikom nerkowym wchłanianie kwasu moczowego, wydzielaniego przez kłębuszki nerkowe i który zwiększa w znacznym stopniu, co najmniej przez jakiś czas wydalanie kwasu moczowego. Wydaje się, że lek ten jest bardzo skuteczny przy zapobieganiu atakom podagry.

Wreszcie pewne znaczenie ma również stosowanie kuracji cieplnej.

Jeśli chodzi o podagryę nietypową, stosowanie odpowiednich leków jest sprawą znacznie bardziej skomplikowaną.

Na tym kończymy nasze uwagi dotyczące zasadniczego leczenia. Jeśli chodzi o wskazówki dla chorego, to zaleca się ogólnie: zdrowy, zrównoważony tryb życia, zachowanie higieny, uprawianie w sposób umiarkowany gimnastyki. Zachowanie jak największego spokoju ma ogromne znaczenie dla chorych i wpływa na zmniejszenie częstości ataków.

Reasumując, możemy powiedzieć, że w 1954 r. podagra w większości wypadków nie jest chorobą tak ciężką jak w dawnych czasach. Może właśnie higieniczne warunki życia, uprawianie sportów itp. przyczyniają się do tego.

Filmy Wschodu

FARROKH GAFFARY

NAJWIĘKSZĄ zasługą tegorocznego Festiwalu w Cannes było szerokie otwarcie drzwi do kinematografii światowej filmom wschodnim i azjatyckim. Widzieliśmy, że Egipt produkuje filmy już od 27 lat, znaliśmy jego świet-

nie wyposażone studia i wysoką jakość jego techniki filmowej. Ale dopiero w tym roku mogliśmy zobaczyć blaski nadziei, ukazujące narodziny prawdziwej szkoły.

Przede wszystkim filmy egipskie zaczynają czerpać tematy z codziennej rzeczywistości życia społecznego. Zapewne, akcja przepełniona bywa jeszcze dosyć ciężącym melodramatem i zbyt wiele spotykamy jeszcze źle skonstruowanych scenariuszy, wyraźnie cierpiących na brak jedności, ale wydaje się, że teraz zrozumiano tam, iż trzeba unikać salonowych dramatów z dwoma czy trzema oszukanymi mężami i awanturniczych powieści, toczących się w pierwszych

wiekach islamu, gdzie egipscy realizatorzy starali się wszelkimi środkami naśladować dekoracje, tańce i kostiumy wschodnie z filmów hollywoodzkich.

„Potwór“ („Al Wahsz“) realizatora S. Abu Seifa zbytnio wprowadzając przesadza bohaterską rolę policjanta, za wiele w nim jeszcze zdradców o wyglądzie szubieniczków, za wiele niebezpiecznych skoków, walki na pięści i strzelaniny z karabinów maszynowych, ale niemniej scenariusz opiera się od początku na autentycznym fakcie. Jest to historia łotra, który przez długie lata terroryzował cały okręg, narzucając swoje prawa biedakom, handlując narkotykami i pałac zbioru tych, którzy nie chcieli mu się podporządkować.

Film wymownie ukazuje, że głównym poplecznikiem tego bandyty był lokalny pasza, człowiek bardzo pojętny, pozostający, jak sam mówił, w bliskich stosunkach z gubernatorem prowincji, ministrem spraw wewnętrznych i samym premierem.

W filmie realizowanym przez Y. Szahina pt. „**Niebiosa piekła**“, („**Sara Fil Wadi**“) mamy innego paszę, prawdziwego królika, żyjącego w swoim pałacu w otoczeniu najdziwniejszych mebli, sprowadzonych z Zachodu, który wszelkimi sposobami gnębi pracujących na niego fellahów.

Chłopi egipscy ciężko harują na ziemiach, leżących wzdłuż Nilu, używanych namulami rzeki. Pasza, całkowicie gardzący życiem tych nędzarzy, nie cofa się przed niczym, by utrzymać swoją władzę nad tymi olbrzymimi obszarami.

Nie będzie się wahał przed zabicie pół, skazując całą ludność okręgu na nędzę, by udaremnić wysiłki młodego agronoma, pragnącego pomóc chłopom w polepszeniu ich zbiorów trzciny cukrowej i tym samym uczynić ich bardziej niezależnymi. Potem utrzymywać będzie bandę, której głównym zadaniem ma być zamordowanie inżyniera.

Środki inscenizacji tego filmu są dosyć bogate; widoki rzeki i jej brzegów, sceny zbiorowe, a przede wszystkim wykorzystanie ruin Karnaku przydają obrazom pięknego blasku.

Treść jest, niestety, dosyć chaotyczna. Zbyt natarczywie napierają na widza pomniejsze epizody, zbyt łatwe są preteksty do pewnych akcji, a przede wszystkim realizator rzuca się niefortunnie w techniczne wirtuozostwo typu Wellesa albo Hitchcocka, psując w ten sposób zakończenie swojego filmu.

Ale znowu dzieło, potępiające współczesnego paszę, zdolnego posłać niewinnego na szubienicę i likwidującego każdego, kto stoi na przeszkodzie

jego zamierzeniom, świadczy o odwadze twórców tego filmu.

W filmach „**Potwór**“ i „**Niebiosa Piekła**“ znajdujemy obrazy nędznego życia mieszkańców, ich nor, służących im za mieszkanie i ciężkich warunków ich pracy. Wszystko to jest nowe w filmie egipskim, wszystko to zasłużyło na zachęcające wyróżnienie, przyznane przez jury Festiwalu.

* * *

Indie dały film, który z pewnym zastrzeżeniem uznać można za arcydzieło: „**Dwa hektary ziemi**“ („**Do Bigha Zamin**“) Bimala Roya. Ten realizator nigdy nie opuszczał granic swojej ojczyzny, a jednak jest rzeczą oczywistą, że podjął się realizacji tych „**Dwóch hektarów ziemi**“ za namową przyjaciół, którzy widzieli filmy włoskie. W historii tej znajdujemy mieszaninę „**Siuscia**“ i „**Złodziei rowerów**“, świetnie zasymilowane i przerobione w hinduskim guście. Te podobieństwa ani na chwilę nas nie rażą, a dzieło Bimala Roya zachowuje ton bardzo osobisty.

Chłop z Bengalu, chcąc ratować swoje dwa hektary ziemi z rąk obszarnika, który zamierza je kupić pod budowę fabryki, zmuszony jest szukać pracy w Kalkucie. Tam będzie się starał zebrać pieniądze, by zapłacić dług, który lichwiarze przemysłnie podwyższają z dnia na dzień. Jego młody syn towarzyszy mu w podróży. Wśród chłopów Kalkuta cieszy się opinią miasta, gdzie bardzo szybko można zdobyć fortunę.

Tak się jednak nie stanie. Ojciec i syn zostają najpierw okradzeni z tej

„Dwa hektary zie-
mi“



niewielkiej sumy pieniędzy, którą mieli przy sobie, a potem z trudem znajdują pracę — jeden jako kulis, ciągnący riksę, drugi jako czyściciel butów.

Nędza i ciężka praca pospólstwa, rojącego się wśród nędznych nor wielkiego miasta azjatyckiego kontrastuje z bogactwami, przedstawianymi przez amerykańską reklamę na neonowych szyldach.

Następuje seria wypadków, które przeszkodzą ojcu i synowi zapłacić dług. Ziemia zostanie zabrana, a chłop i jego mała rodzina przeniosą się ze swą nędzą gdzie indziej.

Film ten jest cudownie bogaty w akcenty humanitaryzmu, delikatności i humoru w scenach między czyścicielami butów w Kalkucie i tworzy czarującą mieszaninę realizmu z poezją. Jest tam w szczególności pewien mały sympatyczny złodziej, któ-

rego nie potrafilibyśmy zapomnieć. Żałujemy, że na końcu nagromadzo-
no trzy wypadki, których ofiarami padają ojciec, matka i dziecko. Odło-
żywszy na bok ten maleńki szczegół „Do Bigha Zamin“ może stanowić przełomową datę w historii filmu hinduskiego.

* * *

Film japoński przedstawił nam trzy dosyć różne próbki swojej produkcji. Najpierw „Dola kobiet“ („Nigoria“) według trzech baśni powieściopisarki Ichiyo Higuchi (zmarłej w 1896 r.), bliskie stylem i atmosferą ludowym autorom z XIX wieku, a zwłaszcza Maupassantowi. Jest tam w szczególności historia pewnej służącej w dużym domu; historia ta, jakkolwiek zbyt rozwlekła, stanowi interesującą opowieść o życiu rodzinny japońskiej, a końcowa rozmowa

wprowadza nas w środowisko gejsz z domu publicznego w Tokio.

Opis klientów tego domu, nędza, panująca na ulicy, problemy, stojące przed tymi kobietami — wszystko to utrzymano w bardzo ciekawym stylu i opowie w dyskretnej inscenizacji realizatora Imai.

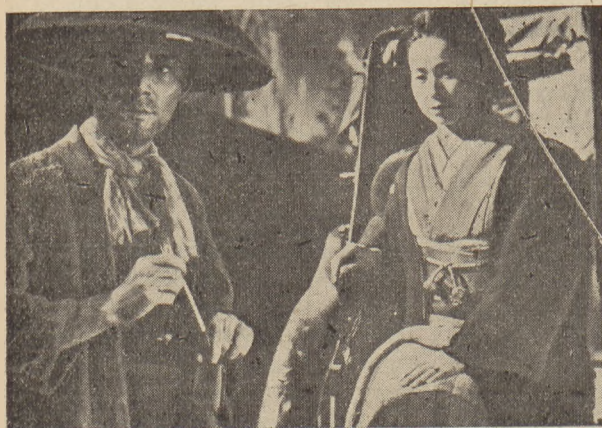
Kinuyo Tanaka, znakomita wykonawczyni O-Haru, „Trzech kominów“ i „Okasan“ jest jedyną kobietą — reżyserem w Japonii. Jej „List miłosny“, oparty na listach, pisanych przez publicznego skrybę w Tokio, wprowadza nas w życie dzisiejszych Japończyków, które zbyt blisko „poznały“ amerykańskich żołnierzy.

Jedna z dziewcząt zostaje porzucona, druga staje się prostytutką, trzecia w zabawny sposób usiłuje naśladować amerykański styl życia. Całość zawiera bardzo wzruszające momenty, a długość niektórych scen nie zamazuje ani doskonałej gry wyko-

nawców, ani przepajającej film woli pokoju.

Japończycy nie pokazali wprawdzie wielkiego nowoczesnego filmu „Dzieci Hiroszimy“, natomiast przysłali „Bramę Piekła“ („Jigoku-Mon“), który w pełni zasłużył na nagrodę Grand Prix, jaką otrzymał. Film ten jest jedyny w swoim rodzaju dzięki artystycznej śmiałości. Chodziło bowiem o ukazanie na ekranie tragedii, godnej Corneille'a. Pewien wojownik zakochuje się w żonie żołnierza na służbie cesarza. By ratować swój honor, żona daje się zabić zamiast swojego męża. Oto temat, jakiego żaden filmowiec nie może się podjąć bez obawy. Jest to temat tak niewdzięczny, tak mało filmowy, że narazić się łatwo bądź na ośmieszenie, bądź też na zanudzenie widzów.

N. Masaiszi potrafił uniknąć obu tych niebezpieczeństw, dzięki świetnej reżyserii: sceny szybkie nastę-



Pierwszy epizod z
„Nigori“

pują po bardzo powolnych, w których aktorzy spoglądają w bok, nie odzywając się ani słowem.

Ludzie wchodzą i wychodzą z korytarzy domostw, wzdłuż ścian których ślizga się z doskonałą zręcznością aparat operatora S. Kohei.

Nadto udało mu się skomponować niezwykle kolory. Metoda Eastman-color stała się w jego rękach narzędziem wszelkich zuchwałych pomysłów. Nie troszcząc się o ustalone przepisy, używa on najbardziej ostrych odcieni, łącząc fiolet z kolorem pomarańczowym, zielony z różowym, niebieski z czarnym.

Takie obrazy, jak rewolucja pałacowa na początku filmu, gdzie w wielkim pomieszaniu znikają i powracają dworzanie i wojownicy z obnażonymi szablami, a dwa czarne koguty o czerwonych grzebieniach walczą na tle podartych, poruszanych wiatrem mat, ukazują dobrze atmosferę wojny domowej.

W tym samym stylu utrzymane są takie sceny jak przejażdżka konna na piasku, czy pojedynek nad brzegiem morza. Styl ten odnajdujemy w grze aktorów z niedoścignioną Nasziko, jedną z największych tragiczek filmowych i porywczym Kazuo, dającym czarujący obraz „szalonej miłości“ mężczyzny; jego szorstka i dzika gra dodaje niezwyklej świeżości postaciom. Trzeba również pochwalić umiar i wielką szlachetność Isao w roli męża.

Film japoński zdołał przetransponować na ekran historię miłości i krwi w stylu elżbietańskich dramatów Tourneura.

Widzimy teraz, jak bardzo filmowcy Wschodu i Azji pragną produkować filmy, nacechowane realną treścią, o rozwiniętej formie technicznej. Festiwal w Cannes dał nam poznać te dzieła. Pragnęlibyśmy oglądać na następnym Festiwalu również urocze filmy chińskie niemal nieznanne w zachodniej Europie.



ASTOVE

samotna wyspa

na

Oceanie

Indyjskim



STANIS NIEVO

CZTERECH młodych włoskich uczonych powróciło niedawno z ośmioletniej wyprawy naukowej po Oceanie Indyjskim, Morzu Czerwonym, Tanganice i Kenii. Zebrali bogaty materiał naukowy, sfotografowali w wodzie słynnego coelacantha (ryba trzonopłetwa, uznawana dotychczas za gatunek całkowicie wymarły: gatunek ten pochodzi sprzed trzech milionów lat — przyp. red.) i osiągnęli najwyższy szczyt Kilimandżaro, gdzie na wysokości niemal 2.500 m znaleźli ślady słonia.

Jeden z uczestników wyprawy, Stanis Nievo, opisuje faunę słynnych wysp koralowych, wysp opustoszałych, skazanych na bliskie zniknięcie pod falami Oceanu...

Pod koniec ubiegłego stulecia przedsięwzięto pasjonujące poszukiwania dla wykrycia tajemnic Lemurii, starożytnego dzisiaj niestniejącego lądu, z którego przetrwało parę wysp na Oceanie Indyjskim.

Lemuria w kształcie długiego a wąskiego pasma ziemi w przedhistorycznych czasach stanowiła przedłużenie południowo-wschodniej Afryki w kierunku hinduskiego Półwyspu Malabar. Do jakiego miejsca — tego dotąd nie zdołano ustalić. Nasza włoska wyprawa miała właśnie tę sprawę wyjaśnić.

Ekspedycja ta złożona przede wszystkim z zoologów, opierała poszukiwania na podobieństwach zoologicznych, które zamierzała ustalić pomiędzy fauną przybrzeżnych okręgów wschodnio - afrykańskich a fauną wysp oceanicznych. Staraliśmy się zbadać, czy podobieństwo między poznanymi zwierzętami pozwoli ustalić dawną ciągłość pomiędzy ziemią, rozdzielonymi dzisiaj przez Ocean.

Posuwając się od brzegów Tanganyki w kierunku Madagaskaru po-

plynęliśmy ku wyspom koralowym Aldabra.

My, to znaczy Prosperi, Palombelli, Prola i ja, wszyscy w wieku 25 lat, każdy interesujący się specjalnie jedną z gałęzi przyrody, uzgadniamy nasze wnioski.

Tak więc zamknęliśmy koło i stwierdziliśmy ciągłość fauny wysp na północo-zachód i na północ od Madagaskaru oraz kontynentu afrykańskiego.

Ale wydaje się, że dalej za tymi archipelagami przedłużenie Lemurii przedstawia się mniej prawdopodobnie zarówno w dziedzinie zoologii, jak i geologii. Rzecz ta zasługiwałaby oczywiście na dalsze, bardziej pogłębione badania.

Taki jest nasz punkt widzenia na Lemurię.

*

Niezależnie od tego, dokąd sięgały granice tej bajecznej, zaginionej ziemi, pozostawiła nam ona zadziwiające szczątki. Głębokie wrażenie wywarły na nas cudowne widoki tych niemal nieznanych i pra-

Prola, Nievo, Prosperi i Palombelli, czterej członkowie wyprawy



wie całkowicie niezamieszkałych wysp.

Nie zdołałbym na paru stronach wyrazić całej gamy wzruszeń, całego naszego zainteresowania wobec tytułu znalezisk. Natchnęły one kierownika naszej wyprawy, Prosperiego do napisania książki, nad którą obecnie pracuje.

Te ostatnie szczątki Lemurii pozwalają wyrobić sobie wyobrażenie o wyglądzie tego odległego świata. Nawet znajomość jednego tylko miejsca z tego, co stanowiło niegdyś olbrzymi obszar Lemurii, daje cenne jakkolwiek ograniczone wskazówki. Największe wrażenie wywarły na nas jednak nie te silnie oddziaływające obrazy, ale kontakt z wymarłym światem.

Któregoś dnia, a działo się to w listopadzie 1953 r., przybiliśmy do dziwnej wyspy w kształcie pierścienia — ziemi zamykającej laguny — na Oceanie Indyjskim.

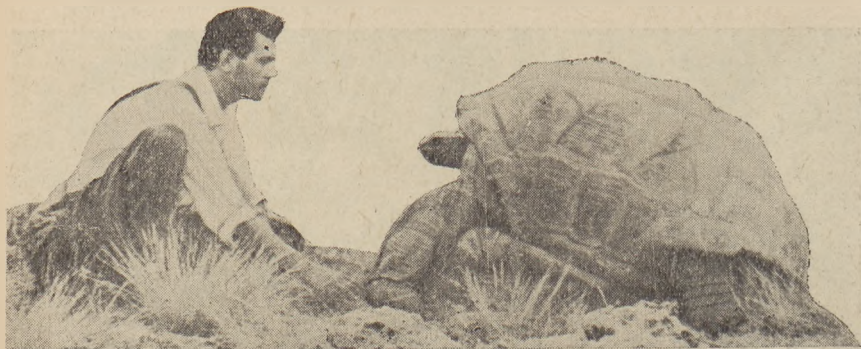
Była to Astove, położona na 10 stopniu szerokości geograficznej południowej i 47,5 stopnia długości

geograficznej wschodniej. Kształtem swoim przypominała zatokę po środku morza. Zatoka na pełnym Oceanie, w strefie, miotanej cyklonami i prądami oceanicznymi mogłaby być dla statków pożytecznym, a nawet opatrnościowym portem. Tak nam się zdawało, kiedy znajdowaliśmy się na naszym dwumasztowcu jeszcze w pewnej odległości od Astove.

Ale niebawem mieliśmy zmienić zdanie. Morze wyżłobiło ten kolisty skrawek ziemi w ten sposób, że cała ta wspaniała zatoka nie miała dostatecznego gruntu dla przyjęcia statków; nawet jeśli chodzi o zakotwiczenie się na głębokości półtora metra, jak w wypadku naszego dwumasztowca, który nas do niej przywiódł tego dnia poprzez Ocean i nie mógł się zatrzymać u jej brzegów.

Zwierzęta nie znają tych przeszkód. Ryby i ptaki, każde przebywając swój własny żywioł, przenikają na Astove. Ryby przepływają wąskim przejściem, otwierającym dostęp do wewnętrznej laguny; fous

Zółw-olbrzym schwytyany na wyspie Astove



(rodzaj palmipedów, krew-nych pelikanów) i fregaty, wielkie ptaki oceaniczne przelatują krótką barierę lądu i zanurzają się w spokojnych wodach laguny. Re-kin-y i ptaki szukają poży-wienia wśród najmniejszych rybek, dla których niskie i zamknięte wody wewnętrzne stają się śmiertelną pu-łapką.

Taka ukazała nam się Astove. Gdybyśmy przybyli tutaj przed tysiącami lat, byłibyśmy znaleźli na niej zupełnie inne życie.

Przed tymi ptakami, któ-re dzisiaj przelatują nad wyspą, przybywały tutaj inne ptaki. Były pochodze-nia arktycznego. Kiedy mróz zelżał, odleciały, po-zostawiając po sobie wiel-kie ilości nawozu (guano), którego stosy sięgają nieraz wielu metrów. Nawóz dosłownie pod-niósł poziom wyspy, tworząc żółte pa-górki czasem wysokości ponad 10 metrów.

Potem przybył człowiek. Zebrał nawóz dla potrzeb przemysłu che-micznego i w ten sposób Astove po-częła maleć. Teraz erozja dokony-wana przez człowieka przylacza się do erozji morza.

Znaleźliśmy małą kolonię miesz-kańców Wysp Seychelles, którzy do-piero niedawno tam się osiedlili, po-święcając się całkowicie tej pracy zniszczenia.

Sam rodzaj ich pracy, brak czy-stej wody na tym skrawku ziemi



Olbrzymie mięczaki w nadbrzeżnej strefie Astove

czyni trudnym życie na tej wyspie. Toteż nie przybyli tutaj, aby pozo-stać dłużej. Posadzili palmy kokoso-we i warzywa, a po krótkim czasie odplynęli, pozostawiając samotną Astove, która staje się kolonią bez tubylców.

Pod jedną z palm kokosowych znaleziono niedawno czaszkę czło-wieka z plemienia Bantu, jedyne pozostałe wspomnienie po ludzkiej bytności. Wyspa jest poza tym zbyt oddalona od wszelkiego zamieszka-łego lądu i zbyt mała, by stanowić

miejsce, nadające się do zamieszkania.

*

Przybyliśmy na Astove z Wysp Komorskich. Trudno znaleźć tę płaską, samotną Astove. Wielokrotnie statki z Seychelles powracały na brzeg afrykański, spychane silnymi prądami podrównikowymi, które na kształt rzek oceanicznych zawracały je z drogi. Nagle przed naszymi oczami ukazała się ledwo widoczna, lekka pręga na horyzoncie — była to Astove.

Zakotwiczywszy dwumasztowiec na morzu, w obawie przed niebezpiecznymi rafami koralowymi, często napotykanymi w tych stronach, zeszliśmy na pirogę, która wypłynęła na nasze spotkanie.

W odległości 50 metrów od plaży piroga musiała się zatrzymać. Ostatni odcinek drogi, dzielącej nas od wybrzeża, przebyliśmy na plecach ludzi z Seychelles zgodnie z dawnym zwyczajem — na znak powitania.

Na nieprawdopodobnie białym piasku kroki nasze zostawiały dziwne ślady, jakbyśmy szli po gumie. Zналиśmy już to uczucie z plaż Tanganiki. Te same wrażenia odnieśliśmy też na wybrzeżu wschodnioafrykańskim i na wielu wyspach u wybrzeża i na pełnym oceanie.

W ciągu trzech tylko minut przebyliśmy pierścień ziemi i znaleźliśmy się nad wewnętrzną laguną. Przez dłuższą chwilę podziwialiśmy jej spokojne wody. Panował absolutny spokój, wszystko było nieruchome aż do wielkich ptaków z rodziny szcudłonogich, spoczywających w pozycji bociana. Prerażone na-

szym pojawieniem się, nie odważały się frunąć, poprzestając na obserwowaniu nas, nieruchome jak posagi. Rozróżnialiśmy ich pełne strachu oczy. Potem poszły za nami. Poza tym nic się nie ruszało. Tylko czasem jakaś ryba burzyła gładką powierzchnię wody.

Wraz z zapadnięciem nocy, w gęstniejących ciemnościach, na białym brzegu rozległy się natarczywe szmery. Byli to wielcy, prawdziwi panowie tej wyspy, kraby o niewiarogodnych i potwornych kształtach. Ujrzelśmy nagle, jak biegną we wszystkich kierunkach, podnosząc zakurzone kleszcze, kiedy zdarzyło im się spotkać nas na swojej drodze.

Nieliczone hałasy wskazywały na miejsce ich zamieszkania. Musiało ich być tysiące — czerwone, niebieskie, mieniły się w blasku przyniesionych przez nas pochodni wspaniałymi barwami i spoglądały na nas oczami, podobnymi do sterczących pionowo peryskopów. Potem nagle uciekały.

Ich ulubionym pożywieniem są orzechy kokosowe, które rozbierają włókno po włóknie aż uda im się wyssać znajdujące się w środku mleko. Zdobywają się nawet na zrywanie orzechów, wdrapując się na palmy przy pomocy długich łap; woła jednak orzechy, które spadły na ziemię. Największe kraby są wielkości głowy ludzkiej i jeszcze większe.

Opuściliśmy tych niezwyklej mieszkańców i skierowaliśmy się ku południowej części wyspy. Przybyliśmy tam dopiero późną nocą. Szliśmy jednak dalej, bo tylko niewiele jeszcze czasu mogliśmy po-

świecić' Astove, której być może już nigdy więcej nie ujrzymy.

W okęgach podzwrotnikowych noce są cudownie jasne, a jasność tę potęguje jeszcze księżyc. Widzieliśmy więc pola fosforu, którego człowiek chciwie poszukuje, a który stanowi bogactwo małych wysepek Guano mieści się także w koralowych wydrążeniach. Ale człowiek dotarł i tutaj z dynamitem. W tych огоłoconych miejscach zwierzęta już nie mieszkają — przeniosły się na północ wyspy, uciekając przed zniszczeniem.

Nic tu nie znaleźliśmy. Niebawem nadejdzie dzień, kiedy człowiek nie będzie miał nic do szukania na огоłoconej wyspie. Pozostaną tylko olbrzymie kraby, a pod kamieniem czaszka człowieka z plemienia Ban-tu...

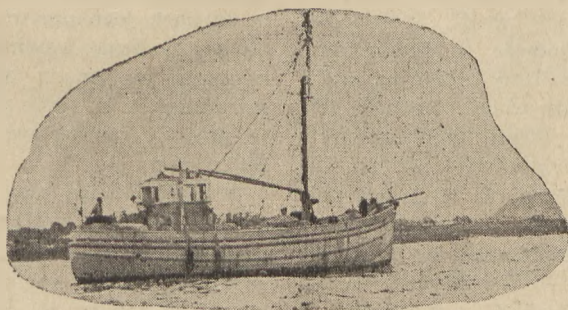
Rafy koralowe pokryją fale Oceanu. Znikać będą jedna po drugiej

pod tysiącletnim szturmem morza. Taki jest bowiem los wysp koralowych... Morze otwiera sobie jedno, dwa, trzy, dziesięć przejść do wewnętrznej laguny i wreszcie wyspa staje się serią raf, otaczających wy-cinek morza, przypominający kształt zatopionej laguny.

Potem woda obali ostatnie skały i koralowa wyspa przestanie istnieć. Astove stanie się jedną z tych niebezpiecznych raf koralowych, które są postrachem żeglarzy.

Należy ich unikać niezależnie od tego, czy są wielkie czy małe. Nikt nie zapomniał o zatonięciu Titanica, kiedy natrafił na górę lodową, będącą przecież jedynie zmarzniętą wodą. Można więc sobie wyobrazić o ile większe niebezpieczeństwo przedstawia podwodna skała.

Taką rafą podwodną stanie się Astove, umierająca ziemia...



ANGIELSCY UCZENI w ZSRR

DR A. H. GORDON

Sekretarz Stowarzyszenia „Nauka w służbie pokoju“

UCZENI radzieccy zadziwili świat szybkością, z jaką stali się panami energii atomowej, a wybuch bomby wodorowej, nieopatrzonej etykietą „made in USA“ wywołał zamęt u ludzi nie rozumiejących jeszcze, że przy pewnym wkładzie intensywnej pracy wszystkie rzeczy zwane „tajnymi“ można odcyfrować i odtworzyć.

W jesieni 1953 r. — na zaproszenie moskiewskiej Akademii Nauk — grupa angielskich uczonych, członków stowarzyszenia „Nauka w służbie pokoju“ miała sposobność, zawrzeć znajomość z radzieckimi uczonymi. Mogliśmy ocenić na miejscu ich metody pracy i poznać ich sposób życia. Wśród tych uczonych brytyjskich znajdowali się m. in. prof. J. D. Bernal, F. R. S. (członek Royal Society — Naukowego Towarzystwa Królewskiego), dr Crowfoot Hodgkin, F. R. S., prof. J. H. C. Whitehead, F. R. S. i autor niniejszego artykułu.

* * *

W pierwszą niedzielę po naszym przybyciu do Moskwy udaliśmy się

samochodem do jednego z trzech domów wypoczynkowych, położonych w okolicach Moskwy, będących do dyspozycji członków Akademii Nauk. Był to wielki dom wiejski, dawna własność rosyjskiego arystokraty, położony pośrodku pięknie zadrzewionego parku.

Kiedyśmy tam weszli, gospodarze nasi wyjaśnili nam, że w tym właśnie domu mieściła się główna kwatery Napoleona w pierwszą noc po jego wycofaniu się z Moskwy. Ale mimo że dom ten odegrał pewną rolę w burzliwych latach przeszłości, na murach jego nie widniały żadne blizny; zarówno wewnątrz jak i na zewnątrz utrzymany był niezwykle starannie, co w ogóle charakteryzuje gmachy państwowe w Związku Radzieckim.

Wracając długą aleją prowadzącą do głównego wejścia domu, zostaliśmy przedstawieni pani Lepieżyńskiej, dzisiaj kobiecie 83-letniej, słynnemu biologowi, znanej w całym świecie dzięki swoim pracom nad rozwojem komórki.

Po krótkim pobycie w domu, poszliśmy na spacer po pięknie zacie-

nionym parku. Przy niedzieli pano-
wał w nim spory ruch. Między in-
nymi napotkaliśmy kilku studen-
tów z Akademii Sztuk Pięknych,
spacerujących w towarzystwie pro-
fesora. Poczęstowali nas swoim pro-
wiantem, złożonym z winogron i a-
nanasów (dowiedzieliśmy się potem,
że Związek Radziecki sprowadza a-
nanas z odległych okolic Chin po-
łudniowych). Zauważyliśmy w pew-
nej chwili, że studenci trzymają nu-
mer wielkiego angielskiego żurnala
mód „Vogue”. Spotkanie „Vogue”
w takiej odległości od domów mód
Paryża czy Londynu wydało nam
się bardzo zabawne.

Gdybyśmy nie byli nawiązali ze
studentami rozmowy, moglibyśmy
śmiało przypuszczać, że studenci
Akademii Sztuk Pięknych interesu-
ją się wyłącznie modą i innymi ma-
ło poważnymi sprawami. Tymcza-
sem dowiedzieliśmy się, że naszym
przyjściem przerwaliśmy im dysku-
sję na temat „**Roli pracy w sztuce
radzieckiej**”. Ale jakkolwiek treść
„Vogue” mogła im w tym pomóc
jedynie w sposób bardzo pośredni,
ujrzeliliśmy na własne oczy, że mają
do dyspozycji tego rodzaju pisma.

Uderzył nas następnie fakt udo-
stępnienia radzieckim uczonym wiel-
kiej ilości wszelkiego rodzaju pism
naukowych ze wszystkich krajów.
Odnieśliśmy wrażenie, że dzięki ta-
kiej obfitości środków informacji
zdobycze naukowe świata kapitali-
stycznego są lepiej znane radzieckim
uczonym, niż nam — ich osiągnię-
cia.

Niemniej przepaść dzieląca oba
światy w dziedzinie naukowej jest

jeszcze bardzo głęboka. Toteż sko-
rzystalizujemy z naszej wizyty, by we-
zwać naszych gospodarzy do jak
najliczniejszego udziału we wszyst-
kich międzynarodowych kongresach
naukowych.

Zresztą, kiedy omawialiśmy te
problemy z radzieckimi uczonymi,
stwierdziliśmy, że żywo pragną oni
nawiazać bliższe stosunki z uczony-
mi innych krajów. Rozumieją oni
doskonale, że tylko odprężenie sy-
tuacji międzynarodowej może przy-
nieść nadzieję obalenia tych barier,
które w obecnej chwili nie pozwala-
ją uczonym swobodnie podróżować
do różnych krajów świata.

Przedyskutowaliśmy szczegółowo
możliwości wizyty radzieckich uczo-
nych w naszym kraju i dowiedzie-
liśmy się z zadowoleniem, że Aka-
demia Nauk ZSRR zamierza wysy-
łać w najbliższych latach znacznie
więcej uczonych zagranicę, niż w
latach ubiegłych.

Nasze własne doświadczenia w
Związku Radzieckim i nasze rozmo-
wy z gospodarzami wykazały z dru-
giej strony, że uczeni zagraniczni
spotykają się w Związku Radziec-
kim z bardzo serdecznym przyję-
ciem, w szczególności zaś ci, którzy
dowiedli, że skłonni są współpraco-
wać z ruchem w obronie pokoju na
terenach swoich krajów.

* * *

Ci, którzy będą chcieli zwiedzić
laboratoria w Związku Radzieckim,
będą mieli dużo roboty. Osądzą to
po prostych faktach, dających nam
pojęcie o urządzeniach naukowych
w Związku Radzieckim. Sama Aka-

demia Nauk ZSRR zatrudnia 32.000 uczonych, rozproszonych po 117 instytutach, laboratoriach i muzeach. Jest ona również największą samodzielną instytucją wydawniczą w Związku Radzieckim. Możemy zdać sobie sprawę ze skali osiągniętego postępu, jeżeli weźmiemy na przykład pod uwagę, że w 1925 r. Akademii zatrudniała tylko 413 pracowników naukowych.

Właśnie w świetle takich faktów staraliśmy się ocenić postępy i najnowsze osiągnięcia laboratoriów, które zdążyliśmy zwiedzić w tym czasie.

Ponieważ było nas niewielu, a nasz pobyt w Związku Radzieckim ograniczał się do trzech tylko tygodni, przeto ilość instytutów, któreśmy mogli zwiedzić była z konieczności bardzo mała, ale widzieliśmy dawne i nowe laboratoria w Moskwie, Leningradzie i w dalekiej stolicy Gruzji — Tbilisi.

Odnieśliśmy wrażenie, że w Związku Radzieckim, jak i w innych krajach, istnieją wielkie różnice między poziomem rezultatów, osiągniętych przez ten, czy inny instytut. Nie będziemy tutaj analizować przyczyn, które doprowadziły do tego nierównomiernego rozwoju różnych gałęzi nauki. Wydaje nam się bardziej użyteczne — z powodu małego zasobu wiadomości, jakie obecnie można uzyskać poza granicami Związku Radzieckiego — opisać jedynie nasze wrażenia i odłożyć na przyszłość troskę o sporządzenie bardziej pełnego obrazu.

Jako przykład laboratorium mieszczącego się jeszcze na razie w

dawnym budynku, weźmiemy Moskiewski Instytut Biochemii Medycznej. Kierowany przez prof. Orechowicza, Instytut ten podlega Akademii Nauk Medycznych, podobnie jak Akademia Nauk Rolniczych podlega Akademii Nauk ZSRR. Zatem ilość badaczy pracujących w tych dziedzinach musimy dodać do liczby wymienionych powyżej, jako podlegających Akademii Nauk ZSRR (32.000 osób).

Prof. Orechowicz jest człowiekiem stosunkowo młodym, w Anglii znany przede wszystkim ze swoich pogłębionych badań nad białkiem skóry i ścięgna. Badania w tej dziedzinie wymagają specjalnych przyrządów, z których pewną ilość produkuje się w kilku jedynie krajach. Jedną z najbardziej kosztownych maszyn jest zapewne „ultra-centryfuga“, która obracając z ogromną szybkością wlany do niej roztwór, oddziela cząsteczki różnych wymiarów. Tę technikę wyeksperymentowano najpierw w Szwecji, toteż z zainteresowaniem zauważyliśmy, że prof. Orechowicz posługuje się ultra-centryfugą szwedzkiej produkcji.

W laboratorium znajdowały się inne jeszcze aparaty, głównie zaś aparaty optyczne produkcji angielskiej. Jednakże większość urządzeń wyprodukowana została w Związku Radzieckim, co nie jest zaskakujące, jeżeli zdamy sobie sprawę z szybkiego rozwoju radzieckiego przemysłu precyzyjnego.

To samo dotyczy aparatów stosowanych do badań nad izotopami radioaktywnymi — tzw. „wytwarzającymi drogę“ — które tak ważną

odgrywają dzisiaj rolę w wielu dziedzinach biochemii. Poprosiliśmy o informacje na temat techniki, stosowanej dla dokładnego mierzenia izotopów radioaktywnych. Powiedziano nam, że albo już się stosuje, albo w najbliższym czasie będzie się stosować aparaty, używane do tych celów w Anglii.

Zadaliśmy prof. Orechowiczowi inne jeszcze pytanie, a mianowicie, jak długo trwają studia uczonego, zanim zostanie dopuszczony do przeprowadzania samodzielnych badań. Inaczej mówiąc, w jakim wieku lub po uzyskaniu jakiego stopnia naukowego każdy radziecki biochemik może się spodziewać, że stanie się całkowicie odpowiedzialny za wybór i prowadzenie własnych badań?

Prof. Orechowicz odpowiedział, że nie ma na to żadnych reguł. Każdy pracownik naukowy winien złożyć dowody swoich zdolności umysłowych. Odpowiedzi profesora na inne nasze pytania w sprawie organizacji laboratorium wykazały, że wszystkie stanowiące przedmiot badań problemy, są tematem bardzo szczegółowych dyskusji.

Dyskusje te toczą się na „naradach badaczy“, odbywających się raz na miesiąc. W naradach biorą udział kierownicy poszczególnych sekcji, na które podzielone jest laboratorium, jak również wszyscy pracownicy naukowci, którzy uzyskali dyplom doktora nauk. (Ponieważ jest to jeden z najwyższych dyplomów w Związku Radzieckim, przeto ilość członków Rady jest bardzo ograniczona).

Natomiast każdy pracownik Instytutu — od dozorecy aż po pracowników na najwyższych stanowiskach — może uczestniczyć w posiedzeniach i zabierać głos.

Tak więc gdy najwyższa odpowiedzialność za pracę Instytutu spoczywa na dyrektorze i najbardziej doświadczonych uczonych, którzy jedynie mają prawo głosu na posiedzeniach — wszyscy pracownicy interesujący się jakimkolwiek problemem mogą uczestniczyć w dyskusjach, na których się go omawia.

Rada badaczy studiuje również zagadnienia o charakterze nienaukowym, związane z administracją Instytutu. Ale te sprawy zajmują tylko minimalną część ich czasu.

* * *

W Leningradzie zwiedziliśmy inne laboratorium, także mieszczące się w starym budynku, któremu sąsiedztwo Newy i zdobiące brzegi rzeki wspaniałe budowle w pastelowych kolorach dodają wielkiego uroku.

Instytut ten prowadzi badania nad hodowanymi polimerami. Zostaliśmy tam przedstawieni dr E. S. Breslerowi, którego badania dotyczą tworzenia się cząsteczek proteinowych (białka). Białka stanowią ostatnią wielką klasę ciał złożonych, wobec których zawodziły wszelkie metody nowoczesnej chemii organicznej w tym sensie, że do dnia dzisiejszego nie udało się wytworzyć laboratoryjnie żadnej syntezy białka. Toteż setki uczonych na całym świecie badają proces tworzenia się białka.

Bresler przystąpił do rozpatrywania tego zagadnienia, badając w ja-

kich warunkach białko rozkłada się i na powrót łączy. Jak wiadomo rozkład białka dokonuje się w czasie trawienia pokarmu, kiedy białko poddane jest działaniu enzym z soków żołądka i trzustki. Te enzymy czyli czynniki katalizujące, same nie powodują żadnych reakcji chemicznych, ale służą jedynie do ożywienia tych reakcji, które bez nich zachodziłyby nieskończenie wolno.

W tym wypadku białko dzieli się na składniki, to jest na amino-kwasy, złożone z cząsteczek dostatecznie małych, aby mogły przedostawać się do organizmu i do krwi, a potem do komórek dajmy na to wątroby, gdzie znowu zamieniają się w białko.

Z mało jeszcze w tej chwili znanych przyczyn tak przekształcone białko różni się na ogół od tego, z którego pochodzą amino-kwasy i nosi w sobie charakterystyczne cechy organizmu, w którym się znajduje. Jak dotąd, łatwo było rozłożyć białko poprzez działanie oczyszczonych enzym, otrzymanych na przykład z soku żołądkowego, ale nikomu nie powiodło się do tego czasu odtworzyć powstawanie białka poza granicami komórek żywego ciała.

Ponieważ w obecnym stadium naszej znajomości komórek jest rzeczą całkowicie niemożliwą odtworzyć w probówce warunki, w jakich dokonuje się synteza białka, Bresler śmiało podjął próbę odwrócenia przebiegu, w jakim proces ten zwykle zachodzi.

Technika jego polega mianowicie na poddaniu bardzo wysokiemu ciśnieniu roztworu, w jakim białko

dzieli się pod wpływem działania enzym. Bresler wyjaśnił nam, w jak sposób dzięki zastosowaniu tej techniki odkrył, że w pewnych ściśle określonych warunkach oryginalne białko odnawia się. Identyczność tego białka z tym, z jakiego się wywodzi, wystąpiła bardzo wyraźnie w toku tego rodzaju doświadczeń, wykonywanych na jednej z postaci białka, a mianowicie na insulinie.

Pod działaniem enzym ten hormon białkowy tracił całkowicie swoją charakterystyczną zdolność obniżania zawartości glukozy we krwi zwierząt, poddanych temu doświadczeniu.

Natomiast pod bardzo wysokim ciśnieniem (6 tysięcy atmosfer) ten nieczynny roztwór odzyskał swoją zwykłą zdolność obniżania poziomu glukozy we krwi.

Nie ulega wątpliwości, że odtwarzanie białka, wychodząc z produktów, w których zostało rozdzielone pod wpływem enzym, nie da nam całkowitego rozwiązania problemu syntezy białka i autor wcale tak nie twierdzi. Ale doświadczenie jego stanowi poważny postęp na drodze do rozwiązania tego niezmiernie trudnego zagadnienia.

Nie potrzeba dodawać, że całkowite rozwiązanie znalazłoby — jak należy się spodziewać — najgłębszy oddźwięk w dziedzinie medycyny i przemysłu spożywczego. Jest rzeczą jasną, że praca S. E. Breslera bardzo nas do tego celu przybliżyła.

Zapoznawszy się z tym wycinkiem poszukiwań i warunkami pracy u-

czonych radzieckich w starych laboratoriach, bardzo pragnęliśmy zwiedzić niektóre nowe laboratoria Uniwersytetu Moskiewskiego.

Ten wielki, ponad 48 tysięcy sal liczący gmach, służy obecnie badaniom naukowym i nauczaniu młodzieży akademickiej. Na razie prace badawcze na Uniwersytecie Moskiewskim wchodzi dopiero w początkową fazę. Ale mieliśmy możliwość obejrzenia nowych narzędzi i wyposażenia laboratoriów.

Zauważyliśmy, że w odróżnieniu od tego, cośmy dotąd widzieli, wszystkie urządzenia w nowych laboratoriach są produkcji radzieckiej. Wagi chemiczne z Leningradu wytrzymają doskonale pod względem solidności i dokładności porównanie z tymi, jakimi posługujemy się w Anglii.

Wszędzie stosuje się odpowiednie środki bezpieczeństwa. W laboratorium chemii organicznej widzieliśmy gaśnicę rozpylającą na wypadek lokalnego wybuchu pożaru, przypominającą z wyglądu nasz prysznic.

Oczywiście nie omieszkaliśmy nawiązać rozmowy z paroma studentami. Jest ich obecnie ponad 13 tysięcy. Ci z napotkanej przez nas grupy szli właśnie na śniadanie.

Mieszka ich na Uniwersytecie sześć tysięcy. Ich pokoje są niewielkie, ale na końcu każdego korytarza mają kuchenki, na których mogą sobie przyrządzać skromne posiłki.

Odnieśliśmy wrażenie, że ci studenci, z których większość przybyła z najodleglejszych stron Związku

Radzieckiego, na przykład z Kaukazu, dobrze się tutaj czują i pragną jak najlepiej wykorzystać pobyt na Uniwersytecie.

Od rektora Uniwersytetu, prof. Petrowskiego, dowiedzieliśmy się o organizacji nauczania wśród studentów, których wiek wynosi przeważnie 16 do 18 lat. Najbardziej znamienne jest, że 90 proc. wstępujących na Uniwersytet kończy studia w ciągu pięciu lat.

Pod głębokim wrażeniem opuściliśmy mury Uniwersytetu Moskiewskiego. Przyszłość nauki i techniki w Związku Radzieckim czeka na pewno świetny rozwój dzięki wielkiej liczbie studentów, którzy zakończysz studia, skierują się albo ku badaniom naukowym, albo ku przemysłowi.

Przed opuszczeniem Związku Radzieckiego długo i szczerze dyskutowaliśmy z naszymi gospodarzami na temat trudności, hamujących jeszcze ciągle dobre stosunki naukowe z krajami Europy zachodniej i ze Stanami Zjednoczonymi. Do jednej z takich przeszkód trzeba zaliczyć barierę językową, tym trudniejszą do przebycia, że tylko mała ilość uczonych angielskich i amerykańskich zna choćby najbardziej pobieżnie język rosyjski.

Zgodnie stwierdziliśmy, że podjęcie wymiany naukowców i badaczy przyczyniłoby się do wielkiego rozwoju życia naukowego naszych obu krajów. Tymczasem opracowaliśmy konkretne plany innych krótkich wizyt uczonych.

Powróciliśmy bogaci w niezmiernie interesujące doświadczenia.



A. Lapauri w „Fontannie Bachczyseraju“

MIKOŁAJ WOŁKOW

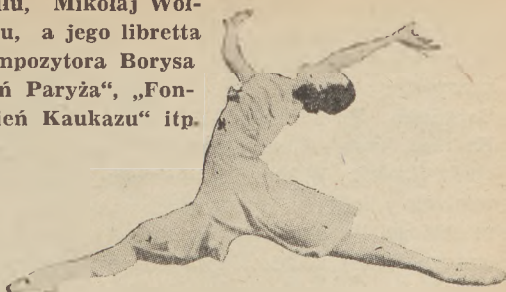
PRAGNAŁBYM wam opowiedzieć o pracy naszego teatru baletowego, o jego codziennej pracy, jak również o dniach jego święta.

Ten rodzaj sztuki ma duże znaczenie w naszym kraju. Dawno minęły czasy, gdy były u nas tylko dwa teatry baletowe — jeden w Moskwie, a drugi w Petersburgu. Dziś każda stolica naszych republik i wiele dużych miast ma własne teatry baletowe, tak, że jest ich dziś w Związku Radzieckim około 30. Liczba ta nie stanowi zresztą żadnej granicy, gdyż co roku powstają nowe gmachy, gdzie ludzie radzieccy będą oglądali dramaty i opery, balety i komedie muzyczne.

Trzeba tu dodać, że nasz teatr baletowy, idąc dużymi krokami naprzód pieczołowicie strzeże dziedzictwa pozostawionego mu przez poprzedników, a przede wszystkim przez wielkich kompozytorów rosyjskich.

Arcydzieła baletu rosyjskiego: „Jeziorko Łabędzie“, „Śpiąca Królewna“, „Dziadek do orzechów“ Czajkowskiego, „Rajmunda“ Głazunowa są nadal wystawiane w naszych teatrach. Podobnie ma się sprawa z klasycznymi dramataми muzycznymi: „Iwan Sussanin“, „Rusłan i Ludmiła“ Glinki, „Książę Igor“ Borodina, „Chowańszczyzna“ Mussorgskiego.

AUTOR poniższego artykułu, Mikołaj Wołkow, jest specjalistą baletu, a jego libretta zostały wykorzystane przez kompozytora Borysa Assafiewa do baletów „Płomień Paryża“, „Fontanna Bachczyseraju“, „Więzień Kaukazu“ itp. Użyli ich również Sergiusz Prokofiew do swego baletu „Kopciuszek“, Andrzej Balan-cziwadze w swym balecie „Ser-ce Gór“ i Aram Chaczaturian w „Spartaku“. Na libretcie Wolkowa oparto również nową inscenizację „Szecherezady“ Rymski-Korsakowa.



P. Struczkowa w „Aistenok“

Balet radziecki

Balet radziecki strzeże równie troskliwie kompozycji choreograficznych, które zawdzięczamy najlepszym mistrzom dawnego baletu. Możemy więc ujrzeć w naszych przedstawieniach suity taneczne Mariusza Petipa, poetyczne girlandy białych łąbodzi stworzone przez Leo Iwanowa, subtelne rysunki choreograficzne Aleksandra Gorskiego. Są to tradycje żywe, pozbawione oczywiście wszelkiego charakteru archaicznego, trącącego muzeum, lecz przeciwnie błyskotliwe, płonące ognie nieśmiertelnego piękna.

Niewątpliwie jednak, pomimo wielkich walorów dawnej sztuki, balet radziecki posiada swe własne drogi

rozwoju, wzbogacania się wśród burzliwych prądów nieustających twórczych poszukiwań. Jednym z głównych bodźców rozwoju naszego baletu jest ścisła współpraca łącząca kompozytorów, dramaturgów, choreografów, inscenizatorów i scenografów. Łączy się z tym, oczywiście, pojawianie się wciąż nowych artystów wychowanych w ożywczej atmosferze realizmu muzycznego.

BALET LUBI BAŚNIE I LEGENDY

Na afiszach naszych teatrów pojawiają się nazwiska kompozytorów radzieckich należących do wszyst-

kich pokoleń. Obok starszych: Reinholda Glier, Sergiusza Wassilenko, Borysa Assafiewa znajdujemy kompozytorów następnego pokolenia: Sęrgiusza Prokofiewa, Aleksandra Kreina, Arama Chaczaturiana, Michała Szolaki, Wiktora Orańskiego i wreszcie młodych: Włodzimierza Jurowskiego, Dymitra Klebanowa, Antoniego Spodavecchia, Igora Morozowa i in.

Jakimi tematami posługuje się balet radziecki? Weźmy w pierwszym rzędzie „Czerwony Mak“ poświęcony zdarzeniom z najnowszej historii Chin. Balet ten powstał w 1927 r.,

lecz pozostał do dziś w repertuariach naszych teatrów. Kompozytor jego muzyki, Reinhold Glier, obchodził niedawno 79 rocznicę urodzin. A primaballeriną, która tańczyła wówczas rolę głównej bohaterki, tancerki chińskiej Tao Chao, była jedna z nasławniejszych w niedawnej przeszłości, Katarzyna Geltser.

W pięć lat później, w 1932 r., powstał nowy balet „Płomień Paryża“ na temat jednego z wydarzeń Wielkiej Rewolucji Francuskiej z 1789 r. Ukazują się w nim na scenie ochotnicy słynnego batalionu Marsylczyków, którzy przybyli, by bronić ojczyzny i stolicy Francji. Głównym tematem jest obalenie władzy królewskiej przez gniew ludu i zdobycie Tuilerii w 1792 r.

Kompozytor, Borys Assafiew, który został następnie członkiem Akademii Nauk ZSRR, napisał partyturę pod wpływem melodii ludowych i tańców francuskich, co nadaje muzyce „Płomienia Paryża“ autentyczny charakter narodowy. Balet ten, który przetrwał zwycięsko próbę czasu, nie schodzi z afiszów Leningradu i Moskwy.

Połączenie poezji z muzyką wzbogaciło nasz repertuar znaczną ilością dzieł; dotyczy to specjalnie poematów, opowiadań i bajek Puszkina, które natchnęły twórców kilku baletów.

Jednym z najpopularniejszych jest „Fontanna Bachczyseraju“, do którego muzykę napisał Borys Assafiew równo dwadzieścia lat temu.

Widz śledzi ze wzruszeniem najazd okrutnego chana Gireja na Polskę, tragiczny los polskiej księżniczki Marii zamkniętej w haremie tragiczne-



H. Ulanowa i I. Idanow w „Romeo i Julii“.



Akt I „Płomienia Paryża“.

go tyrana, cierpienia, które zazdrość wywołuje w sercu faworytki Gireja, pięknej Gruzinki Zaremy. I jakkolwiek są to wydarzenia bardzo dawne, romantyzm tematu pełen jest żywej prawdy.

Glier napisał partyturę innego baletu pod wpływem poematu Puszkina „Jeździec Miedziany“. Akcja toczy się tym razem w Petersburgu, w czasie strasznej burzy, w jesieni 1824 r. która spowodowała wylew potężnej Newy, pokrywającej swymi falami ulice i place śródmieścia Petersburga. Wątpia Parasza umiera podczas tej katastrofy, a jej narzeczony Eugeniusz dostaje obłądu. Lecz nad tym smutnym wspomnieniem powodzi w Petersburgu wznosi się Jeździec Miedziany na swym dzikim rumaku, wspaniały pomnik Piotra

Wielkiego, który dziś jeszcze wznosi się na jednym z placów Leningradu.

Bajkę Puszkina o pracowitym, chytrym i sprytnym muzyku Balda ubrał w szatę baletową kompozytor Michał Czulaki.

Po Puszkinie — Szekspir: w 1940 r. powstał w Leningradzie balet „Romeo i Julia“ Sergiusza Prokofiewa. Tragedia kochanków z Werony znalazła w muzyce Prokofiewa odważną i prawdziwie tragiczną interpretację. Osoba Julii, podobna do „Wiosny“ Botticellego jest jedną z najpoetyczniejszych kreacji scenicznych wielkiej tancerki Haliny Ulanowej.

W baletcie radzieckim są również reprezentowane: Francja z Balza-kiem i Wiktorem Hugo, Włochy z Goldonim i Hiszpania z Lope de Vegą.

Powieść Balzaka „Stracone złudzenia“ natchnęła kompozytora Assafiewa. Balet zachował całą oryginalność tego muzycznego opowiadania o konflikcie złota ze sztuką, którego bohaterami są kompozytor Lucien i tancerki Corelli i Floris. W balecie „Esmeralda“ widzimy majestatyczną sylwetkę Notre - Dame w Paryżu.



A. Szelest

Komedie Goldoniego „Mirandolina“ i „Fałszywy narzeczony“ posłużyły Sergiuszowi Wassilenko i Michałowi Czulaki za temat do baletów zarówno wspaniałych, jak wesołych. Wreszcie ponury dramat Lope de Vega „Fuente Ovejuna“ poddał kompozytorowi Aleksandrowi Kełnowi temat do muzyki baletu „Laurencja“ z wierszem dźwięków, zapożyczonych z płomiennej muzyki Hiszpanii.

Balet lubi bajki i legendy. Dlatego też Sergiusz Prokofiew podjął i opra-

cował w swej wersji powszechnie znany temat „Kopciuszka“. Nie jest to już sentymentalna historia o nagrodzonej cnocie, lecz opowiadanie muzyczne, w głęboki sposób malujące wzniosłą miłość. Muzyka Prokofiewa jest jak koronka: subtelna i zawiła, zawierająca różne rodzaje. Znajdujemy tu zubożałą drobną burżuazję (macocha i jej córki), sztywną etykietę dworską, patos wielkiej miłości, cudną atmosferę starych bajek, w której żyją wróżki pół roku i pojawiają się krasnoludki liczące godziny, psotne, ogłaszające fatalną chwilę: północ.

EPOPEJA WSPÓŁCZESNEGO ŚWIATA

Kompozytorowie radzieccy umieli nie tylko czerpać natchnienie z zagranicy lub w głębi wieków, lecz potrafili również opracować tematy współczesne i wyśpiewać epopeję swego narodu.

Wielka idea przyjaźni między narodami znajduje swój wspaniały wyraz w balecie. Aram Chaczaturian napisał „Gayaneh“ poświęcony dzisiejszej Armenii a jego gorąca, namiętna muzyka jest również interpretowana w koncertach symfonicznych. Azerbejdżan dał nam balet oparty na poemacie wielkiego Nizami „Siedem piękności“ (muzyka Kara Karajewa); Gruzja — „Serce gór“ (muzyka Andrzeja Balancziwadze). W Rydze, Tallinie, Wilnie, Kijowie, Mińsku i innych stolicach naszych republik możemy oklaskiwać balety skomponowane przez muzyków naszych licznych narodów, balety, dla których natchnieniem były bądź to

tematy współczesne, bądź też staro-
dawne baśnie. Wszystko to nadaje
baletowi radzieckiemu niezwykle
blask i koloryt.

Wreszcie w ostatnich baletach po-
jawily się tematy czerpane z wyda-
rzeń Wojny Domowej i Wielkiej
Wojny Narodowej z lat 1941—1945,
jak „Młodość“ (muzyka Michała Czula-
ki), „Szczęśliwe wybrzeże“ (muzyka
Antoniego Spadavecchia).

Ciekawym niewątpliwie rodzajem
baletów radzieckich są balety dla
dzieci. Witają one radośnie pojawia-
nie się przyjaciela ludzi i zwierząt
„doktora Aibolita“ (muzyka Igora
Morozowa); oklaskują małego Mu-
rzynka uciekającego przed okrutnym
plantatorem i znajdującego rodzinę
w gronie radzieckich pionierów, któ-
rzy dają mu ciepło swych pieszczot
oraz czystą i promienną przyjaźń.
„Bocianek“ (muzyka Dymitra Kleba-
nowa) ukazuje na scenie grono we-
sółych dzieci, ptaki, olbrzymiego sło-
nia i inne zwierzęta.

Młodzi baletmistrzowie radzieccy —
Wasył Veinonen, Rościsław Zacha-
row, Leonid Ławrowski, Wachtang
Czebukiani, Konstanty Sergiejew i
inni — pokazali wysoką klasę w
sztuce realizacji dawnych i nowych
baletów.

Te choreograficzne osiągnięcia róż-
nią się między sobą w szczegółach,
lecz chciałbym podkreślić to, co je
łączy. Jest to przede wszystkim głę-
bokie przekonanie, że u podstaw każ-
dego baletu należy odnaleźć reali-
styczny sens życia. Nie ma tu kon-
wencjonalnego bohatera, lecz widz
znajduje żywych mężczyzn i żywe ko-
biety, mających swe własne myśli, u-
czucia i dążenia. Przechodzą oni bo-

lesne konflikty. Cierpią i kochają.
Walcą i zwyciężają. Powietrze, któ-
rym oddychają, jest powietrzem co-
dziennego życia.

BALET — TO NIE TYLKO TANIEC

Pantominy nie przeciwstawia się
u nas tańcowi. Nasi baletmistrzowie są
równocześnie reżyserami. Tam, gdzie
uczucia ludzkie osiągają swój szczyt,
tam taniec nabiera polotu w zawrot-
nych skokach i obrotach, rysując
przejrzystą koronkę arabesek i po-
zycji.

Im bardziej muzykalny jest balet-
mistrz, tym bogatsze, świeższe wy-



N. A. Petrowa

najduje formy i gesty, im barwniej-
sza jest choreograficzna paleta, tym
wyraźniejsza i intensywniejsza jest
koncepcja dramatyczna baletu. Ina-
czej bowiem dramatyczny charakter



Akt II baletu „Jezioro Łabędzie”

baletu sprowadziłby się do mechanicznego następstwa scen i pojedynczych obrazów. Przeciwnie tej to właśnie mechanizacji walczą nasi baletmistrze.

Balety, już w samej swej istocie, muszą łączyć muzykę dla ucha i oka. Sztuka dekoracyjna w teatrze radzieckim wydała szereg specjalistów w zakresie scenografii baletowej. Są to: Włodzimierz Dimitriew, Piotr Williams, Suliko Wirsaladze, Walentyna Chodasiewicz i wielu innych.

Weźmy na przykład Dimitriewa. Ilekć poezji zawierają jego dekoracje do „Dziadka do orzechów” Czajkowskiego: Wieczór zimowy w izdebce garbusa, pełna ozdób choinka przypominająca „Werthera” Goethego, fantastyczne morze z ruchem opalizujących fal... A oto widzicie Weronę, taką, jaką stworzył ją Wiltsis dla baletu Prokofiewa „Romeo i Julia”; wspaniałe apartamenty Kapuletów z ciężkimi, złotolitymi zasłonami. Wśród całego tego przepychu jak gdy-



Czaikowskiego

by promień słońca: cela ojca Lorenzo, gdzie odbywają się zaręczyny Romea i Julii; ginące w górze sklepienia, oślepiająca biel murów, skromne umeblowanie. To prawdziwa pieśń bez słów.

Należałoby tu opisać romantyczne krajobrazy i monumentalne freski Wirsaladze, pałace wśród ciemnej nocy zbudowane przez Walentyne Chodasiewicz. Lecz cały ten przepych cofa się w cień, gdy na scenie pojawiają się tancerze przynosząc sali

prawdę uczuć ludzkich, prawdę bijących serc.

RADZIECKA SZKOŁA BALETOWA

Należy tu podkreślić niezmiernie znaczenie, jakie ma dla sztuki baletowej nauka choreografii oparta na właściwych podstawach. Dlatego też zajmuje ona w ZSRR należne jej miejsce. Poza szkołami w Leningradzie i Moskwie otwarto u nas od 1917 r. piętnaście szkół tańca baletowego.

Z dokumentów zachowanych w archiwach wiemy, że w 1738 r. otwarto przy dworze carskim w Petersburgu pierwszą szkołę tańca. Jak długą drogę przebyto w niewiele ponad dwa wieki od założenia tej wzorcowej szkoły, aż do stworzenia tego ogniska nauki choreografii, które gra dziś pierwszorzędną rolę!

Również i szkoła moskiewska rozwinęła się bardzo szybko od tego dnia w 1773 r., gdy założono przy Domu Nauki w Moskwie szkołę tańca dla sierot.

Obie te szkoły szczycą się dziś słusznie mistrzami sztuki choreograficznej, zarówno w tańcu klasycznym, jak i charakterystycznym, których wychowały i których sztuka jest dumą radzieckiego baletu.

Nie jesteśmy w stanie opisać tu osiągnięć naszych tancerzy i tancerek. W każdym razie kierują się oni wszyscy realizmem pozwalającym uwypuklić w tańcu psychologiczny wątek odtwarzanych postaci.

Tyczy się to w pierwszym rzędzie wielkiej tancerki Haliny Ulanowej, która potrafi odsonić całe psychologiczne bogactwo interpretowanych

przez nią postaci. Pieśń, którą rodzi jej taniec, jest pieśnią jej własnych wzruszeń, jej wewnętrznego życia. Julia, Gizela, Maria (w „Fontannie Bachczyseraju“) stają się dzięki temu prawdziwymi bohaterami teatru tragicznego.

Natalia Dudzińska interpretuje wspaniale taniec klasyczny, w którym nie istnieją dla niej żadne techniczne trudności. W „Jeziorze Łabędzim“ potrafi tańczyć zarówno wariacje łabędzi, jak i zawrotne piruety zbrodniczych Odyli.

Alla Szelest z nieporównaną plastyką uosabia dumną i namiętą postać Zaremy w „Fontannie Bachczyseraju“.

Maja Plisecka potrafi połączyć błyskotliwość z dokładnością gry. Gdy w „Don Kiszocie“ tańczy partię Kitri zdawałoby się, że wiatr unosi jej zgrabną i giętką postać.

Co się tyczy Olgi Lepieszyńskiej, to jej wspaniała sztuka jest wyrazem całej jej radości życia. Potrafi wyrazić na scenie zarówno optymizm, jak i marzenie. Czy tańczy młodą dziewczynę radziecką Światłą, czy tancerkę chińską Tao Chao, potrafi ucieleśnić odwagę i bohaterstwo w walce.

Wśród tancerzy należy przytoczyć nazwiska Konstantego Siergiejewa i Wachtanga Czubukiana.

Siergiejew jest artystą o wyjątkowej łagodności i szlachetności. Jego „Romeo“ wydaje się postacią, która zeszała z włoskiego obrazu. Postacie ksiąząt, które gra w baletach Czajkowskiego, są żywym wcieleniem lirycznych melodii kompozytora.

Czubukian jest postacią bohaterką. W jego interpretacjach przebija potężna natura. Chwilami zdaje się, że to płynie w przestworzach górski orzeł.

Aleksy Jermołajew jest wcieleniem dramatycznego napięcia.

Należy tu jeszcze wspomnieć o Włodzimierzu Preobrażeńskim, Jerzym Kondratowie, Aleksym Lapa-
uri. Każdy z nich potrafi połączyć bezbłędną technikę z darem artystycznego modelowania postaci, jakie przedstawia. Pisząc to nie opowiedziałem nawet setnej części tego, co

miałbym do powiedzenia.

Pragnąłbym jednak, by ten krótki przegląd pozwolił wam odczuć, jak głęboki i złożony jest rozwój sztuki baletowej w naszym kraju. Rozwija się ta sztuka dzięki troskliwym badaniom. Gdyby zaś trzeba podsumować dążenia naszych mistrzów w tej dziedzinie, to powiedziałbym po prostu, że usiłują oni harmonijnie połączyć doskonałość formy z bogactwem duchowej treści.



NAWET ZA CENĘ ŻYCIA

FRANCOIS DE GEOFFRE

DWA tragiczne wypadki zwróciły ostatnio uwagę i ciekawość zaniepokojonej opinii publicznej na jeden z najniebezpieczniejszych we współczesnym życiu zawodów. Chodzi tu o śmierć pilota francuskiego Constantin Rozanoffa, który rozbił się na lotnisku Melun - Villefranche wraz ze swym samolotem „Mystere IV-B“ (ostatni model francuskiego myśliwca odrzutowego) oraz o tajemnicze zniknięcie nad Morzem Tyrreńskim drugiego samolotu „Comet“ (angielski samolot pasażerski o czterech silnikach odrzutowych). Tym, tak niebezpiecznym zawodem jest zawód pilota oblatującego nowe typy samolotów, czyli takiego, który podejmuje ciężkie i trudne zadanie wypróbowania ich we wszelkich możliwych warunkach.

Życie, cechy osobiste i charakter tych pilotów były przez długi czas nieznane opinii publicznej, ponieważ anonimowe. Trzeba było, niestety, tych dwóch katastrof, które okryły żałobą francuskie i angielskie lotnictwo, by rozproszyc mgłę tajemnicy otaczającą dotychczas działalność i osobowość tych ludzi, pilotów wykonujących codziennie swój niebezpieczny zawód, który wielu już przeplącało życiem.

Lista ich jest długa i ciągle wzrasta. Niedawno dwóch synów konstruktora de Havillanda, twórcy „Co-

meta“, zginęło podczas lotów próbnych. Potem nadeszła kolej wielkiego pilota Johna Derry, którego samolot, przekraczając granicę szybkości głosu na zawodach w Farnborough, rozpadł się w powietrzu nad głowami widzów. Ostatnio znowu pilot francuski Rozanoff, próbując minąć nad samą ziemią na swej maszynie „Mystere IV-B“ samolot typu „Mach I“ padł ofiarą defektu instalacji elektrycznej, blokującego mu w momencie pikowania ster głębokości, uderzając o ziemię z szybkością 1200 kilometrów na godzinę. Rozanoff został dosłownie zmiażdżony na oczach przerażonych ekspertów i inżynierów.

* * *

Wkrótce wielki pilot angielski John Cunningham, raz jeszcze podejmie próbę zgłębienia tajemnicy katastrof, których ofiarą padły samoloty „Comet“.

Zwracano już uwagę na zbyt może pospieszne oddanie do użytku tych angielskich samolotów o czterech silnikach odrzutowych, które, jako pierwsze, pojawiły się na liniach pasażerskich. Seria niewytłumaczonych katastrof przeraziła angielską publiczność, a szczególnie firmę Haviland wierzącą niezłomnie w doskonałość swoich „Cometów“ i niedopuszczającą możliwości jakichś błędów konstrukcyjnych lub braków.

I tak to, Johnowi Cunningham, mającemu 37 lat i przezwanemu „Kocie Oko“, jednemu z najslawniejszych angielskich pilotów - oblatywaczy i szefowi pilotów firmy Haviland, przypadł niebezpieczny zaszczyt wyświeślenia, zrozumienia i rozwiązania okrutnej i niepokojącej tajemnicy otaczającej dziś samoloty „Comet“.

Czy jest to odwet, który natura bierze na człowieka i postępie? Czy człowiek jest zagrożony? Czy samolot „Comet“ jest czy też nie jest niebezpieczny? Czy istnieje jakiś „pułap śmierci“, to znaczy wysokość, której samoloty odrzutowe napędzane kerozenem, nie mogą przekroczyć? Czy paliwo to eksploduje pod pewnym ciśnieniem i w pewnych warunkach? Czy jest jakiś błąd w metalu lub konstrukcji samolotu? I wiele innych hipotez, które musi się za wszelką cenę wyjaśnić.

Turbiny 4 silników odrzutowych typu Ghost wirują z szybkością 32 tysięcy obrotów na minutę i może wobec tego zużywają się zbyt szybko i w końcu rozpadają się lub też wywołują niebezpieczne wstrząsy? Czyż nie wspomina się również o gwałtownych prądach powietrznych na wielkich wysokościach zwanych „prądami strumieniowymi“, które, przepływając we wszystkich kierunkach a nawet pionowo, mogą osiągnąć szybkość do 500 km na godzinę i spowodować w pewnych wypadkach i warunkach rozpadnięcie się samolotu?

* * *

Inżynierowie i technicy badają niezmordowanie, dniem i nocą,

wszystkie te możliwości wysuwając co dzień nowe hipotezy i przypuszczenia, z których dwa wydają się możliwe: jedno dotyczy jakości metalu używanego do produkcji łopatek turbin w silnikach odrzutowych (jego stopnia topliwości) i olbrzymich różnic temperatury, którym podlegała łopatki na skutek zbyt szybkiego, być może, wznoszenia się „Cometów“ (w niespełna 30 sekund z powierzchni ziemi do wysokości 13 tys. metrów temperatura spada z plus 15 do — 50 stopni). Ta gwałtowna, brutalna nawet, zmiana temperatury może wywrzeć wpływ na metal, który mógłby doznać niebezpiecznych zmian. Inna, ostatnia hipoteza wspomina, że ultra - dźwięki mogą w pewnych wypadkach wywołać eksplozję w zbiornikach niedostatecznie wypełnionych paliwem (nie zapominał o olbrzymim zużyciu paliwa przez 4 silniki odrzutowe i o szybkości z jaką opróżniają się zbiorniki).

To wszystko John Cunningham będzie musiał próbować wyjaśnić.

* * *

Wszystko jest możliwe, nie można nawet wykluczyć zbrodnicego sabotażu. Użycie samolotów „Comet“ na liniach międzynarodowych jest zagadnieniem o skali światowej, a konkurencja handlowa manewruje miliardami zagrażając przyszłości angielskiego lotnictwa cywilnego.

Geoffrey Haviland poprosił więc Cunninghama o odpowiedź. Już wkrótce specjalnie wyposażony samolot „Comet“ wzbije się w powietrze i jego „załoga — królik do-

świadczalny“ będzie się starała odnaleźć w wielu bardzo skomplikowanych próbach przyczynę licznych katastrof. Wobec niezwyklego niebezpieczeństwa tych lotów fotele pilota i inżynierów będą urządzone tak, by mogły być wyrzucone z samolotu, a specjalne aparaty rejestrujące spadną automatycznie na spadochronach w razie nagłej eksplozji. Pilot będzie miał stałą łączność radiofoniczną z ziemią i każdy jego ruch, każda obserwacja będzie natychmiast przekazywana.

Próby będą miały trzy fazy:

- 1) Próby przy locie normalnym;
- 2) Próby na znacznej wysokości i przy wielkiej szybkości;
- 3) Próby przy maksimum możliwości samolotu, zwane „próbami na zniszczenie“. Te ostatnie osiągną szczyt ryzyka.

* * *

Badania mają na celu osiągnięcie doskonałości drogą wiedzy i doświadczenia. Jeżeli lotnictwo dzisiaj osiągnęło tak olbrzymi stopień rozwoju, jeżeli przebywa się codziennie Atlantyk północny lub południowy na wysokości 8000 tys. m i z szybkością 500 km na godzinę, jeżeli przekracza się w samolocie szybkość głosu, jeżeli w ciągu dwóch godzin i 15 minut przelatuje się z Paryża do Casablanki, to zawdzięczamy to pilotom - oblatywaczom, tej plejadzie ludzi dojrzałych, zdrowych, silnych i inteligentnych, umiejących pokonać niebezpieczeństwa, nie szukając ich lecz wystawiając na próbę swą zimną krew, zwalczających niepokój, twardych dla siebie, nie uznających

niepowodzenia i często poświęcających nawet życie. A jednak ludzie ci nie różnią się tak bardzo od nas, nie są odpychająco sztywni lub lekko-myślnie szafujący drogim im życiem. Żyją po prostu jak my wszyscy, są żonaci, mają dzieci.

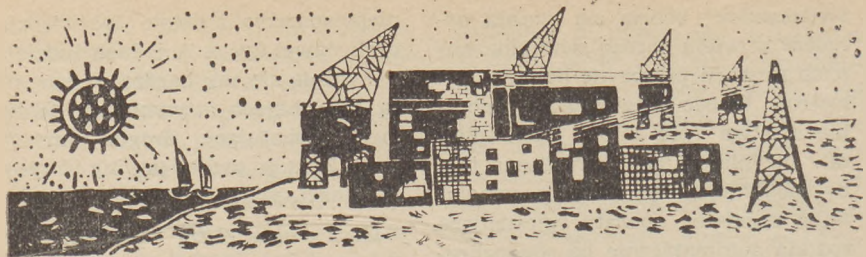
Czyż największą przyjemnością Rozanoffa nie było wędkarstwo? Człowiek ten, który przemierzał przestworza z szybkością ponad 1200 kilometrów na godzinę, współtwórca samolotów typu „Ouragan“ i „Mystere“, który przekroczył ponad 100 razy granicę szybkości głosu jako pilot - oblatywacz setki prototypów samolotów, nie miał milszej rozrywki nad łowienie ryb.

Co się tyczy Cunninghama, spokojnego ojca rodziny, nie mówiącego nigdy ponad potrzebę, to lubi on gotować i równie dobrze czuje się przy kuchni, jak w „Comecie“.

Choć zginął Monier i odszedł Rozanoff to jednak trwają oni wśród pilotów - oblatywaczy. Boudier jego 3-ci pomocnik kontynuuje pracę: wysoko na niebie samolot „Mystere“ rozdziera swym hukiem ciszę pięknego wiosennego poranka.

Za kilka dni nad Anglią Północną John Cunningham, spokojnie, bez wzruszeń, obserwując swe przyrządy pokładowe, z mikrofonem przy ustach powie Anglikom i kolegom lotnictwa, jak się ma sprawa z „Cometem“. Leci by WIEDZIEĆ, i dowie się nawet za cenę życia: wymaga tego jego zawód...

A jeżeliby zginął — zastąpi go inny. Takie jest życie pilotów - oblatywaczy. Takimi są ci ludzie.



Energia mórz

LINDSAY FARR

PEWNA fabryka w Abidżanie na Wybrzeżu Kości Słoniowej będzie przekształcać ciepło z wody morskiej w energię elektryczną.

Będzie to pierwsza tego rodzaju fabryka w Afryce i zapewne na świecie. Projektuje się budowę dwóch jednostek, każdej o mocy 3.000 kilowatów. Wykonawcą tego projektu jest „ENERGIE DES MERS“, francuska spółka pod kontrolą państwową, utworzona w 1948 roku dla użytkowania energii ciepłej mórz.

Francuski fizyk Arsene d'Arsonval pierwszy wpadł na pomysł użytkowania energii ciepłej mórz dla celów przemysłowych. Temperatura oceanu zmienia się w zależności od głębokości — na powierzchni woda jest cieplejsza, niż w głębinach. Problem polega na tym, by zgromadzić wodę ciepłą z powierzchni i

zimną z głębi dla uzyskania takiej różnicy potencjału termicznego, by mógł wytworzyć wielką energię.

Inżynierowie uważają, że problem jest już rozwiązany i że można przystąpić do praktycznej realizacji projektu. Laguna dostarczy fabryce wody o temperaturze 28 stopni. Przewód długości 4 kilometrów doprowadzi zimną wodę z głębiny zwanej „Dziura bez dna“. Na tej głębokości — około 500 metrów — temperatura wody wynosi 8 stopni.

Proces polega na wyparowaniu w próżnię części wody wydobytej z laguny. Wyprodukowaną parę „wchłania“ kondensator, który oziębia zimne wody z głębiny. Woda przechodzi na swojej drodze przez turbinę, połączoną z elektrycznym generatorem.

Zwolennicy wykorzystania tego źródła energii twierdzą, że jest ono

praktyczne i oszczędne. Fabryka może również produkować wodę destylowaną i inne pochodne wody morskiej, jak sodę, chlorki, bromki, magnez i potas. Co więcej, energię termiczną można stosować do suszenia i chłodzenia.

Interesującym produktem ubocznym będzie ryba, przypuszcza się bowiem, że rocznie zostanie wessanych wraz z zimną wodą, kilka tysięcy ton ryb, jak również poważna ilość soli.

Przeprowadza się doświadczenie nad podnoszeniem temperatury wody na powierzchni przez rozlewanie na niej nafty. Proces ten zwiększa zdolność wody wchłaniania ciepła słonecznego. Podniosłoby to wydatnie różnicę temperatur.

Długość wybrzeży, u których słońce dostatecznie ogrzewa wodę, by można było zakładać tego rodzaju turbiny, ocenia się na 32 tysiące kilometrów. Nadają się do tego również tropikalne wyspy, a możemy także budować wyspy pływające gdziekolwiek zechcemy. Rzeczoznawcy obliczają, że w ten sposób moglibyśmy utrzymać ilości energii, mogące zaspokoić 5 proc. obecnego zapotrzebowania ludności kuli ziemskiej.

Energii tej nie można transportować na większą odległość — trzeba ją konsumować na miejscu. Ale ileż innych form energii moglibyśmy wykorzystywać, na które w tej chwili nie zwracamy uwagi!

Tak więc w ciągu ostatnich lat na Wairakei, wyspie położonej na północ od Nowej Zelandii, inżynierowie próbowali schwycić podziemne ciepło ziemi, by je przekształcić w

energię elektryczną. Badali gejzery i gorące błota, by czerpać z nich wielkie rezerwy naturalnej pary.

Natchnął ich w tej pracy przykład Włochów, którzy od dawna eksploatują gorące źródła w Larderello w pobliżu Volterra w Toskanii dla produkowania energii elektrycznej.

Wszystko to wywodzi się z prostego faktu, że gejzer posiada kanal, przez który zimna woda schodzi w głąb skorupy ziemskiej. Tam napotyka gorące skały i płonące gazy, które ją ogrzewają. W miarę wzrostu temperatury woda ta przemienia się w parę, para wchodzi do kanału, gdzie napotyka wodę o niskiej temperaturze.

Malowniczy, znany nam wybuch gejzera nie jest niczym innym, jak nagłym wybuchem tej pary, która mechanicznie wypęcza i wypiera wodę. Właśnie tę naturalną parę próbują wykorzystać inżynierowie.

Historia poszukiwania nowych źródeł energii stanowi jedynie część obrazu historii świata. Faktem jest, że potrzebujemy większej ilości pożywienia dla nas i dla maszyn, które dają nam wygodę i władzę. Wszędzie wzrasta zapotrzebowanie na surowce, które mogą dostarczyć nam energii. Na przykład w Holandii od 1925 r. zużycie paliwa płynnego i gazowego niemal się zdwoiło, a zużycie energii elektrycznej jest niemal pięciokrotnie większe, aniżeli przed dwudziestu pięcioma laty. To samo spotykamy w innych krajach.

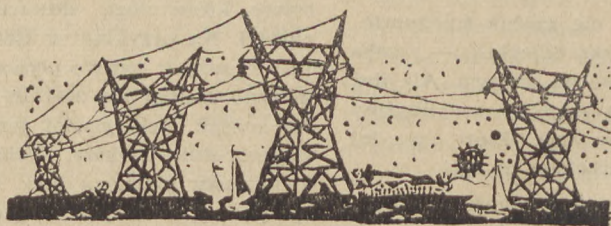
Poziom cywilizacji zależy od odpowiedniej ilości stojącej do naszej dyspozycji energii. Miliony miesz-

kańców Indii, Chin, Ameryki Południowej nie mogą ubiegać się o wzrost mocy produkcyjnej, to znaczy o możliwości technicznie wyższego poziomu życia bez wydatnego zwiększenia swojego kapitału stojącej do dyspozycji energii.

Ciągle jeszcze olbrzymie są źródła niewykorzystanej energii. Na przykład w Pakistanie niedawne badania wykazały, że kraj ten dysponuje milionami ton węgla, który trzeba tylko wydobyć. Rzeczoznawcy sądzą, że na całym świecie rezerwy węgla, węgla brunatnego i torfu, licząc według obecnych możliwości produkcyjnych, mogą starczyć na tysiące lat.

Co jakiś czas ukazują się artykuły, głoszące, że zasoby świata są na wyczerpaniu. Na przykład w Stanach Zjednoczonych wydobyto z ziemi więcej kopalin od 1900 roku, aniżeli na całym świecie w ciągu całej historii. Od 1900 roku skonsumowaliśmy 97 proc. całej nafty, wyprodukowanej w ogóle od początku historii świata.

Ale uczeni nieustannie znajdują nowe rozwiązania tego problemu. W szczególności jesteśmy obecnie w trakcie odkrywania wielkiej tajemnicy naszego głównego źródła energii — słońca. Toteż mylibyśmy się, gdybyśmy oceniali pesymistycznie nasze przyszłe źródła energii.





MOHAMMED DIB: P O Ż A R

LAUREAT Nagrody Feneon za 1953 r. (otrzymał ją za książkę pt. „Wielki dom“), Mohammed Dib przedstawia w swoich powieściach nędzę ludu algerskiego. Poniższy fragment zaczerpnięto ze świeżo wypuszczonego na rynek drugiego tomu trylogii, będącej wstrząsającym świadectwem ciężkich warunków życia algerskiego fellaha i gwałtownym oskarżeniem tych, którzy ponoszą odpowiedzialność za ten stan rzeczy.

P O Ż A R

WYCHODZĄC z domu Omar wziął ze sobą kawałek chleba. Robił tak zawsze. Urządzał się w taki sposób, aby o każdej porze dnia mieć chleb przy sobie. Jadł go poza domem, na ulicy, wyszarpując kawałeczki za kawałeczkiem z głębi kieszeni. Aini od dawna podejrzewała go, że wykrada chleb z domu. Za każdym powrotem zasypywała go wymówkami. Mimo że zamykała na klucz kufer z białego drzewa pomalowany na fornier, w którym przechowywała bochenki, stwierdzała ciągle nowe braki.

Omar, włócząc się po ulicach, dzielił chleb na dwie części: miąższ oznaczał chleb, a skórka stawiała się tym czego pragnął — mięsem, czekoladą itd. W ten sposób zjadał chleb z tym, na co miał akurat ochotę. Każdy z tych kęsów odebrany był głodnym siostrą. Odbierał go swojej matce. Ale co miał robić? Był głodny. Uciekał na ulice, aby go nie widziały.

Chwilami, zatrzymywał się przy fontannie i podstawił twarz pod strumień wody. Pił i biegł dalej ulicą.

Nie chciał zostawać w domu. Większość lokatorów zdawała się ciągle jeść, po to tylko, aby wyrzucić na sąsiadach wrażenie, że niczego im nie brakuje.

Inni chłopcy włóczyli się tak jak on sami, albo zbierali się w bandy, gotowi w każdej chwili do ucieczki przed policjantami, którzy na nich ciągle polowali.

Okryci starymi kaftanami o wystrzępionych rękawach, w wielkich butach na nogach, o bladych twarzyczkach z czarnymi oczami, z zaciekawieniem przyglądali się ludziom i przedmiotom. Byli pełni życia. Nie przestawali bić się i gonić. Obsypywani wymysłami, często bici przez dorosłych, w każdej chwili musieli być gotowi do ucieczki. Mniej lub więcej otwarcie zajmowali się żebraniną, niektórzy kradli. Nieruchomym spojrzeniem przyglądali się europejskim mężczyznom, kobietom i dzieciom. Obserwowali ich z napiętą uwagą, co dawało im znacznie starszy wygląd. Patrzyli na zawsze nowe ubrania Europejczyków, na ich czyste i zdrowe ciała, na ich twarze ludzi, którzy nie znają głodu, na to uczucie sytego szczęścia, którym zdawały się te twarze promieniować; uczucie, że jest się zabezpieczonym, chronionym; na ich grzeczność, uprzejmość, wykształcenie, delikatność, którą nosili jak święte ubranie. Mali Europejczycy na ogół bali się Arabów.

Kiedy rodzice chcieli ich uspokoić, często grozili: bo zawołam Araba!

Omar zdał sobie w końcu sprawę, że i on również patrzył na Europejczyków w taki sam sposób jak jego koledzy. Jego spojrzenie chciało im jakby coś krzyknąć. Europejczycy żyli wciąż w zasięgu tych oczu pełnych napiętej uwagi.

Oczywiście, z biegiem lat wszystkie te pełne życia, przedwcześnie dojrzałe dzieci stopniowo przygasaly, zapadając coraz bardziej w monotonię nędzy, ciemnoty, rosnącego wciąż zmęczenia. W pijaństwo i więzienia. Ale może z tymi byłoby inaczej... Zwinni i spokojni obserwowali zarysy niezbadanego świata więzów i zakazów, którego siłę odczuwali tym mocniej, że jej nie rozumieli. Wylegali ze wszystkich zakątków miasta, popychani jakimiś niejasnymi, niewyrażonymi pragnieniami. Byle jakie rzucane im przedmioty — puste pudła, połamane zabawki, prospekty reklamowe wprawiały ich w stan ekstatycznego zachwyty; bili się o nie z zaciekłością, która nadawała tym rzeczom niewymierną wartość ideału. Ten zaś, który po zażartej walce stawał się posiadaczem któregoś z tych przedmiotów, nie bez racji chwalił się nim, jak łupem wojennym.

Omarowi wolno było bawić się jak i gdzie mógł i korzystać z całkowitej swobody. A jednak życie jego staowało się uosobieniem nieufności. Jakiś nieubłagany instynkt szybko zwracał go przeciwko wszystkiemu i wszystkim. Nie godził się na tę egzystencję, jaką mu dano. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu, coś co przeczuwał gdzieś ponad tym wszystkim, wydawało mu się ważniejsze, bardziej istotne. Będąc w swym zwykłym otoczeniu, czuł że nie uda mu się tego osiągnąć, lecz poza tym otoczeniem nie chciał tego osiągnąć. Nie zastanawiał się dlaczego to odrzuca, ale czuł, że tam gdzie nie byłoby ludzi mu bliskich, on sam byłby jakimś cudzoziemcem. Toteż kiedy Omar nieprzytomny z wściekłości i rozpacz y chronił się w ramiona Dar Sbitar, wchodził wówczas w drgającą duszę kraju. Dzieciństwo opadało z niego; był po prostu rewoltą i krzykiem wśród wszystkich rewolt i wszystkich krzyków.

Zdarzyło mu się kilka razy, że pociągnięty ciekawością oddalił się od bandy dzieciaków ze swojej dzielnicy. Pewnego dnia, opuściwszy kolegów kręcił się w okolicach Hali Targowej; potem siadł na ławce na Placu Gminnym. Przechodnie przecinali w różnych kierunkach ten plac, ocieniony platanami. Omar zauważył jakiegoś zbliżającego się mężczyznę: był to Europejczyk, któremu towarzyszył mały chłopiec. Omar, zdziwiony zbliżeniem się Francuza i jego dziecka, zaniepokojony i ogarnięty niejasną obawą, chciał wstać i oddalić się. Ale mężczyzna kazał mu iść razem z nimi na rynek i nieść im paczki.

Omarowi nieraz się zdarzało, że Europejczycy wzywali go charakterystycznym psykaniem, którym zwykle przywoływali tubylców: pst, pst!

Odwracał się aby zobaczyć, czego od niego chcą. Wówczas Francuz dawał znak:

— Chodź nosić.

Trzymając swego chłopca za rękę, mężczyzna długo i niezdecydowanie przyglądał się Omarowi. On zaś poczuł się tak, jakby go nagle oparzano. Uczucie wstydu i poniżenia zapiekło jak rana. Czuł, że czerwienieje. Omar umiał już mówić po francusku. Potrafiłby powiedzieć, że nie jest tragarzem, albo, że nie podoba mu się kiedy go biorą za takiego. Lecz nie mógł wykrztusić ani słowa. Opuściła go nagle cała znajomość francuskiego.

Wyjął wreszcie zdławionym głosem.

— Oui Monsieur.

Ale mężczyzna zaczął mu się przyglądać z nieufnością. Zapytał ile będzie kosztować kurs. Dziecko odpowiedziało:

— Według uznania, Panie.

Pan zdawał się uspokajać. Polecił mu iść za nimi; za nim i jego synem, — No to chodźmy — zakończył.

Omar ruszył w ich ślady. Po przyśściu na rynek, na którym kupowali przede wszystkim Francuzi, mężczyzna napelił niesioną przez Omara siatkę jarzynami i owocami. Takich jarzyn i owoców nie bywało na muzułmańskim rynku. Siatka ciążyła ołowiem w rękach Omara. Dzieciak, dobywając wszystkich sił, dzielnie dźwigał ten ciężar i sztywno wyprężony kroczył za dwoma Europejczykami.

Pan pomógł Omarowi umieścić siatkę na barkach i kazał mu iść przodem.

Omar ruszył bez słowa, starając się nie stracić równowagi. Teraz bał się tylko spotkać kogoś z kolegów, którzy tak dziwili go tym, że zgadzali się na rolę tragarzy. Zarzucili by go teraz kpinami. Ogarnął go straszny smutek.

Wstąpiwszy jeszcze po drodze do sklepu korzennego, przyszedł na koniec przed jakąś willę.

Najpierw ojciec z synem weszli do środka, potem skinęli na Omara, aby także wszedł. Mężczyzna, niezgrabnie tkwiący na krótkich nogach uważał na jego ruchy. Wyciągnął z kieszonki jakąś monetę, którą wsunął Omarowi do ręki, tak jakby to była jałmużna. Jeden frank. Dzieciak nie wiedział, czy trzeba przyjąć czy odrzucić ten datek. Nie poruszył się. Mężczyzna wydawał się zadowolony. Zapytał Omara?

— Jak się nazywasz? Co robi twój ojciec?

Rzekł to mimochodem, z roztargnieniem, aby tylko coś powiedzieć.

Omar odpowiedział, że jego ojciec nie żyje.

— A ile masz lat? — ciągnął mężczyzna.

— Jedenaście.

Mężczyzna zauważył w westybulu swego syna trzymającego dużą książkę z obrazkami.

— Popatrz Jean Pierre — powiedział — ten chłopiec jest prawie w tym samym wieku co ty.

Po czym zwracając się do Omara:

— Gdzie nauczyłeś się mówić po francusku?

— W szkole, Panie.

— Ach, to ty chodzisz do szkoły.

— To znaczy... chodziłem do szkoły.

Pozbywszy się wzruszenia Omar ciągnął dalej.

— Ale musiałem przestać.

— Trzeba żyć — stwierdził sentencjonalnie mężczyzna.

— Widzisz — zwrócił się do syna — ten chłopiec nie może chodzić do szkoły, bo musi pracować...

I dalej, tym samym roztargnionym tonem, jakby niechętnie pytał:

— A ile możesz zarobić w ciągu dnia?

Omar musiał skłamać.

— To zależy, Panie. Jeżeli mam dużo klientów, to do dwudziestu i trzydziestu franków.

— Dwadzieścia i trzydzieści franków!

Mężczyzna jakby się obudził trochę ze zdziwienia.

— Dwadzieścia, do trzydziestu franków — powtórzył Omar.

Mężczyzna był zбитy z tropu. Poczul się zaniepokojony. Zdawał się pytać sam siebie, co ten mały tubylec myśli sobie o nim.

— Oczywiście zanosisz wszystkie pieniądze matce. Nie wydajesz ich.

— Naturalnie — odpowiedział Omar bez wahania — chyba, że dostają jeszcze napiwek.

Mężczyzna znów był zaskoczony. Energicznym potakiwaniem głowy zaczął dawać swemu synowi znaki aprobaty. Zaczynał mieć tego dosyć.

Omar z całej siły zapragnął zmiążyć tego człowieka.

Narastała w nim jakaś ponura i naga siła pozbawiona wszelkiego wzruszenia, jakaś namietność obca i dzika.

Syn milczał, ściskając w rękach swoją książkę, z wlepionymi w Omara bladymi oczami.

— A chciałbyś, mały, mieć taką książkę z obrazkami — zapytał Pan w nagłym natchnieniu, wskazując na książkę, którą trzymał jego syn.

Omar nigdy nie miał książek i nigdy nie przyszło mu na myśl, że mógłby je mieć. Nie pragnął ich zresztą, bo książki go nie interesowały.

Ale rozumiejąc jakiej odpowiedzi oczekują od niego, odparł:

— Oczywiście, tak... chciałbym... ale co zrobić?

Mężczyzna odwrócił się do swego syna.

— No, Jean Pierre: przypuśćmy, że ten mały tubylec poprosi cię o tę książkę, nie dałbyś mu jej?

— Dziecko spojrzało na ojca, potem na Omara. Z brutalną zazdrością, zabawną u tak kruchej i słabej istoty, przycisnęło książkę do siebie.

— Przypuśćmy, że on cię prosi, on, który nie ma książki...

Nie chciałbyś mu jej dać?

— Ona jest moja — zajęczał chłopiec i skrzywił się.

Mało brakowało a byłby się rozpłakał.

— Ona jest twoja, tak... nie mówię, że trzeba mu ją dać. Jakiś ty głuptas — ofuknął go ojciec — ten chłopiec jej nie potrzebuje.

Dziecko w dalszym ciągu miało zaniepokojoną minę.

— Przecież nie powiedziałem ci, że trzeba mu ją dać.

— Książka jest moja — powtórzył syn z uporem.

— Ależ oczywiście... jest twoja... I nikt nie chce ci jej zabrać.

— Nie szkodzi — przeciął Omar — wszystko jedno nie miałbym czasu na czytanie... — On, na odwrót...

Ojciec uśmiechnął się z ulgą. Ale dziecko nie było jeszcze całkowicie upewnione. Nadal zachowywało przerażoną minę i wydawało się gotowe do płaczu.

— Widzisz, ten chłopiec ma lepsze serce od ciebie — powiedział ojciec — jest biedny, a mimo to nie chce twojej książki... ale za każdym razem kiedy będziesz kaprysił i narzekał... będziesz musiał przypomnieć sobie, że jest dużo dzieci, które pracują i które nie mają książek, ani innych zabawek.

— Książka jest moja — powtórzył uparcie syn.

— Tak, jest twoja — westchnął ojciec.

Spojrzał na zegarek i rzekł do Omara:

— Zynkaj, mały.

Otworzył mu drzwi, Omar przeskoczył próg i wybiegł.



ilust. Mireille Mialhe



Ust - 8 łowi na Mittelbangu

KRYSTYNA PROCNER

HALLO Korab radio, hallo Korab radio — tu 24-ry, tu 24-ry. Hallo 24-ry Ust — 24-ry odpowiada Korab radio, odpowiada Korab radio. Odbiór.

Korab radio — tu 24-ry — dwie skrzynki, dwie skrzynki — jeden hol, jeden hol — dwie godziny, dwie godziny. 24-ry Korab radio, 24-ry Korab radio — zróbcie drugi hol, zróbcie drugi hol. Wracajcie do bazy, wracajcie do bazy. Do zobaczenia w porcie. Koniec...”

Kierownik działu połowów nerwowo bębni palcami po wykazie meldunku. Szóstka ma sześć śledzi i sześć dorszy. Czternastka trzy skrzynki. Trzynastka dwie skrzynki.

— Psiakość. Co nas podkuśiło z tym pójściem na Jackowo. Na Mittelbangu byłoby już parę ton. No tak — ale ta niepewna pogoda.

Na ścianie pokoju wykaz wykonania planu przez bazy rybołówstwa morskiego: Dalmor, Arka i dopiero Korab — 44,8 procent. A do końca miesiąca zaledwie dziesięć dni. Przez blisko tydzień szalejący na Bałtyku sztorm zatrzymywał kutry w porcie. A dziś do tego taka kłapa.

Powiada, co prawda nie bez racji, szyper Jarnakiewicz, że ryba na pokład nie wskoczy jeżeli za nią nie pochodzisz. I otóż to. Trzeba było od razu pójść na najlepsze łowisko — na Mittelbang.

Kierownik działu połowów odwołuje kutry do portu.

Jest godzina 12.15-cie. W głośniku odzywa się po niemiecku spokojny męski głos. Rugia podaje prognozę pogody. W miarę słuchania kierownik uśmiecha się. Sztormu chyba nie będzie.

Od morza, mimo słonecznej pogody wieje ostry zimny wiatr. Krótkie, szybko nadbiegające jedna po drugiej fale rozbijają się bryzgami piany o ściany falochronów. W dali, gdzieś niedaleko linii horyzontu — drobne, czarne punkciki z cienkimi, sterczącymi w górę patyczkami jeden, dwa, trzy, cztery. Kutry wracają...

Od strony portu idą powoli grupki rybaków. Tematem rozmów rzecz jasna — nieudany połów.

Szyper Jarmakiewicz ucina krótko dyskusję. — Tak już z tą rybą jest. Trzeba odrobić dzisiejsze niepowodzenie na Mittelbangu. — Poczekajcie chłopcy pójdę do połowowego dowiedzieć się co z wyjazdem.

* * *

Wysoki, szczupły młody mężczyzna energicznym ruchem otwiera drzwi.

— Nie ma inżyniera?

— Jest przy radiu.

Szyper przechodzi do następnego pokoju.

— Dobrze, że już jesteście. Przygotujcie się szybko. Trzeba jak najszybciej wyjść na morze — wita Jarmakiewicza kierownik połowów.

— Trzeba było od razu iść na Mittelbang pani Mario... Pani Mario?... W bazie, niemal wszyscy tak mówią o kierowniku połowów o inżynierze. Wyobrażaliśmy sobie, że ów kierownik połowów — to stary wilk morski,

o czerniałej od wiatru i słońca twarzy, z wygiętą fajeczką w zębach. A tymczasem... Kierownik wydziału połowów ma jasne blond włosy, starannie związane w duży kok — ładne, niebieskie oczy i drewniane koralety na szyi.

Jest młoda, pełną wdzięku kobieta. Pani Maria — a oficjalnie mówiąc inżynier Rzepecka — skończyła dwa lata temu wydział rybacki na warszawskim SGGW-u. I prosto ze szkoły przyszła do Korabia w Uście na kierownika wydziału połowów. Kilkanaście kutrów, kilkudziesięciu ludzi załogi — tak w skrócie wygląda gospodarstwo inżynierki Rzepeckiej. I trzeba powiedzieć, że rządzi tym swoim gospodarstwem twardą ręką.

Niejedynemu doświadczonemu rybakowi rumieni się po uszy pod wpływem pełnych wyrzutu, często nawet ostrych słów pani Marii. Ale inż. Rzepecka potrafiła również zdobyć sobie uznanie i sympatię wszystkich załóg. Wśród rybaków mówi się o niej krótko — równa baba...

Inż. Rzepecka wydaje ostatnie polecenia. Trzeba przygotować sprzęt, zaprowiantować kutry, zrobić odprawę załóg.

W białym „Domu Rybaka“, na pierwszym piętrze, pokój numer jeden zajmuje szyper kutra Ust-8, kierownik zespołu numer 23 porucznik Wielkiej Żeglugi, Kazimierz Jarmakiewicz.

Starannie zasłane łóżko osłaniają białe firanki, na podłodze miękki chodnik. W oknach firanki zrobione z sieci rybackiej. Na ścianach — honorowe dyplomy i proporzyczki. Już od dwóch kwartałów kuter i zespół

Jarmakiewicz zajmuje pierwsze miejsce wśród rybaków całego wybrzeża.

Na stołach książki, zeszyty, rulony map, cyrkle, kątomierze. Jarmakiewicz, mimo wielomiesięcznych kursów dla szyprów, stale studiuje. Szyper uważa — że „na nosa“ ryby nie znajdziesz. Rybołówstwa trzeba się uczyć z książką w ręku.

Zresztą uczy się nie tylko sam, uczy także innych. Po każdej wyprawie z połowu odbywają się pod jedynką narady. Jarmakiewicz przekazuje kolegom swoją wiedzę i doświadczenia. Nim będzie mógł odejść z „Korabia“ musi wpierw wyszkolić nowych, dobrych szyprów. Wkłada w to dużo trudu i cierpliwości. Szypra Jarmakiewicza poznajemy jeszcze z jednej strony — jako troskliwego syna.

O umówionej godzinie, w Gdańsku, starsza kobieta nastawia radio na krótkie fale.

— Dzień dobry mamusiu. Jesteśmy znowu na morzu. Czuję się świetnie.

Szyper rozmawia z matką z pokładowej radiostacji. Uspokaja matczyne serce. Morze bowiem zabrało jej męża. Ojciec był pierwszym nauczycielem syna. Gdy zginął, matka nawet słyszeć nie chciała, by syn został rybakiem.

Matka może być dumna ze swego syna — to jeden z najlepszych polskich rybaków.

A szyper Jarmakiewicz ma dopiero dwadzieścia trzy lata.

Na masztach zapalają się światła. Raz po raz odzywają się motory. Niebo jest ciemne, pochmurne. Głucho huczy morze, gwiżdże wiatr.

Następnego dnia powoli poprawiła się pogoda. Południowa zapowiedź była pomyślna. Załogi były w pełnym pogotowiu. A wieczorem w „Domu Rybaka“ — zabawa. Przyjechali w odwiedzinę marynarze.

Szyper Jarmakiewicz zjawia się w galowym mundurze... Na rękawach złote naszywki porucznika, biel koszuli, gładko wygolona twarz. Za smukłą sylwetką szypra wodzą wzrokiem dziewczęta. Tańczymy. Muzyka, śmiech...

O 22-ej inż. Rzepecka otrzymuje prognozę pogody. Wstaje od stolika. — Załogi na pokład. Za godzinę odpływamy.

Grubo odziane postacie, w długich gumowych butach idą szybko w stronę portu. W „Domu Rybaka“ gasną światła. Długo jeszcze tańczą na falach światła pozycyjne kutrów. Coraz mniejsza i mniejsza. Wreszcie zostaje czarna, hucząca morzem noc. Niby dwa błękitne ogniki płoną tylko zielone i czerwone światła sygnałowe u wejścia do portu.

Następnego dnia nadchodzi mel-dunek:

„Hallo radio Korab, hallo radio Korab. Tu Ust-8, tu Ust-8. Łowimy na Mittelbangu. Jest ryba. Siedem ton, siedem ton“.



UZBECKA SRR

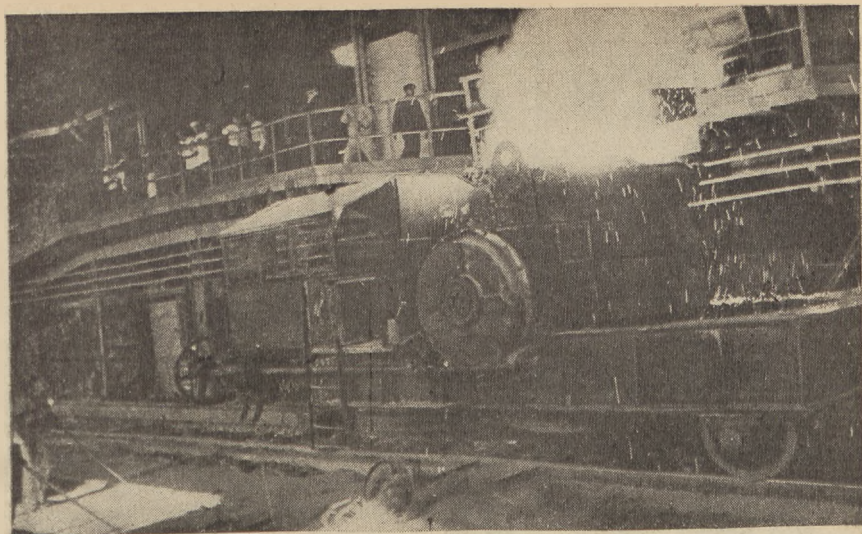
ZYGMUNT KOCZOROWSKI

GDy Irgasz Machkamow wychodzi z budynku szkoły — na ulicach Biegowatu płoną już latarnie. Wiele jest spraw, które w ciągu dnia rozstrzygnąć musi Irgasz Machkamow — dyrektor średniej szkoły im. Aliszera Nawoi w Biegowacie. Ale wracając po skończonym dniu pracy do domu lubi on pomyśleć szerzej — nie tylko o sprawach swej szkoły.

Machkamow myśli o swoim życiu i o życiu całego swego kraju — Uzbekistanu. Przechodząc ulicami miasta wspomina czasy kiedy był tu mały, zagubiony w stepie, spalony wiatrami i słońcem kiszlak. Dziś jest tu olbrzymie, przemysłowe miasto — pierwszy kombinat metalurgiczny Uzbekistanu. Wspomina dyrektor Machkamow jak w trudnych latach Wojny Narodowej rozpoczęto budowę kombinatu. — Brał czynny udział w tej budowie.

Wszędzie na każdym kroku, dożyć może Machkamow częśćkę swe-

go życia, zakrzepłą w kształcie gotowego dzieła. Blask latarni może mu przypomnieć budowę Farchadzkiej Elektrowni, szum wody w przecinających miasto kanałach, budowę biegowackiego węzła irygacyjnego. W takich chwilach szeroka ulica miasta urasta do znaczenia symbolu. Machkamow czuje, że taką właśnie szeroką drogą kroczy cały jego naród. I w myśli tej nie ma bynajmniej jakiegokolwiek koturnowego patosu — jest to prosta życiowa prawda, którą odczuwa każdy Uzbek. W ciągu kilkudziesięciu lat, w ciągu okresu czasu nie obejmującego nawet połowy życia jednego pokolenia — Uzbekistan i wszyscy jego obywatele przeszli drogę kilku historycznych epok. Feudalny kraj stał się krajem socjalizmu. Rozbity na szereg plemion naród uzbecki uzyskał swoje narodowe państwo, zdobył więź wspólnej narodowej gospodarki i narodowej, bujnie dziś rozwijającej się kultury.



Ogólny widok oddziału pieców martenowskich w Uzbekich Zakładach Metalurgicznych

Uzbekistan dzisiejszy to kraj potężnego przemysłu, posiadający około tysiąca poważnych zakładów przemysłowych. W ciągu lat władzy radzieckiej obok Biegowackiego Kombinatów Metalurgicznego i Elektrowni Farchadzkiej wyrosło tu Angreńskie Zagłębie Węglowe, wzbily się w niebo wieże szybów naftowych, ruszyło ponad 150 fabryk włókienniczych, jedwabniczych i odzieżowych. Przemysł chemiczny z czyrchyskim kombinatem elektrotechnicznym im. Stalina na czele produkuje setki tysięcy ton nawozów azotowych i fosforowych na potrzeby socjalistycznego rolnictwa. Kilkadziesiąt fabryk budowy maszyn dostarcza krajowi obrabiarzek, silników, koparek, maszyn drogowych i rolniczych.

Spalone, bezwodne niegdyś stepy przecięły srebrzyste żyły kanałów

nawadniających. Podstawą tego systemu irygacyjnego jest 270-kilometrowy Wielki Kanał Fergański i ponad 20 innych wielkich kanałów.

W ślad za wodą do kiszlaków Uzbekistanu popłynęła energia elektryczna. Zbudowano tu, poza centralną Farchadzką Elektrownią, około 800 wielkich i małych elektrowni doprowadzających światło i siłę do wszystkich zakątków kraju.

Wspaniale rozbudowany system kanałów nawadniających, energia elektryczna i rozwinięty przemysł maszynowy stworzyły podstawową bazę na której rozwinęło się w Uzbekistanie socjalistyczne rolnictwo. Uzbeka SRR jest najpoważniejszym producentem bawełny w Związku Radzieckim. Zbiory tego „białego złota” dochodzą tu do 30 i 40 a w przodujących kolchozach do 90 a nawet 100 kwin-



Tama Farchadzkiej Elektrowni Wodnej na rzece Syr-Daria

zgodnie z postulatami rządu i partii produkcja bawełny wzrosła o 1,8 mln. ton, osiągając ogólną sumę 4,2 mln. ton. Powierzchnia uprawy w tym okresie wzrosła z 1.148.600 ha do 1.380.000 ha. Nastąpił dalszy rozwój szerokiego systemu nawadniającego. Na obszarach, które z dawnych dni zachowały nazwę Głodnego Stepu, w Dolinie Fergańskiej i Zierawszańskiej, w obwodach: Surchan — Daryńskim, Kaszka — Daryńskim i Chorezmskim, w Autonomicznej Republice Kara — Kałpakii nowe arterie kanałów nawadniających, kierowane gospodarną ręką radzieckiego człowieka, zasilały w wodę 600 tysięcy ha nowych ziem.

Wielka ofensywa gospodarcza, mająca na celu dalsze podniesienie poziomu upraw i hodowli, obejmuje dziś wszystkie dziedziny życia Uzbekistanu. W zakładach przemysłowych konstruuje się i wprowadza do produkcji nowe typy maszyn rolniczych, w szkołach i zakładach naukowych kształci się tysiące nowych, wysoko wykwalifikowanych specjalistów rolnictwa i mechanizatorów rolnych.

A cel tej wielkiej ofensywy? Irgasz Machkamow najlepiej to może wytłumaczyć mierzając ogrom zadań skalą prac już wykonanych i widząc jak każdy rok pracy narodu uzbeckiego podnosi poziom życia każdego Uzbekka. Dumny jest ze swego życia Irgasz Machkamow.

W zestawieniu z olbrzymimi sukcesami, które w ciągu lat władzy ra-

tali z ha. Drugą dziedziną, w której przoduje gospodarka rolna Uzbekistanu, jest hodowla. Uzbecka SRR skupia około 60% produkcji radzieckich karakulów.

W ubiegłym roku, oceniając wspólnie warunki jakie posiada Uzbekistan dla rozwoju upraw bawełny, rząd radziecki i partia postawiły przed narodem uzbeckim nowe, poważne zadania. W latach 1954—1958



Na plantacjach bawełny w Uzbekistanie. Na zdjęciu kotchożniczka Raimowa, która zobowiązała się zebrać w tym sezonie 15 ton bawełny.

dzieckiej własnymi rękami wywalczył zacofany niegdyś naród uzbecki, w zestawieniu z tymi olbrzymimi zadaniami, które dziś naród ten z pełną wiarą w swe siły podejmuje — prosta i zrozumiała jest duma dyrektora biegowackiej szkoły Irgasza Machkamowa. Tę dumę, tę nierozelwalną więź ze sprawami całej swej ojczyzny odczuwa każdy Uzbek. Wyraża ją może najlepiej codzienna troska o sprawy produkcji. Tu każdy człowiek produkując dla kraju czuje, że produkuje dla siebie, że tworzy swoje własne życie.

Ta dumna i twórcza troska dzwieczy w utworach literackich i muzycznych nowego Uzbekistanu, ją wyrażają w mowie barw i kształtów plastycy uzbecy. W tej dziedzinie zresztą naród uzbecki jest wybitnie uzdolniony. Poezja i pieśń są nierozłącznie związane z życiem każdego Uzbeka.

W fabrykach, na kołchozowych polach, na budowach rodzą się nowe, piękne wiersze i pieśni o wielkim życiu uzbeckiego narodu.

Rozwój szkolnictwa przyczynił się do bujnego wzrostu uzbeckiej kultury. W kraju, gdzie jedyną drogą przekazywania wiedzy o życiu była ustna opowieść czy pieśń, ukazują się dziś wielomilionowe nakłady książek, wychodzi 116 gazet. W kraju, gdzie przed Rewolucją Październikową zaledwie dwa procent ludności umiało czytać, dziś nie ma ani jednego analfabety. Do szkół uczęszcza ponad 1.500.000 dzieci. Ponad 26 tys. młodzieży kształci się w 34 wyższych uczelniach i 92 średnich szkołach technicznych.

Poważny wzrost kadr inteligencji pozwolił na szerokie rozwinięcie pracy naukowej. Istnieje tu dziś Akademia Nauk, której podlega 95 instytutów naukowo-badawczych.

O niesłychanie ożywionym życiu kulturalnym Uzbekistanu świadczy istnienie ponad 3 tys. domów kultury i klubów, około 800 kin, 1.315 bibliotek, 16 muzeów, 27 teatrów i konserwatoriów.

Rośnie, rozwija się radziecki Uzbekistan, rozwijają się jego ludzie. Sławne stają się ich imiona, otacza ich wdzięczność i szacunek wszystkich narodów radzieckich. Znane jest szeroko imię laureata Nagrody Stalinowskiej, znakomitego plantatora bawełny i mistrza polowych systemów nawadniających — Nazara Ali-Nijazowa. Znane jest w literaturze światowej imię wybitnego pisarza uzbeckiego laureata Nagrody Stalinowskiej Ajbeka. Znane jest ludziom wielu krajów imię znakomitej tancerki — laureatki Nagrody Stalinowskiej Tarmary Chanum. Wieloma takimi ludźmi chlubić się dziś może radziecki Uzbekistan. I dlatego nie mogą niktogo dziwić dumne słowa ludowego artysty Uzbeckiej SRR — laureata Nagrody Stalinowskiej Muchtara Aszrafi, który dowiedziawszy się, że przedstawiciel Anglii w ONZ pan Mac Donald podał w wątpliwość równouprawnienie narodów w ZSRR — napisał:

„Panowie Mac Donaldowie, Churchill, Hearstowie!... wy najprawdopodobniej słabo znacie geografię... spojrzcie na mapę radzieckiego wschodu z okresu powojennej pięciolatki. Z północy na południe, ze

wschodu na zachód przecięły ją trasy kanałów. Tam, gdzie były niegdyś pustynne stepy, dziś zielenieją się lasy ochronne, srebrzą się nowe plantacje bawełny. Mieni się nasza mapa gęsto rozszanymi znakami — wież naftowych, wyciągów kopalnianych, masztów linii wysokiego napięcia, sylwetkami fabryk i zakładów przemysłowych. Na miejscu starych kiszlaków wyrosły miasta. Każdy nowy rok jest nowym sukcesem uzbeckiego narodu, rezultatem mądrej polityki naszej partii...”

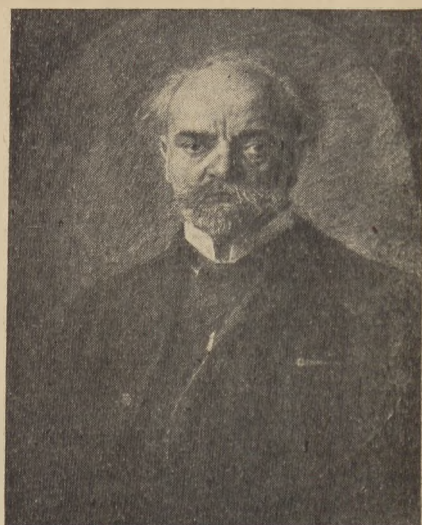
W salach i na korytarzach biegowackiej szkoły Irgasza Machkamowa wiszą na ścianach mapy, podobne do tej, którą opisał Muchtar Aszrafi. Z każdym rokiem, z każdym miesiącem przybywa na nich znaków. I patrząc na rysujące się na geograficznej siatce kontury nowych budowli, na obszary nowych pól uprawnych, na nowe odrośle sieci irygacyjnej — Irgasz Machkamow prostuje plecy i podnosi czoło: widzi w nich obraz przyszłości — swojej i narodu.



Przedszkole przy Taszkienckich Zakładach Tekstylnych im. J. Stalina

ANTONI DWORZAK

(1841 — 1904)



POLSKI Komitet Obróńców Pokoju w myśl uchwały Światowej Rady Pokoju przystąpił do organizowania obchodów rocznic, przypadających na 1954 r.

W dniu 8 maja odbył się w Filharmonii Warszawskiej uroczysty obchód ku czci Antoniego Dworzaka. Na koncercie, który odbył się przy szczelnie wypełnionej sali, obecni byli przedstawiciele rządu PRL, ambasador Czechosłowacji i cały korpus dyplomatyczny, akredytowany w Polsce. Program koncertu obejmował następujące utwory Dworzaka: „Karnawał”, „Koncert skrzypcowy” i V Symfonię „Z Nowego Świata”. Okolicznościowe przemówienie wygłosił prezes PKOP Jarosław Iwaszkiewicz oraz specjalnie przybyły na uroczystość prof. Vaclav Dobias, przewodniczący Czechosłowackiego Związku Kompozytorów. Solistą koncertu był Aleksander Płoczek, znany skrzypek czechosłowacki.

Poza tym PKOP przeprowadza szeroką akcję, popularyzującą twórczość Dworzaka za pośrednictwem prasy codziennej, pism, poświęconych muzyce oraz wielu organizacji i związków.

Z inicjatywy Centralnego Zarządu Teatrów, Oper i Filharmonii twórczość Dworzaka wejdzie w tym roku do programu wszystkich orkiestr symfonicznych i zespołów kameralnych, a ruch amatorski również włączył utwory chóralne Dworzaka do swego repertuaru.

Poważną rolę w popularyzacji twórczości Dworzaka odegra Polskie Radio, które transmitowało już koncert z Filharmonii Warszawskiej. W maju Polskie Radio nadawało stałe audycje, poświęcone twórczości Dworzaka. M. in. 24 maja nadano specjalną audycję operową, a w czerwcu, poczynawszy od dnia 3 bm. co czwartek Polskie Radio nadaje kolejną symfonię tego wielkiego kompozytora.

Staraniem Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Państwowego Instytutu Sztuki wydano oryginalną monografię Dworzaka, a na łamach miesięcznika „Muzyka” ukaże się artykuł, poświęcony twórczości Dworzaka. Prasa codzienna zamieściła porównałą ilość artykułów o Dworzaku.

Klub Międzynarodowej Prasy i Książki przy współudziale Czechosłowackiego Ośrodka Informacyjnego zorganizował 10 maja uroczysty wieczór ku czci Dworzaka z udziałem czechosłowackiego Kwartetu Instrumentalnego.

FAKTY Komentarze



AGONIA RZĄDU LANIELA

DZĄD Laniel, który znajduje się u władzy od roku, dogorywa i prawdopodobnie nie przetrwa długo pierwszej rocznicy swojego istnienia. W obu kwestiach, które decydują obecnie o stanowisku francuskiej opinii publicznej, a tym samym o stosunku Zgromadzenia Narodowego do rządu Laniel — w kwestii zakończenia wojny w Indochinach i w kwestii ratyfikacji układu o „europejskiej współpracy obronnej“, bieg wydarzeń podważył wątpliw już przedtem autorytet rządu Laniel.

W dniu 6 maja premier Laniel postawił w Zgromadzeniu Narodowym kwestię zaufania, domagając się odświeżenia na czas nieokreślony debaty Zgromadzenia nad sprawą Indochin. Postawienie przez Laniel wówczas sprawy zaufania było po prostu politycznym szantażem. Laniel uzyskał poparcie Zgromadzenia Narodowego wyłącznie ze względu na obawy, że ewentualny kryzys rządowy wpłynąłby na opóźnienie rozmów genewskich w sprawie Indochin, a tym samym spowodowałby zwłokę w zawarciu oczekiwanego powszechnie we Francji zawieszenia broni. Przed głosowaniem Laniel zaapelował do Zgromadzenia Narodowego, by mu nie przeszkodziło — jak się wyraził — „w nawiązaniu kontaktu z Ho Szi Minem“, którego to kontaktu — nota bene — wcale nie nawiązał. Niektóre prawicowe grupy polityczne Zgromadzenia Narodowego,

mimo że potępiają politykę rządu w sprawie Indochin, głosowały wobec tego na rzecz zaufania dla Laniel.

W tych warunkach Laniel uzyskał votum zaufania, zdobywając 49 głosów większości. Angielska agencja Reutersa stwierdziła, że uzyskana przez Laniel większość „nie tyle świadczy o zaufaniu dla rządu, ile o powszechnym pragnieniu nieprzeszkodzenia rozmowom genewskim“. A amerykańska „United Press“ przyznała, że lansowane przez delegację francuską w Genewie wiadomości o rzekomym nawiązaniu kontaktu z delegacją Wietnamskiej Republiki Demokratycznej „były tym czynnikiem, który w największym stopniu przyczynił się do zwycięstwa Laniel“.

Burżuazyjny „Combat“, stwierdzając, że bez względu na wynik debaty w Zgromadzeniu Narodowym, „opinia publiczna wydała już swój sąd“, napisał: „Czy ludzie ci (tzn. Laniel, Bidault, Plevin et consortes) mogą wierzyć chociażby przez chwilę, że kraj może obdarzyć ich swym zaufaniem? W jaki sposób po tylu kłamstwach na przestrzeni 7 lat mogliby oni jeszcze nie wiedzieć o tym, że wszystkie ich słowa są traktowane podejrzliwie, że gdy mówią o pokoju, to opinia publiczna zdaje sobie sprawę z tego, że czyni ich nie będą odpowiadać tym przemówieniom? W jaki sposób człowiek (tzn. Bidault), który przed kilku dniami usiłował rozpętać wojnę między Chinami a Ameryką, mógłby żywić nadzieję, że uda mu się przekonać kogokolwiek o swej woli pokoju?“

Komentator radia brytyjskiego Bartel wyraził po upadku Dien Bien Fu pogląd, że Laniel i Bidault mieli szczęście, iż votum zaufania w dniu 6 maja głosowane było 24 godziny przed kapitulacją Dien Bien Fu, inaczej bowiem rząd Laniela, Bidault i Plevana nie przetrwałby wiadomości o upadku Dien Bien Fu. Adenauerowska „Berliner Morgenpost“ dowcipnie zauważyła, że „jeśli pewnego dnia obublikowana zostanie lista strąt z Dien Bien Fu, to według wszelkiego prawdopodobieństwa na początku figurować będą dwa nazwiska: Georges Bidault i Rene Plevan“.

Istotnie, gdy w tydzień później, w czwartek 13 maja, po kapitulacji Dien Bien Fu, która spowodowała ponowne żądanie parlamentu odbycia dyskusji w sprawie Indochin, Laniel postawił kwestię zaufania, aby znowu odroczyć dyskusję nad sytuacją w Indochinach, większość jego zmalała do dwóch głosów. 289 głosów za Lanielem, a 287 głosów przeciwko niemu. Konserwatywny Figaro oświadczył, że „po takim głosowaniu w rzeczywistości nie można mówić o zaufaniu“. Burżuazyjny „Franc Ti-reur“ napisał: „Dwa głosy większości! Ten rezultat odpowiada dokładnie autorytetowi, jakim rozporządza rząd“. Amerykańska „United Press“ zauważyła: „Po 321 dniach pozostawania przy władzy autorytet Laniela zmniejszy się prawie do zera i o ile konferencja genewska nie przyniesie jakichś cudów, to po jej zakończeniu przewiduje się nowy wybuch“.

Głosowanie nad votum zaufania dla Laniela w dniu 13 maja, które wykazało znikomą większość dwóch głosów, zaktualizowało w praktyce ponownie kryzys rządowy. Wśród 287 głosów przeciwko Lanielowi znaleźli się bowiem nie tylko komuniści i pravicowi socjaliści, ale również większość deputowanych gaullistowskich, co stawia pod znakiem zapytania sprawę dalszego pozostawiania pięciu ministrów gaullistowskich w składzie rządu Laniela.

Nie ulega wątpliwości, że tak oczywista słabość rządu Laniela odbić się musiała także na sprawie ratyfikacji układu o „europejskiej wspólnotcie obronnej“ przez francuskie Zgromadzenie Narodowe. Rząd bowiem, którego autorytet spadł prawie do zera, nie może być skutecznym szermierzem ratyfikacji układu, odrzucanego przez olbrzymią większość narodu francuskiego. W związku z tym w przeddzień wyznaczonego na 18 maja posiedzenia Konwentu Seniorów Zgromadzenia, na którym rząd miał wystąpić z sugestią daty dla rozpoczęcia debaty ratyfikacyjnej przez Zgromadzenie, Laniel z własnej inicjatywy posiedzenie to odwołał. Sytuacja polityczna zmusiła Laniela do przyznania w ten sposób, że przy układzie sił, jaki się w Zgromadzeniu ujawnił, nie może on liczyć na powodzenie w debacie ratyfikacyjnej. Wyjaśniając przyczyny decyzji Laniela, paryski „Monde“ podkreśla, że rząd który otrzymał zaledwie dwa głosy większości w głosowaniu nad votum zaufania, nie może sobie pozwolić na debatę nad sprawą tak niepopularną, jak problem „europejskiej wspólnoty obronnej“. Zaś „Agence Economique et Financière“ wyrażając opinię wielkiej burżuazji, napisała: „Laniel uzyskał votum zaufania w takich warunkach, że jest ono bliższe potępienia jego polityki niż aprobaty“. „Wydaje się coraz bardziej niemożliwe — pisze agencja — aby rząd tak osłabiony mógł pretendować do postawienia przed Zgromadzeniem Narodowym równie skomplikowanego problemu jak sprawa armii europejskiej i w ten sposób zaangażować na lat 50 Francję i Unię Francuską w to, co jeden z deputowanych nazwał — tunelem, do którego wejście znajduje się w rękach Stanów Zjednoczonych, a wyjście w rękach Niemiec“. Konserwatywny dziennik „Figaro“, należący do obozu najbardziej zagrzążonych zwolenników „europejskiej wspólnoty obronnej“, pisze: „Rząd pozostał przy życiu dzięki dwóm głosom większości. Ponieważ nie chce

on dopuścić do swego upadku, uni-
ka wszystkiego, co mogłoby spowo-
dować nowe wstrząsy. Debata w
sprawie Europejskiej Wspólnoty O-
bronnej została więc znów odroczo-
na, co nie ułatwi sytuacji. Od czasu,
jak problem Europejskiej Wspólnoty
Obronnej zaczął butwieć, rozbieżno-
ści stale się pogłębiały. Stanowisko to
jest tym bardziej godne ubolewania,
że ostatnie wybory uzupełniające
wskazują, iż opinia publiczna coraz
bardziej oddala się w sprawie Euro-
pejskiej Wspólnoty Obronnej od sta-
nowiska oficjalnych przedstawicieli”
— biada „Figaro”. A o tym, jak da-
lece zawiedziony jest rząd amery-
kański, świadczy minorowy artykuł
„New York Timesa”, który stwierd-
za, że „decyzja Francuzów wobec
układu o Europejskiej Wspólnocie
Obronnej, od którego zależy postęp
na drodze wiodącej ku jedności eu-
ropejskiej, znów została odroczone
na kilka miesięcy”. Powód jest zda-
niem „New York Timesa” jasny, a
mianowicie: „Przyczyną jest kryzys
w Indochinach, który w ciągu krót-
kiego czasu dwukrotnie przywiódł
rząd francuski blisko granicy upad-
ku. Teraz rząd boi się zaryzykować
nowy kryzys, tym razem w kwestii
Europejskiej Wspólnoty Obronnej”.
Głosy te dowodzą, że rząd Laniel
sztucznie utrzymuje się przy życiu,
ale dni jego żywota są policzone.

CZY NOWA ORIENTACJA W BONN?

W Niemczech zachodnich rośnie
przekonanie, że nie należy się dać
ubiec innym burżuazyjnym pań-
stwom Zachodu w nawiązywaniu
stosunków handlowych ze Wscho-
dem. Zwłaszcza koła gospodarcze
Niemiec zachodnich coraz natar-
czywiej domagają się od rządu Re-
publiki Federalnej ułatwienia im
nawiązania tych stosunków.

Na tym tle wzrasta obecnie w
Niemczech zachodnich prąd za na-
wiązaniem stosunków dyplomatycz-
nych ze Związkiem Radzieckim, z
Chinami Ludowymi i z krajami
demokracji ludowej. Pod presją

tej tendencji Adenauer, w czasie
odbytej na początku maja wizyty w
Hamburgu, zapytany na konferen-
cji prasowej przez dziennikarzy o
sprawę nawiązania stosunków dy-
plomatycznych z ZSRR, odpowiedzieć
miał według półoficjalnej agencji
niemieckiej DPA, że „uważa za mo-
żliwe nawiązanie niebawem stosun-
ków dyplomatycznych ze Związkiem
Radzieckim”.

Ta wypowiedź dała asumpt do
szeregu dalszych wypowiedzi polity-
ków niemieckich w Republice Fe-
deralnej na ten sam temat. Należący
do koalicji rządowej przedstawiciele
reakcyjnej Deutsche Partei, mini-
ster budownictwa Preusker oraz
przewodniczący frakcji parlamen-
tarnej DP w Bundestagu, von Mer-
katz złożyli przedstawicielowi DPA
wspólne oświadczenie, w którym —
jak podaje agencja — „domagali się
aktywniejszego włączenia Niemiec
do rozmów między Wschodem a Za-
chodem”. Politycy ci oświadczyli
m. in.: „Nie można nie zauważyć, że
zwłoka w ratyfikacji Europejskiej
Wspólnoty Obronnej i Układu Ogól-
nego wystawia na ciężką próbę prze-
konanie narodu niemieckiego co do
sukcesów oraz niezawodności poli-
tyki współpracy europejskiej. Dla-
tego też naród niemiecki czuje się
bardziej niż dotychczas zobowiąza-
ny do tego, by wziąć aktywniejszy
udział — na zasadzie równoupraw-
nienia i poczucia współodpowie-
dzialności, a jednocześnie przy ści-
słej współpracy z narodami wolnego
świata — w poszukiwaniu możli-
wości unormowania stosunków po-
litycznych między Wschodem a Za-
chodem, które to zagadnienie jest
związane również w pierwszym rzę-
dzie ze sprawą jedności Niemiec”.

Wypowiedź Adenauera i wywoła-
ne nią skutki w reakcji opinii pu-
blicznej Niemiec zachodnich wy-
wołały niepokój w kołach okupa-
tów amerykańskich. Wychodzący w
Norymberdze „Acht Uhr Blatt” na-
pisał, że zachodni Wysocy Komisa-
rze byli zaalarmowani pogłoskami o
planach nawiązania stosunków z

ZSRR i że w odpowiedzi na to „zwrócili z naciskiem uwagę na fakt, iż Republika Federalna jest nadal związana zobowiązaniami wynikającymi ze statutu okupacyjnego”. Konkretnym skutkiem tych pretensji, w pierwszym rzędzie Wysokiego Komisarza amerykańskiego, było wycofywanie się Adenauera ze stanowiska zajętego w Hamburgu. W wywiadzie udzielonym 13 maja dziennikowi „Duesseldorfer Nachrichten” na temat nawiązania stosunków dyplomatycznych z ZSRR, Adenauer, według streszczenia DPA, powiedział: „Rząd federalny nie będzie podejmował żadnych kroków w kierunku nawiązania stosunków dyplomatycznych ze Związkiem Radzieckim”. DPA podaje, iż Adenauer oświadczył poza tym, że „jego wypowiedź złożone w Hamburgu na temat możliwości nawiązania stosunków z ZSRR zostały całkiem źle zrozumiane”. Wyjaśniając, że podszedł on wtedy do tego zagadnienia raczej od strony „teoretycznej”, Adenauer dodał, że „nie jest rzeczą całkowicie wykluczoną, iż w dalszej przyszłości stosunki dyplomatyczne z Moskwą zostaną nawiązane”.

Wycofanie się Adenauera wzmocnione zostało jeszcze przez ogłoszone przez federalny urząd prasowy w Bonn oświadczenie rządowe, odrzucające nawiązanie kontaktu dyplomatycznego z ZSRR w chwili obecnej, ale stwierdzające, że „kanclerz federalny nie od dzisiaj uważa, iż z chwilą wejścia w życie Układu Ogólnego, na porządku dziennym stanie, rzecz oczywista, również sprawa nawiązania stosunków dyplomatycznych z tymi państwami, z którymi Republika Federalna nie utrzymuje dzisiaj jeszcze kontaktów dyplomatycznych”.

Od tych oświadczeń rządowych jaskrawo odbiegają komentarze prasowe, w których podkreśla się, iż za nawiązaniem rozmów ze Wschodem wypowiadają się nie tylko szerokie kółka opinii publicznej, lecz również poważne grupy w łonie koalicji rządowej. Zachodnio-niemiecka agencja

DMT stwierdziła że „w Bonn toruje sobie drogę szeroka większość parlamentarna, występująca na rzecz nawiązania stosunków dyplomatycznych z ZSRR”. Według opinii DMT — „nawiązanie więc bezpośredniego kontaktu dyplomatycznego między Bonn a Moskwą jest już tylko kwestią czasu”.

O ile chodzi o koalicję rządową, to koncepcja nawiązania stosunków dyplomatycznych ze Związkiem Radzieckim została oficjalnie przyjęta jako credo polityczne przez burżuazyjną Freie Deutsche Partei. 17 maja zarząd FDP odbył specjalne posiedzenie w sprawie nawiązania stosunków z państwami wschodnimi. W ogłoszonym potem oświadczeniu zarząd FDP poinformował o jednomyślnym przyjęciu wniosku, że „byłoby pożądane nawiązanie dyplomatycznych stosunków ze Związkiem Radzieckim”. Jednocześnie oświadczenie stwierdza, że „FDP nadal stoi na gruncie związania Republiki Federalnej z Zachodem, co w dalszym ciągu stanowić winno podstawę niemieckiej polityki zagranicznej”.

Najbardziej aktywnym propagatorem nawiązania stosunków dyplomatycznych ze Związkiem Radzieckim jest deputowany do Bundestagu z FDP, dr Georg Pfeleiderer. W wywiadzie udzielonym amerykańskiej „Associated Press” Pfeleiderer ostro wystąpił przeciwko polityce Adenauera. „Wojna — powiedział Pfeleiderer — nie jest kontynuowaniem polityki innymi środkami, lecz bankructwem dyplomacji. Niemcy przeżyły to bankructwo w pełnym tego słowa znaczeniu. Dlatego dla Niemiec istnieje tylko jedna droga. Przy pomocy środków, jakimi dysponuje dyplomacja, starać się nawiązać z całą starannością zerwane nici. Chodzi o to, by Wschód i Zachód powiązać ze sobą, gdyż tylko na drodze porozumienia Wschodu z Zachodem przy współudziale czterech mocarstw może być rozwiązane centralne zagadnienie niemieckiej polityki zagranicznej, mianowicie

zjednoczenie Niemiec". Pfleiderer na zakończenie podkreślił, iż propozycja jego zmierza do normalizacji stosunków ze Związkiem Radzieckim.

Oficjalny biuletyn FDP, nawiązujący do propozycji Pfleiderera wyjazdu parlamentarzystów z zachodnich Niemiec do Moskwy i Pekinu, stwierdza, że wizyta taka w państwach obozu wschodniego służyć by mogła nawiązaniu stosunków dyplomatycznych. Zapewniając, że FDP w dalszym ciągu stoi na gruncie „wspólnoty z Zachodem”, biuletyn podkreśla, że „nie jest rzeczą możliwą nie mieć żadnych stosunków ze Wschodem”.

Również frakcja parlamentarna BHE w ogłoszonym oświadczeniu stwierdziła, że „Republika Federalna musi mieć prawo do znormalizowania w odpowiednim czasie swoich stosunków z zagranicą i do zadecydowania w sprawie nawiązania stosunków dyplomatycznych ze Związkiem Radzieckim”. Organ BHE, „Biuletyn Związku Niemców” pisze: „Ham burska wypowiedź Adenauera wskazuje, jak mocno musieli bić pięścią w stół członkowie przedstawiciele zachodnio-niemieckich kół gospodarczych, żądając otwarcia drzwi na Wschód, aby nie pozostawić wyłącz- nie innym państwom zachodnim szerokich rynków wschodnich”. Na temat zmiany stanowiska FDP pocytna „Frankfurter Rundschau” pisze, że jest ona „wręcz sensacyjna”.

FDP przez cztery lata kroczyła śladami polityki zagranicznej Adenauera. Obecnie, gdy Stanom Zjednoczonym grozi dyplomatyczna porażka — stwierdza „Frankfurter Rundschau”, czyniąc aluzję do niepowodzenia amerykańskiego wobec słabnących widoków ratyfikacji układu o armii europejskiej w Paryżu — w Bonn następuje gwałtowna zmiana orientacji. „Im dłużej trwać będzie stagnacja polityki Europejskiej Wspólnoty Obronnej — oświadcza zachodnio-niemiecki „Tagesspiegel” — tym dobitniej wyrażać będą swoje niezadowolenie ci członkowie koalicji

bońskiej, którzy od samego początku z pewnym oporem weszli na drogę adenauerowskiej polityki zagranicznej”. Odczuwany w Ameryce niepokój wyraża „New York Times”. Przyznając, że w Niemczech zachodnich „wymaga się tendencja zrezygnowania z uprawianej przez kancлера Adenauera polityki integracji z Zachodem i nawiązania bezpośredniej łączności ze Związkiem Radzieckim w celu osiągnięcia zjednoczenia Niemiec”, „New York Times” stwierdza, że stanowisko FDP zawiera „poważne niebezpieczeństwo dla zwartości bońskiej reżimu”.

Nie należy, rzecz oczywista, przeceniać znaczenia i wartości zainicjowanej przez FDP polityki normalizacji stosunków dyplomatycznych Republiki Federalnej ze Związkiem Radzieckim. Ale nie ulega wątpliwości, że ten nowy kurs stanowi pośrednie przyznanie, iż zjednoczenia Niemiec nie można osiągnąć na podstawie wyznawanej przez Adenauera amerykańskiej „polityki siły”, lecz jedynie na drodze rokowań ze Związkiem Radzieckim. Rozłam w koalicji adenauerowskiej będzie wzrastał bo — poza oczywistym już dzisiaj, postępującym naprzód bankructwem „polityki siły” — korzyści płynące z uregulowania stosunków handlowych między Wschodem a Zachodem są dla Niemiec zachodnich tak oczywiste, że świadome tych korzyści koła gospodarcze Niemiec zachodnich coraz energiczniej domagać się będą swojego w nich udziału.

AZJA NA KONFERENCJI GENEWSKIEJ

Dotychczasowy przebieg obrad konferencji genewskiej wykazał, że rozstrzygnięcie zagadnień międzynarodowych w skali ogólnosiwiatowej nie może się odbywać pomimo lub z pominięciem Chin Ludowych oraz innych państw Azji. Okres XIX stulecia, gdy o losach Azji decydowały mocarstwa imperialistyczne, minął bezpowrotnie. Cytując przemówienie przewodniczącego rady ministrów ZSRR, Malenkowa — „odchodzi już



JANTAR

w przeszłość stara Azja, której udziałem był beznadziejny ucisk i której narody były ujarzmione przez siły obce". „Nie wolno ignorować zasadniczych zmian — powiedział Malenkow — które zaszły w Azji i w strefie Oceanu Spokojnego." Stanowisko zaś, zajmowane na konferencji genewskiej przez obóz imperialistyczny, w pierwszym rzędzie przez delegację amerykańską, wskazuje na to, że Stany Zjednoczone wciąż jeszcze nie zasądziły zmian w Azji ignorują.

Dla Stanów Zjednoczonych Azja Południowo - Wschodnia i Daleki Wschód są wciąż jeszcze obiektem imperialistycznej polityki. Zarówno w odniesieniu do zagadnienia koreańskiego jak w odniesieniu do zagadnienia Indochin, a także wobec Chin Ludowych delegacja amerykańska odrzuca wszelkie konkretne pozytywne programy pokojowego uregulowania konfliktów, stojąc uparcie na stanowisku rozstrzygania tych konfliktów z pozycji „polityki siły", tzn. przy zastosowaniu militarnej przemocy. Stany Zjednoczone dążą przy tym do tego, aby te militarną przemoc zbudować na fundamentach wkładu krwi nieamerykańskiej, usiłując zachować jedynie rolę kierowniczą i rozkazodawczą.

Przeprowadzając tę politykę, Stany Zjednoczone usiłują sabotować wszelkie zarysowujące się w Genewie możliwości kompromisowego, pokojowego uregulowania konfliktów. Zwolennicy ostrego kursu w Azji Południowo-Wschodniej jak szef połączonych sztabów amerykańskich, admirał Radford, jak zastępujący Dullesa w Genewie podsekretarz stanu, generał Bedell Smith, jak wiceprezydent Nixon, jak przywódca większości republikańskiej w senacie, senator Knowland, a wreszcie i sam sekretarz stanu Dulles oraz prezydent Eisenho-

wer wysuwają coraz to nowe koncepcje w usiłowaniach mobilizacji wrogich ruchów narodowo-wyzwoleńczemu Azji sił międzynarodowych. Czy to drogą dulesowskiej koncepcji paktu Południowo-Wschodniej Azji i Zachodniego Pacyfiku, czy to drogą separatystycznych rokowań z Francją poza plecami W. Brytanii co do warunków amerykańskiej interwencji zbrojnej w Indochinach, czy to drogą rozmów sztabowych między Stanami Zjednoczonymi, W. Brytanią, Francją, Australią i Nową Zelandią, czy to drogą podjudzania Li Syn-mana, Bao Daję lub Czang Kai-szeka do bezpośrednich aktów dywersji i sabotażu — wszystkie te drogi wykorzystywane są przez Stany Zjednoczone do jednego celu, do niedopuszczenia w Genewie do kompromisowego pokojowego załatwienia konfliktów.

Amerykańska koncepcja „polityki siły" polega również na tym, aby od współudziału w decyzjach nad sprawami Azji Południowo - Wschodniej odsunąć kraje azjatyckie, bezpośrednio w odniesieniu do tego obszaru zainteresowane, a prowadzące politykę neutralistyczną, przeciwstawiającą się amerykańskiej polityce agresji imperialistycznej, jak Indie, Indonezję, Burmę etc. Polityka amerykańska nie zważa w tym względzie nawet na specjalne powiązanie, zachodzące np. między Indiami a W. Brytanią z tytułu przynależności Indii do Wspólnoty Brytyjskiej, świadomie przyczyniając się do pogłębienia sprzeczności między Stanami Zjednoczonymi a W. Brytanią. W praktyce więc Genewa uwidoczniła, jak sprzeczne interesy mocarstw imperialistycznych w Azji prowadzą do rozbicia ich wspólnego frontu.

Konferencja genewska ukazała opinii publicznej dwa odrębne światy: świat — negujący historyczny rozwój Azji i usiłujący rozwiązać problemy azjatyckie drogą narzucenia narodom Azji zmuszających koncepcji imperialistycznych; i świat

*Polityczny „krok" min. Dullesa
rys. Jantar*

drugi — uznający walkę narodowo-wyzwoleńczą narodów Azji jako drogowskaz do rozwiązywania problemów azjatyckich z udziałem wielkich państw Azji.

Charakterystyczne pod tym względem były uwagi londyńskiej gazety niedzielnej „Observer“, która, podkreślając różnice światopoglądów pomiędzy przedstawicielami imperialistycznymi na Zachodzie a przedstawicielami azjatyckimi, oświadczyła: „Kiedy przywódcy zachodni mówią o niepowetowanej stracie, jaką spowodowałoby opanowanie Azji Południowo - Wschodniej przez komunistów, Azjaci nie może tego zrozumieć. Jak Zachód może utracić coś, co do niego nie należy? Toteż koncepcja zjednoczonej akcji państw

zachodnich dla uratowania Azji napędza go złymi przeczuciami“ — przyznaje „Observer“. Stwierdzając, że wpływ Chin Ludowych staje się w krajach azjatyckich coraz większy „Observer“ oświadcza: „Gdyby Zachód przestał bać się chińskiego komunizmu i gdyby przestał dostarczać azjatyckim reżimom, nie posiadającym poparcia swych własnych narodów, karabinów maszynowych, to mogłby uczynić godne uwagi odkrycie, że większość Azjatów w ogóle nie obawia się chińskiego komunizmu“.

Nawet w Ameryce coraz trudniej jest znaleźć poparcie dla obłądnego planu Dullesa przeciwstawiania się ruchom narodowo - wyzwolenicznym

Pałac Narodów w Genewie. Na zdjęciu: Malowidło na suficie Sali Rady, obrazujące zjednoczenie narodów





Z konferencji genewskiej. Na zdjęciu: fragment sali obrad w Pałacu Narodów

w Azji. Charakterystyczne pod tym względem było wystąpienie na łamach „New York Herald Tribune” znanego reakcyjnego publicysty amerykańskiego, Waltera Lippmanna. „Polityka wobec Azji — pisze Lippmann — jeżeli ma być skuteczna, musi się cieszyć poparciem ze strony przynajmniej części ludności azjatyckiej. Zasadniczy problem polega na tym — podkreśla Lippmann — czy do proponowanego paktu Południowo-Wschodniej Azji uda się włączyć narody azjatyckie. Jeśli da się to osiągnąć, to tylko wtedy, gdy warunki udziału w pakcie będą odpowiadać dążeniom narodów azjatyckich. Poparcia ze strony tych narodów — stwierdza Lippmann — nie można kupić. Nie można ich też zmusić do udzielenia poparcia. Nie

uda się tego osiągnąć przez wymachiwanie bombami wodorowymi, ani przez wykluczenie wszelkich metod poza wojskowymi. Cel ten można będzie osiągnąć jedynie przez wykazanie, że rozumiemy i cenimy żywotne interesy narodów azjatyckich”.

A londyński burżuazyjny „News Chronicle”, oświadczając, że „Azja kontynuuje marsz”, stwierdza: „Wobec tego historycznego faktu wszystkie inne wydarzenia międzynarodowe posiadają drobne tylko znaczenie”.

Konferencja genewska przyczyniła się do ustawienia we właściwej perspektywie znaczenia historycznych przemian w Azji.

STEFAN LITAUER



Znaczki o tematyce pokojowej w ZSRR

1934 — W dwudziestą rocznicę wybuchu pierwszej wojny światowej, poczta ZSRR wydała serię 5 znaczków antywojennych.

Te pięć znaczków w realistyczny sposób bardzo silnie obrazują wszystkie okropności wojen.

5-kopiejkowy czarny przedstawia bombę, lecącą na spokojne miasto.

10-kopiejkowy niebieski ukazuje bombardowanie bezbronnej wsi. Matka z przerażoną twarzą niesie noworodka na rękach, a dwoje pozostałych dzieci trzyma się jej ubrania.

15-kopiejkowy zielony „przed i po“ pokazuje marsz oddziałów na wojnę: ludzi zdrowych i wesółych oraz ich powrót: chorych na zawsze moralnie i fizycznie.

Znaczek brązowy 20-kopiejkowy „praca mieczem“, pokazuje bardzo wiernie proces rozkładu wojennego. Wojna przedstawiona jest w postaci żołnierza wyganiającego ludzi. Każdy jego krok przynosi zniszczenie, domy rozpadają się; ziemia staje się wymarłą. Jest to rzeczywi-

ście wspaniała kompozycja, przedstawiająca całą absurdalność wojny.

W końcu 35-kopiejkowy czerwony „braterstwo“ przedstawia zbratanie się dwóch dotychczasowych przeciwników. Ręce ściskają się na polu walki. Jeden z żołnierzy miażdży butem podżegacza wojennego, który trzyma w ręku złamaną szablę, symbolizując zwycięstwo nad wojną przez zjednoczenie wszystkich ludów.



...i w NRD

1950 — 5 lat po zwycięstwie nad faszystowskimi Niemcami, NRD wydała serię znaczków pokojowych.

Za 6 fen. niebieski, ręka przed czołgiem symbolizuje obronę przed remilitaryzacją.

Następny, za 8 fen. brązowy nie mówi o bombardowaniu, ale ukazuje dom spalony przez wojnę.

Za 12 fen. niebiesko-zielony ukazuje wybuch bomby atomowej, a za 24 fen. — czerwony, drewniane krzyże przedstawiają zwycięstwo wojny.

Na wszystkich czterech przed ręką, gołąbek z szeroko rozpostartymi skrzydłami, trzymający w dziobku gałązkę oliwną.





Mecz ZSRR — Argentyna

ROZEGRANY w marcu w Buenos Aires czterokołowy mecz dwu największych potęg szachowych świata: mistrza olimpijskiego ZSRR i dwukrotnego wicemistrza (Dubrownik 1950 i Helsinki 1952) Argentyny — było niewątpliwie jednym z najpoważniejszych tegorocznych wydarzeń w świecie szachowym. Drużyna radziecka, aczkolwiek osłabiona brakiem Botwinnika i Smysłowa, przygotowujących się jak wiadomo wówczas do meczu o mistrzostwo świata — odniosła piękny i zasłużony sukces, wygrywając to ciężkie i rozegrane w trudnym dla niej klimacie spotkanie w wysokim stosunku 20½ : 11½. Szczegółowe wyniki według kolejności szachownic ilustruje poniższa tabelka:

ZWIĄZEK RADZIECKI

	I	II	III	IV
1. Bronsztajn	1	1	0	½
2. Keres	½	½	0	1
3. Awerbach	½	½	1	1
4. Tajmanow	½	1	½	1
5. Kotow	1	½	1	½
6. Petrosjan	½	½	1	½
7. Heller	1	½	½	½
8. Bolesławski	0	½	½	1

ARGENTYNA

	I	II	III	IV
1. Najdorf	0	0	1	½
2. J. Bolbochan	½	½	1	0
3. Panno	½	½	0	0
4. Eliskases	½	0	½	0
5. Rossetto	0	½	0	½
6. Pilnik	½	½	0	½
7. Martin*)	0	½	½	½
8. Guimard	1	½	½	0

Sportowy poziom meczu, rozegranego w niezwykle serdecznej atmosferze — był niezwykle wysoki. Mecz był dużym wydarzeniem w życiu kulturalnym stolicy Argentyny i przyczynił się niewątpliwie do dalszego zacieśnienia wymiany kulturalnej między Związkiem Radzieckim i Argentyną.

Oto jedna cenna partia z tego interesującego spotkania, rozegrana w I rundzie na I szachownicy:

*) Zamiast Martina w I rundzie grał Maderna.

Partia sycylijska

Białe: **D. Bronsztajn**
Czarne: **M. Najdorf**

- | | |
|-----------|--------|
| 1. e2-e4 | c7-c5 |
| 2. Sg1-f3 | d7-d6 |
| 3. d2-d4 | c5:d4 |
| 4. Sf3:d4 | Sg8-f6 |
| 5. Sb1-c3 | a7-a6 |

Najdorf pozostaje wierny swemu systemowi (5...a6), noszącemu już w podręcznikach teoretycznych jego imię.

- | | |
|-----------|--------|
| 6. Gc1-g5 | e7-e6 |
| 7. Hd1-f3 | Sb8-d7 |

W poprzednim numerze poświęciliśmy tej ważnej pozycji debiutowej wiele uwagi, kończąc nasze wywody propozycją ruchu 7...h6!, jako prawdopodobnie najsilniejszego dla czarnych. Arcymistrz argentyński wybiera starszą kontynuację.

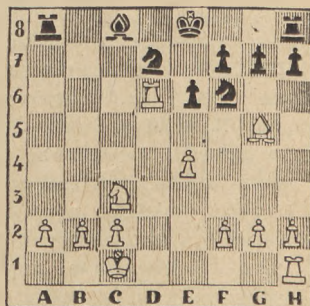
- | | |
|--------------|---------|
| 8. 0-0-0 | Hd8-c7 |
| 9. Hd3-g3 | b7-b5?! |
| 10. Gf1:b5?! | |

W komentarzach do cytowanej przez nas w poprzednim numerze partii Lubliński — Nowotelnov (ZSRR, 1952) dr Euwe uważał to poświęcenie za niepoprawne. Czyżby Bronsztajn wynalazł wzmocnienie?...

- | | |
|------------|--------|
| 10. ... | a6:b5 |
| 11. Sd4:b5 | Hc7-b8 |

Dr Euwe proponował 11... Hc5!, po czym 12. S:d6+? G:d6. 13. W:d6 jest nie dobre wobec 13. ...Sh5! Ale po 11... Hc5 białe mogą grać najpierw 12. Ge3 i następnie dwa razy zabić na d6 z analogiczną pozycją jak w partii. To właśnie posunięcie 12. Ge3 było najprawdopodobniej przygotowanym przez białe na tę ważną „okazję” wzmocnieniem.

- | | |
|-------------|--------|
| 12. Sb5:d6+ | Gf8:d6 |
| 13. Hg3:d6 | Hb8:d6 |
| 14. Wd1:d6 | |



Walka debiutowa została zakończona i partia przeszła w fazę dość jasno skryzalizowanej końcówki. Trzy związane piony białe stanowią oczywiście więcej niż dostateczną rekompensatę za ofiarowaną figurę i wszystko zależy obecnie od tego, jak szybko zdołają je białe należyście uaktywnić.

Pozycji tego rodzaju historia Partii Sycylijskiej zna bardzo wiele. Na ogół przy hetmanach na szachownicy czarne miały lepsze szanse ataku, natomiast bez hetmanów białe piony prawie zawsze silnie przeważały nad figurą. Stajemy tu przed ciekawą psychologiczną zagadką: dlaczego tak doświadczony praktyk i świetny znawca systemu jak Najdorf, doskonały taktyk, gracz ofensywny, typu kombinacyjno-atakującego — dobrowolnie ruchem 9...b5 dał lepszemu technicznie przeciwni-

kowi do ręki piękną szansę, a siebie samego skazał na niełatwą obronę, w „niemiłym“ w dodatku i raczej obcym „żywiole“ — końcówce?...

- | | |
|------------|--------|
| 14. ... | h7-h6 |
| 15. Gg5-d2 | Gc8-b7 |
| 16. f2-f3 | 0-0? |

Ciężka taktycznie pomyłka, po której partię czarnych można już właściwie uznać za bezapelacyjnie przegraną. Najdorf prawdopodobnie liczył, że pragnąc awansować piony białe muszą ogołocić nieco pozycję króla i miał nadzieję zaatakować go wówczas skutecznie swymi figurami, przy jednocześnie „zupełnie bezpiecznej“ pozycji własnego króla. W rezultacie jednak mylna rozszada jedynie odciągnęła czarnego króla od głównego teatru boju — lewego skrzydła. 16. ...Ke7 i 17. ...Wh-c8 było nieodzowną koniecznością. Być może pozycja czarnych dałaby się wówczas utrzymać.

- | | |
|------------|--------|
| 17. b2-b3 | Wf8-c8 |
| 18. Kc1-b2 | Sd7-c5 |
| 19. Gd2-e3 | e6-e5 |
| 20. Wh1-d1 | Sc5-e6 |
| 21. Wd6-b6 | Gb7-c6 |
| 22. Sc3-d5 | Gc6-d5 |

Nieszczęsny czarny goniec zdołał wreszcie coś „zdziałać“, osiągając przynajmniej swą wymianę, ale falanga wolnych białych pionów składa się już teraz z czterech żołnierzy...

- | | |
|------------|--------|
| 23. e4:d5 | Se6-c5 |
| 24. Wb6-b5 | St6-d7 |
| 25. c2-c4 | e5-e4 |

- | | |
|------------|--------|
| 26. Ge3:c5 | Sd7:c5 |
| 27. f3:e4 | Sc5:e4 |
| 28. d5-d6 | |

Białe mogły oczywiście nie oddać piona, grając np. 28. Wd4, albo 28. a4, nie chcą one już jednak tracić czasu i spokojnie awansują piony, prowokują przy okazji dalsze uproszczenia.

- | | |
|------------|---------|
| 28. ... | Wa8:a2+ |
| 29. Kb2:a2 | Se4-c3+ |
| 30. Ka2-a3 | Sc3:d1 |
| 31. c4-c5 | Sd1-c3 |
| 32. Wb5-a5 | Sc3-d5 |
| 33. c5-c6 | Sd5-f6 |
| 34. Wa5-a6 | Kg8-f8 |
| 35. b3-b4 | Kf8-e8 |
| 36. b4-b5 | Sf6-d7 |

Czarne z rozpaczy proponują „zwrot“ figury, licząc jeszcze na słabą szansę remisową w wieżowej końcówce po 37. c:d7+? K:d7. 38. Wa7+? K:d6. 39. W:f7, g5 40. Wg6+, Kc5. 41. W:h6, K:b5 itd., ale białe już teraz nie potrzebują się spieszyć.

- | | |
|----------------------------------|--------|
| 37. Wa6-a7 | Wc8-b8 |
| Wszystko pod znakiem rozpaczy... | |
| 38. Wa7:d7 | Wb8:b5 |
| 39. Wd7-a7 | Wb5-b8 |
| 40. d6-d7+ | Ke8-e7 |
| 41. d7-d8, H+ | Ke7:d8 |
| 42. c6-c7+ | Kd8-c8 |
| 43. c7:b8, H+ | |

i czarne wreszcie poddały się. Piękna, wartościowa partia. W debiucie triumfowała głęboka koncepcja Bronsztajna, w końcówce — jego świetna technika.

Miesięcznik „W Obronie Pokoju” ukazuje się dotychczas w następujących krajach:

FRANCJA: „Defense de la Paix“ rue Vivienne, Paris 2,

Prenumerata: rocznie — 600 fr., półrocznie — 300 fr.

ZSRR: „W Zaszczitu Mira“, Moskwa, ul. Krapotkina 10.

BULGARIA: „Zaszczita na Mira“, Sofia, Iwan-Vazov 27.

WŁOCHY: „La Pace“, Rassegna internazionale del mese“,
Roma, Via Savoia 82.

MEKSYK: Revista „Paz“, Mexico 1, D. F., Avenida Jaurez 20.

CHINY: „Pao Wei Ho Ping“, Pekin, Taichichang 9.

NRD: „Friedenswacht“, Berlin W 8 Taubenstrasse 1-2.

NIEMCY ZACHODNIE: „Friedenswacht“, Stuttgart 0 —
Heinrich-Baumannstrasse 27.

JAPONIA: „Haiwa Yogo“, Japan Peace Committee 28.
Tamachi, Bunkyo-ku, Tokio.

RUMUNIA: „In Apararea Pacci“, Revista Lunara Bucuresti,
str. Polonia 19.

BRAZYLIA: „Partidarios da Paz“. Rua Sao Jose No 50,
Sala 502, Rio de Janeiro.

KANADA: „Peace Review“, 82 Gould St., Toronto.

FINLANDIA: „Tanaan“, 15/17 Erottajankatu, Helsinki.

IRAN: „Defae Az Solhe“, av. Ferdowsi Teheran.

INDIE: „Peace Review“, 14. Munshi Niketan, Kamla Market,
New Delhi (India).

POKOJU



Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę miesięcznika „W Obrobie Pokoju” są przyjmowane:

Na okresy kwartalne: do dnia 10-go grudnia na I kwartał, do dnia 10-go marca na II kwartał, do dnia 10-go czerwca na III kwartał, do dnia 10-go września na IV kwartał.

Na okresy półroczne: do dnia 10-go grudnia na I półrocze, do dnia 10-go czerwca na II półrocze.

Na okres roczny — do dnia 10-go grudnia.

Zgłoszenia na prenumeratę przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy.

Reklamacje prosimy kierować do P. P. K. „Ruch” — Warszawa. ul. Srebrna 12.



FAIRBLAZ